

TROSKA O NIEPODLEGŁE PAŃSTWO PO 1918 ROKU

VII KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

25–26 MAJA 2018 ROKU

**Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego nn
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Warszawa, 2019 roku**

Opracował i zredagował Mirosław Lewandowski

© Copyright by Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Wydawca – Wydawnictwo Polskie IHOO

Wydanie I
Warszawa, 2019

ISBN 978-83-949058-6-6

Skład, druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza i Reklamowa AKCES Sukces Sport

Jak stwierdził Adam Skwarczyński, „Żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębę życia w jego organizm...”. Tą dewizą stara się kierować Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Nasze działania nie byłyby możliwe bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców.
Dziękujemy!

Ta pozycja została dofinansowana
przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
i Jastrzębską Spółkę Węglową



W imieniu Instytutu gorąco dziękujemy!

SPIS TREŚCI

I DZIEŃ (25 MAJA 2018 R.)

Jan Józef Kasprzyk

Patriotyzm dzisiaj	9
Dyskusja	19

Mirosław Lewandowski

Koncepcja działania Kazimierza Pluty-Czachowskiego w latach 1957–1978	59
Dyskusja	98

II DZIEŃ (26 MAJA 2018 R.)

Dr Maciej Zakrzewski

Koncepcje polityczne WiN-u	139
Dyskusja	153

Marcin Furdyna

Próba doprowadzenia do trwalszego porozumienia państw Europy Środkowej w latach 30. ub. wieku	174
Dyskusja	185

Dr Bohdan Urbankowski

Czy poezja może zastąpić myślenie polityczne. Refleksje w kontekście roli poezji w Polsce po 1989 roku	205
Indeks nazwisk	257
Indeks filmów	XXX

W roku 2018 odbyła się już VII Konferencja Świętokrzyska. Jej organizatorem jest, jak co roku, Ośrodek Myśli Niepodległościowej Instytutu Historycznego nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Konferencje tradycyjnie odbywają się w Centrum Edukacyjnym w Wólce Milanowskiej koło Kielc. W spotkaniach bierze udział kilkadziesiąt osób – członków Instytutu i zaproszonych gości.

Materiały pokonferencyjne zawierają teksty niektórych referatów wygłoszonych w czasie konferencji w wersji przygotowanej przez autorów. Referaty faktycznie wygłoszone z reguły nieco różniły się od referatów przygotowanych i przedstawionych do druku.

Po każdym referacie była dyskusja, której zapis został przedstawiony na podstawie o nagrania. Niestety, nie wszystko się nagrało, stąd niektóre fragmenty zostały pominięte. Przy spisywaniu głosów w dyskusji zostały one poddane redakcji, ale starano się zachować ich oryginalny i spontaniczny charakter wypowiedzi.

Długość dyskusji zależała z reguły od porządku konferencji (jeżeli po danym referacie był posiłek, dyskusję trzeba było przerwać), od planów referentów (niektórzy goście dysponowali ograniczonym czasem i o określonej godzinie musieli opuścić miejsce konferencji). Najdłuższa dyskusja była po referacie wieczornym w piątek (po kolacji) i zakończyła się kilka godzin po północy.

I DZIEŃ (25 MAJA 2018 R.)

Na początku konferencji zebrani uczcili chwilą ciszy zmarłych górników z kopalni „Zofiówka” oraz Tomasza Karwowskiego, który zmarł niespodziewanie 14 maja 2018 roku.

* * *

Następnie złożono życzenia, wręczono upominki i odśpiewano „100 lat” Bohdanowi Urbankowskiemu, który właśnie obchodził 75 urodziny. Przypomniano także, że Jubilat otrzymał niedawno od ministra kultury i dziedzictwa narodowego nagrodę im. Tomasza Merty za czterotomowe „Źródła” (wydane przez Instytut Historyczny nurtu niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego).





Po tej uroczystości przystąpiono do realizacji programu konferencji.

PATRIOTYZM DZISIAJ



Dzisiaj jest dzień szczególny – 75 rocznica mordu na rotmistrzu Witoldzie Pileckim i stąd też uroczystości, i przed południem, i za chwilę, o 21.30, na Rakowieckiej, na które się udaję. Jeżeli tylko się uda, to ja jeszcze do państwa jutro zajrzę. Jestem stęskniony spotkań i rozmów w porządnym, zacnym gronie. Bardzo serdecznie dziękuję za zaproszenie!

Czuję się też trochę onieśmielony, skoro mam mówić o patriotyzmie w gronie ludzi, którzy w czasie poważnej próby wykazywali się największym patriotyzmem, ale i po 1989 roku potrafili budować patriotyzm pokoju. A zatem to moje wystąpienie będzie miało bardziej charakter porządkujący niż moralizatorski.

Raz jeszcze bardzo serdecznie gratuluję i dziękuję doktorowi Boh-

danowi Urbankowskiemu, bo to dzięki panu możemy dyskutować pełniej o patriotyzmie. Bo pan w swoich pracach najpiękniej opisał tych, którzy byli naszymi wzorcami w patriotyzmie. Myślę tu przede wszystkim o Józefie Piłsudskim.

Zacznę od cytatu z ostatniej pracy świętego Jana Pawła II, nie bez powodu zatytułowanej *Pamięć i Tożsamość*, ponieważ z tej właśnie pracy Karola Wojtyły wyłania się jedno podstawowe przesłanie: nie można budować tożsamości, a zatem nie można też mówić o patriotyzmie, bez odwołania się do pamięci. Pamięć jest fundamentem naszej tożsamości i fundamentem naszych marzeń o przyszłości.

Jan Paweł II powiedział: „Życie Narodu opiera się na żywym przekazie. Na tradycji. Na przekazie faktów historycznych. Na przekazie treści i wartości, które łączą nas w jedno pokolenie, chociaż te pokolenia poddane są prawu mijania, i tak jak każdy człowiek, również i prawu śmierci [...]. Ten upływ pokoleń to jest historia. I to jest jednocześnie życie Narodu. Każda chwila współczesna nosi w sobie błogosławione brzemień minionych chwil, dni i lat, i pokoleń z przeszłości”.

To jest w moim przekonaniu jedna z najpiękniejszych definicji Narodu, jaka została sformułowana i to przez jednego z najważniejszych, najmądrzejszych i najwspanialszych Polaków w naszych dziejach, a jednocześnie najwybitniejszych postaci w dziejach ludzkości.

Pokolenia po sobie następują. Pokolenia przemijają. Ale pozostają wartości, które spajają je, niemalże metafizycznie, w jedno pokolenie. W jeden łańcuch pokoleń, w którym każde ogniwo jest ważne. Jeżeli jednego ogniwa zabraknie, łańcuch, zgodnie z wszelkimi prawidłami, się rozpada.

Patriotyzm, o czym mówił też wielokrotnie święty Jan Paweł II, ma swoje biblijne umocowanie. Dlatego, że jest de facto realizacją czwartego przykazania Dekalogu – miłości do ojca i miłości do matki. Miłości do wspólnoty, czyli do ojczyzny, do narodu (niekoniecznie do państwa). W okresie chociażby zaborów czy PRL-u było się patriotą, mimo iż państwa nie było. Ale trwał naród.

Jakie są przejawy patriotyzmu? W moim przekonaniu jedną z największych oznak lub też tego, czym patriotyzm jest, to jest postawa słu-

żebna wobec wspólnoty. To uznanie, że jest wyższość dobra wspólnego, które nazywamy Ojczyzną, Narodem, Państwem, nad dobrem indywidualnym. Patron dnia dzisiejszego, rotmistrz Witold Pilecki, jest tego doskonałym przykładem. W kazaniach księdza Piotra Skargi z okresu I Rzeczypospolitej mamy to sformułowanie o zapominaniu pożytków własnych na rzecz wspólnoty. To jest, wreszcie, miłość do wszystkiego co tę wspólnotę stanowi. A zatem do jej kultury, języka, przeszłości, współczesności. W warunkach polskich, ale nie tylko polskich, nieodłącznym elementem patriotyzmu jest dążenie do odzyskania, jeżeli jest taka potrzeba, (lub potem do umocnienia), niepodległości, suwerenności, jako tego atrybutu, który jest najważniejszy dla państw i narodów.

W okresie zaborów wykuwał się specjalny rodzaj patriotyzmu. Sięgający zawołania z okresu I Rzeczypospolitej – *Amor patriae suprema lex* (*Miłość Ojczyzny najwyższym prawem*) – był to patriotyzm czasu ogromnej próby. Patriotyzm czasu, w którym nie było państwa, ale istniał naród. Naród, który na różne sposoby pobudzany był co pokolenie do działania. Pobudzany był poprzez „krzyki wolności”, jakimi były nasze kolejne insurekcje. I właściwie w każdym pokoleniu od końca wieku XVIII aż do początku XX taki „krzyk wolności” się rozlegał. Pobudzany był również przez czyny bez-orężne. Przez dbałość o polską kulturę. Przez ten wysyp naszych wspaniałych twórców, wieszczów, pisarzy, poetów, muzyków, kompozytorów, szczególnie w XIX wieku.

Ukształtował się wtedy, w przekonaniu powszechnym, model bezinteresownej służby ojczyźnie, której nie ma. Umiłowania ojczyzny, której nie ma. Umiłowania wolnej ojczyzny, o której już te kolejne pokolenia urodzone w drugiej połowie XIX wieku, słyszały wyłącznie z przekazów rodzinnych.

Kiedyś ktoś dokonał porównania między pokoleniem, które walczyło o niepodległość w końcówce XIX wieku i na początku XX (między innymi piłsudczycy), a pokoleniem Kolumbów. I ten ktoś zauważył, że pokoleniu Kolumbów było prościej. Oni wiedzieli, czym jest niepodległa Polska. Oni się w tej niepodległości wychowywali. „Pokoleniu niepokornych”, jak to określał Bohdan Cywiński, było o wiele trudniej, ponieważ wolności nie doświadczili. Smaku wolności nie zaznali.

Kochali Ojczyznę, której w ramach państwowych nie było. A zatem wyobraźmy sobie – wszyscy na tej sali mamy chyba tego pełną świadomość, spotykając się jeszcze przed laty z tamtym pokoleniem – jak było im trudno przekonać do swych racji społeczeństwo, które również nigdy tej wolności nie doświadczyło i nie wiedziało, czym ta wolność i niepodległość pachnie.

Kiedy przed kilkoma tygodniami analizowaliśmy po raz kolejny fenomen Marszałka Piłsudskiego, dochodziliśmy do takiej konkluzji, że jedną z największych zasług Józefa Piłsudskiego – zasług, które powinny przejść do powszechnej świadomości i uznania Polaków – jest to, że w chwili, w której nikt nie wiedział, co to jest wolność i niepodległość, on wiarą w Polskę wolną i niepodległą potrafił zarazić. Potrafił rozbudzić i wyzwolić takie siły i moce – najpierw w gronie najbliższych współpracowników, potem szerzej, a wreszcie w społeczeństwie – aby mogło ono uwierzyć, że rzeczy niemożliwe mogą stać się możliwe.

To jest to zarażanie, o czym mówiłem w ubiegłym roku, niewzruszoną wiarą w niepodległą Polskę. A zatem udowadnianie postawą propozycją wiarą w coś, co z pozoru wydaje się niemożliwe i przekazywanie tej wiary współobywatelom. To się udało. Kiedy porównujemy sierpień 1914 roku i czas dzielący o dwa tygodnie od pierwszego wejścia I Kompanii Kadrowej do Kielc na teren Królestwa Polskiego, do drugiego wkroczenia oddziałów strzeleckich pod koniec sierpnia 1914 roku, to już też widzimy, że wiara w to, że mogą stać się rzeczy niemożliwe, staje się powszechniejsza. Widzimy, że 12 sierpnia 1914 roku w Kielcach Strzelców witają zamknięte okiennice, ale już 30 sierpnia 1914 roku na placu przed katedrą kielecką, na mszy świętej polowej (której notabene biskup miejscowy zabronił odprawić w murach katedry i odbyła się ona w warunkach polowych) już są tłumy – tysiące ludzi! To jest to zarażanie wiarą w Polskę, której nie ma! To było w jakimś sensie spełnienie tego, o czym marzył Stanisław Wyspiański, pisząc *Wesele* czy *Wyzwolenie* – aby wreszcie zakończyć chocholi taniec. Umiłowanie Polski wymaga czynu. Patriotyzm czasu starań o odzyskanie państwowości musi się wiązać z podjęciem konkretnych działań. Podjęciem czynu, który przekuje się kiedyś w sukces. To jest marzenie Wyspiańskiego

wyrażone w polskim *Veni Creator* czyli *Zstąp Gołębica, Twórczy Duch*, napisanym na potrzeby budowanych przez Józefa Piłsudskiego struktur przyszłej armii polskiej. Taki tekst Wyspiański przekazał Stefanowi Żeromskiemu podczas jednego ze spotkań. Modlitwa, aby zstąpił Duch Mocy w naród uśpiony po Powstaniu Styczniowym.

Wracając do słów Jana Pawła II, które przytoczyłem na samym początku, o tym, że patriotyzm musi zasadzać się na odniesieniach do przeszłości, warto zwrócić uwagę, że akcja niepodległościowa Piłsudczyków bardzo głęboko zasadzała się w przeszłości. Piłsudski wielokrotnie podkreślał, nie tylko w słowach, rozkazach, mowach, ale nawet w symbolach, że pokolenie walczące w czasach I wojny światowej o niepodległość, jest kontynuatorem pokoleń poprzednich. Że sztandar niepodległości jest przekazany, że teraz oni go podnoszą i przekażą następnemu pokoleniu. Pięknie znalazło to swój wyraz w Konstytucji Kwietniowej, w artykule pierwszym: „Państwo Polskie, które jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli, ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia na pokolenie”. Piłsudski mówi swoim młodym legionistom: „Jesteście kontynuatorami tradycji insurekcyjnej. Jesteście kontynuatorami i mścicielami zakończonego klęską Powstania Styczniowego”. Nie bez powodu – choć tak się akurat ułożyła wówczas sytuacja międzynarodowa – wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej następuje niemal dokładnie w pięćdziesiątą rocznicę stracenia na stokach Cytadeli Romualda Traugutta.

To pragnienie kontynuacji wyrażało się także w pieśniach śpiewanych przez Strzelców na początku I wojny światowej. Oni wierzyli, że są kontynuacją pokoleń wcześniejszych, że uczestniczą w tym wielkim łańcuchu pokoleń i jeżeli odzyskają Polskę, to przekażą dar niepodległości i wolności następnym pokoleniom. Pierwszą pieśnią śpiewaną w szeregach strzeleckich – poza oczywiście pieśniami o charakterze przygodnym czy też frywolnym wręcz – jest pieśń *Hej strzelcy wraz*. To jest pieśń, którą śpiewali powstańcy listopadowi oraz powstańcy styczniowi. To nie jest przypadek. W gronie legionowym, w gronie strzeleckim było bardzo wielu poetów. Wyraz tego dawali w pieśniach, które śpiewamy do dzisiaj w różnych okolicznościach. Hymnem strzeleckim

mogła być inna pieśń, ale stała się ta, która czerpała i odnosiła się do przeszłości. Do tradycji przodków.

Wydaje mi się, że tamtemu pokoleniu udało się w dużej mierze, dlatego, że byli zakorzenieni i mieli świadomość, że są pewną kontynuacją przeszłości. Wtedy łatwiej jest budować terażniejszość i łatwiej jest przekazać to wszystko, co patriotyzm stanowi, następnemu pokoleniu.

* * *

Polska odzyskuje przed stu laty niepodległość. Pojawia się wolne, suwerenne państwo. I pojawia się problem, jak wychować młode, urodzone już w niepodległości pokolenie, które będzie realizatorem patriotyzmu czasu pokoju. Przez 250 lat poprzedzających odzyskanie przez Polskę niepodległości mamy, de facto, do czynienia z patriotyzmem czasu wojny, który często jest łatwiejszy do realizacji od patriotyzmu czasu pokoju. Bo tam mamy bardzo jasno określone elementy. Jest wróg, z którym walczymy. Wiemy, że bycie patriotą czasu wojny to jest służba, najczęściej w warunkach wojennych, bojowych. Natomiast co oznacza bycie patriotą czasu pokoju?

Tutaj powinniśmy na przykładzie II Rzeczypospolitej zastanowić się, czym powinien być, czy czym jest, patriotyzm czasów dzisiejszych. Bo my też mamy budować patriotyzm czasu pokoju. Wydaje mi się, że II Rzeczpospolita odpowiedziała na to pytanie bardzo dobrze poprzez model wychowawczy panujący w szkołach, prowadzony w rodzinie.

Podstawowym atrybutem patriotyzmu czasu pokoju jest etos służby wspólnocie. Służymy wspólnocie bezinteresownie, jesteśmy elementami większej całości i służymy na odcinku takim, jaki zostaje nam powierzony, czy też jaki sobie wybieramy. Ale zawsze z tyłu głowy mamy to sformułowanie – „służba”.

To jest właściwie tożsame z atrybutem patriotyzmu czasu wojennego. Tyle tylko, że patriotyzm czasu pokoju powinien budować wartości, które w pokoju są najważniejsze: służba rodzinie, służba społeczności lokalnej, wreszcie służba narodowi.

Jeszcze raz podkreślę to, co wydaje mi się szczególnie ważne w modelu wychowania patriotycznego w okresie II Rzeczypospolitej. Jest to wprowadzenie do powszechnej świadomości etosu służby. Kolejarz, oficer, pocztowiec, nauczyciel, student, poprzez nawet symboliczne, wizualne elementy, miał świadomość, że jest na służbie.

Pytanie, czy nie jest to model, który należałoby próbować współcześnie stworzyć? Czy nie należy odbudować etosu bezinteresownej służby wspólnocie? Czy nie należy przekonać raz jeszcze obywateli, że dobro wspólne jest wyższym prawem, ale ma to też swój partykularny cel? Ponieważ jeśli wspólnota żyje w szczęściu, to jednostkom też powinno dziać się dobrze.

Okres II wojny światowej, czyli okres kolejnej próby i chwila, w której po raz kolejny trzeba było realizować patriotyzm czasu wojennego, pokazał, że model obywatela ukształtowany przez wychowawców, twórców II Rzeczypospolitej, ten model postawy służebnej, sprawdza się i chyba sprawdził się najlepiej w naszych dziejach. Bo pokolenie II wojny dało z siebie najwyższą ofiarę, jaką dać można, i pokazało (tak jak wspomniany już rotmistrz Pilecki), że dobro wspólne jest ponad dobro własne. To jest patriotyzm. To jest miłość do czegoś więcej niż do siebie, czy nawet do swojej rodziny.

* * *

Okres PRL-u niestety zniszczył tę postawę, o której mówił Jan Paweł II. Szczególnie w latach 40. i 50. podjęto próbę – i to odbija się aż do chwili obecnej – odcięcia się od korzeni. I to, w moim przekonaniu, powoduje sytuację, w której tak trudno współcześnie odbudować etos służby. Nie ma tych wzorców. Odcięto się w latach 40., 50. i później od korzeni, od iluś wieków tworzących wcześniej wspólnotę, której na imię Rzeczpospolita. W czasie wojny i po wojnie wymordowano polskie elity – zabrakło wzorców.

Z kolei aparat represyjny państwa komunistycznego spowodował, iż obywatele – Polacy – stracili zaufanie do państwa jako takiego. Ci, którzy mieli jeszcze w pamięci przekazywaną w domach świadomość

tego, czym było państwo w okresie II Rzeczypospolitej, być może tracili to poczucie braku zaufania do państwa jeszcze silniej. Pamiętali czas państwa normalnego, państwa niepodległego. Ta utrata zaufania do państwa – moim zdaniem – także przez ostatnie 30 lat, powoduje, że trudno nam mówić i diagnozować społeczeństwo polskie w kategoriach wspólnoty.

W moim przekonaniu jest bardzo silne poczucie, że państwo jest osobne w stosunku do obywatela. Jest obok. To jest pewnie pokłosie PRL-u, pewnie i pokłosie zaborów. Stąd popularność postawy, że zawsze trzeba być w kontrze do państwa, a tym samym też do wspólnoty.

Dlatego niezwykle trudne jest odbudowywanie tego, co w II Rzeczypospolitej się udało. Przywrócenie Polakom szacunku do własnego państwa, a tym samym przekonanie, że warto budować wspólnotę, czy też w warunkach współczesnych w jakimś sensie tę wspólnotę odbudować. Powiedzmy sobie szczerze: mówimy tym samym językiem, ale czy jesteście wspólnotą?

To jest wreszcie kwestia wzorców, które współcześnie winny być pokazane. II Rzeczypospolita radziła sobie z tym w sposób bardzo dobry. Mianowicie pokazała tych ostatnich rycerzy niepodległości z okresu zaborów, czyli powstańców styczniowych. My mamy trochę trudniej, ale przecież mamy jeszcze weteranów. Mamy kombatanów. Mamy wreszcie pokolenie „Solidarności”, które niestety, dla młodego pokolenia nie stało się wzorcem i takim punktem odniesienia, jak chociażby dla młodzieży z II Rzeczypospolitej uczestnicy strajków z 1905 roku. Wiele się na tołożyło przyczyn i wszyscy w tym gronie wiemy też, jakie to przyczyny.

Ale wydaje mi się, że to, co w przypadku wzorców czy pokazywania pewnych postaw wzorcowych z przeszłości jest niezwykle ważne, to zakończenie pewnego relatywizowania powojennej polskiej historii. To, z czym, niestety, mieliśmy do czynienia od 1989 roku i w latach 90. Relatywizowania historii polegającego na tym, iż pokazujemy, że każdy w sporze powojennym miał rację. Że jakąś rację mieli ci, którzy walczyli z reżimem komunistycznym, w różny sposób, również zbrojnie po wojnie, ale rację mieli też ci, którzy stali z drugiej strony. Taka

próba została podjęta i efekty poznawcze dla młodego pokolenia, które mamy nauczyć etosu służby i patriotyzmu są zatrważające.

Jeżeli, z jednej strony, już parę lat temu mamy Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, a w tym samym czasie honorowym gościem Kongresu Kultury Polskiej jest Zygmunt Bauman, który był oficerem KBW i zwalczał podziemie niepodległościowe, to młody człowiek czegoś tutaj nie rozumie.

Jeżeli mamy sytuację w sferze symboli – bo one też są bardzo ważne – taką oto, iż za kilka dni będę miał przyjemność wręczać rodzinie Mariana Bernaciaka – „Orlika”, jednego z najodważniejszych żołnierzy konspiracji zarówno wojennej, jak i tej powojennej – przyznany mu w 1945 roku przez Rząd na Uchodźstwie, order Virtuti Militari (rodzina nigdy tego orderu nie otrzymała, zostanie jej przekazany dopiero teraz), a sześciu żołnierzy, którzy Orlika zamordowali i którzy dostali za to – bo tak jest w rozkazie personalnym – orderu Virtuti Militari, nadal formalnie są ich posiadaczami... Jeżeli to nie tworzy jakiegoś dysonansu poznawczego dla młodych ludzi, to co go tworzy?

Przed nami wielka praca uporządkowania również tej sfery symbolicznej, aby budować postawy patriotyczne, które – powtórzę raz jeszcze – mają budować wspólnotę.

* * *

Symbole są oczywiście ważne, ale nie są najważniejsze. Tu musimy pamiętać, aby nie doszło do sytuacji, w której symbolika zastąpi dogłębne poczucie służby dla wspólnoty. Aby to, co jest bardzo piękne i szczególnie w młodym pokoleniu chwyta za serce, czyli symbole, koszulki, murale, tatuaże nie zastąpiły tego, czym naprawdę patriotyzm jest. Żeby się nie okazało, że budujemy jako Naród patriotyzm fasadowy. To jest, moim zdaniem, bardzo duże zagrożenie.

W jaki sposób należy ten patriotyzm pokoju pogłębiać w młodych ludziach, jak go wdrażać? Powinna czynić to, tak jak w okresie międzywojennym, szkoła, rodzina. Tylko, niestety, jeżeli chodzi o rodzinę, to pokutuje tutaj okres PRL-u. Przerwano pewną ciągłość, wykorzeniono

wiele rodzin z miejsc, z których pochodziły – mówię tu o Kresach. W przypadku szkoły, choćby z uwagi na programy nauczania, teraz poprawiane, ale przecież niedoskonale, mamy z tym spory problem. Tutaj trudno zdiagnozować – co i jak zrobić?

To, że należy próbować wprowadzić ponownie do krwiobiegu narodowego pojęcia patriotyzmu pokoju, którego nieodłącznym elementem jest etos służby, jest w moim przekonaniu zadaniem każdego z nas. I każdy z obecnych na tej sali to realizuje. Pytanie, czy jesteśmy na tyle skuteczni, aby przekonać tych, którzy po nas przyjdą?

Tu ponownie odwołam się do Jana Pawła II, że służba wspólnocie, a za tym miłość ojczyzny, wspólnoty, jest najwyższym prawem. Myślę, że to jest bardzo trudne do odpowiedzi w paru zdaniach. Ale myślę, że dyskusja, która za chwilę się rozpocznie, może nas do tej odpowiedzi na pytanie – „Jak?” przybliżyć.

DYSKUSJA



Michał Janiszewski:

Panie ministrze! Jestem świeżo pod ogromnym wrażeniem ostatniej pielgrzymki do Monte Cassino. Nazwę to „mekką patriotyzmu”. To trochę smutne, że pański Urząd musi spełniać rolę Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministra Obrony Narodowej i paru innych instytucji, ale gratuluję takiego postępowania.

Naszła mnie taka refleksja. To jest jedno z niewielu miejsc, gdzie mamy bohaterstwo żołnierza polskiego i przyjazne otoczenie, aczkolwiek daleko od granic polskich. Obserwowałem z dość radosnym wrażeniem to, jak Włosi się do nas odnosili... Czy nie należałoby – i to przy naszej pomocy (Instytut deklaruje taką inicjatywę) rozpocząć program szerokiej, narodowej pielgrzymki – szczególnie młodzieży – do tego miejsca? Monte Cassino stało się naszą wizytówką. Tam przyjeżdżają Włosi, Niemcy. Niech oni to oglądają!

Zacząć należałoby od szerokiego programu – oczywiście kilka instytucji trzeba by tu włączyć – wyjazdów, wycieczek, które byłyby regularne. Nie raz na rok, nie raz na miesiąc. Tylko tam z czasem kilka autokarów tygodniowo powinno się pojawiać! Zacząć można od szkół średnich, które mają klasy mundurowe. Bo tam jest żywe dotknięcie historii – nie tylko pamiątka naszego bohaterstwa, ale jest też grób św. Benedykta. W tamtym miejscu skupia się wiele wartości. Tych wartości trzeba teoretycznie nauczać, ale dobrze jest je praktycznie pokazać, bo to robi ogromne wrażenie!

Jan Kasprzyk:

– Dziękuję za miłe słowa pod adresem Urzędu. Faktycznie jesteśmy organizatorem tych uroczystości pod Monte Cassino po raz trzeci, czyli od dwóch i pół roku. To, co udało się w tym roku – i być może jest to jedna z form tej edukacji patriotycznej, która ma w tle słowa Jana Pawła II o tej ciągłości międzypokoleniowej – to doprowadzenie do takiej sytuacji, że na Monte Cassino pojawili się nie tylko harcerze, ale też i strzelcy, którzy tam na cmentarzu wojskowym złożyli przysięgę strzelecką, a złożyli ją na ręce przedwojennego strzelca, a potem żołnierza II Korpusu, majora Hulaskiego, wciągając go też do szeregów współczesnej organizacji strzeleckiej. A zatem łańcuch pokoleniowy w sferze symbolicznej był tam też pokazany.

Oczywiście do wprowadzenia takiego programu musiałoby być zaangażowanych mnóstwo instytucji, ale to jest bardzo dobry pomysł. Przywołany tu już dzisiaj świętej pamięci Tomek Merta miał z kolei pomysł przed laty, że każdy uczeń polskiej szkoły powinien w ramach programu edukacyjnego choć raz w życiu pojechać do Katynia, aby zrozumieć, na czym polega utrata elity, bo to się dopiero tam czuje. Wiadomo, że jest to w obecnej sytuacji już raczej niemożliwe, natomiast Monte Cassino jest dobrym pomysłem. My będziemy to czynić dalej jako Urząd liczący 160 pracowników i jesteśmy w stanie to zorganizować, ale być może uda nam się namówić też odpowiednie resorty...

Bohdan Urbankowski:

Myszę, że po części na to pytanie – „Co robić?”, dał już pan minister odpowiedź tym, co pan robi.

Na to zwrócił uwagę Michał – wycieczki do Monte Cassino, Jerozolimy, to niezwykle ważne elementy edukacji, a zarazem są aktem tworzenia *sacrum* narodowego, państwowego.

Proszę sobie przypomnieć, iż Piłsudski próbując zjednoczyć Polaków, a wiedząc jednocześnie, że języki dzielą, wyznania dzielą, próbuje nad tym wszystkim zbudować to *sacrum* składające się przede wszystkim z kultu Niepodległej, ale także święta pułkowe, wspaniałe Święto Zjednoczenia Armii, 19 października 1919 roku, także obchody napoleońskie, także Słowackiego...

Inaczej mówiąc, jest coś, co spaja mocno od góry, gdy te wszystkie więzi oddolne, nawet sięgające biologii czy pochodzenia – po pierwsze – nie zawsze są silne, a po drugie – czasami są dyskusyjne.

Wydaje mi się, że Polska etnicznie przypomina trochę Stany Zjednoczone i parę innych państw, gdzie pojawili się po prostu ci, którzy byli w stanie się zjawić, zbudować na tym terenie państwo, wykarczować lasy, wygonić małpy i tak dalej... Tutaj powstało państwo, które od początku było przedmurzem chrześcijaństwa, bo tu zostało to wmontowane.

Dlatego o tym wspominam? Dlatego, że to państwo zostało od początku także skazane na etos rycerski. To, o czym pan mówi – etos służby. Ogromny wysiłek Piłsudskiego, żeby z powrotem zmilitaryzować polskie społeczeństwo, które nie zna komend, nie ma własnej historii, nie ma historii swoich klęsk, zwycięstw, wzorców w postaci wodzów, antywzorców w postaci zdrajców, to wszystko było i jest nadal do zrobienia.

Tyle tylko, czy nie jest tego za dużo, nawet na tak dużego słonia, jakim jest Urząd do Spraw Kombatantów? Wydaje mi się, że tu trzeba mimo wszystko włączyć wciąż nieruchawy, wciąż pozbawiony perspektyw resort edukacji i resort kultury (którego, widzę, jedyna słuszna decyzja w ostatnich latach, to było przyznanie mi tej nagrody).

Padły tu naprawdę bardzo ważne słowa. Przy okazji gratuluję, bo w pięknej polszczyźnie, a to też jest element edukacyjny w stosunku do nas, którzy w różnych środowiskach chamiejemy i nie mamy czasu i możliwości kontaktować się z pięknym słowem. Z tych Gór Świętokrzyskich wyjedziemy troszeczkę podkszałceni.

Przytoczyłeś piękny wątek z powołaniem się na Jana Pawła II. Właśnie to błogosławione brzemień pokoleń, to, że my jesteśmy dziedzicami, wymaga chyba jeszcze wzmocnienia o akcent na przyszłość.

Piłsudski mawiał, że skończył się wyścig żelaza i czeka nas wyścig pracy. Że Polska stoi przed zadaniem niesienia na Wschód chorągwi oświaty. W innym miejscu mówił o pochodniach oświaty. Tak czy inaczej, były to jakieś cele.

Dlaczego jest to takie ważne? Przede wszystkim dlatego, że cel życia to jest to samo, co sens życia. Człowiek, który nie ma swojego celu, nie ma sensu żyć. Nie wie, po co żyje i nie ma po co żyć. Natomiast jeżeli postawi się cel przed jednostką, bądź ona sama potrafi go sobie postawić, przed zbiorowością, to wtedy jest motor do dążenia.

Takim celem dla piłsudczyków jest niepodległość. Kiedyś słyszałem takie przysłowie, wsadziłem do jednego ze swoich dramatów, nie pamiętam nawet skąd zerznąłem, ale bardzo mi się spodobało: „Upadniesz dziesięć razy, wstań jedenaście”. Piłsudski to realizuje. Nie wychodzi ostatecznie konspiracja młodzieżowa, próbuje to kontynuować w Wilnie, dostaje się na Syberię, ale za każdym razem ma tę siłę, żeby się podnieść. Tutaj myślę, że właśnie ta tradycja, te wzorce, legenda powstania 1863 roku, ale też nie tylko. Piłsudski powołuje się bardzo często na Kościuszkę. Bardzo często na Napoleona, który jest według niego najwybitniejszym człowiekiem w dziejach. Więc tutaj sięga się po najwyższe wzory, przy czym te wzory mają jedną cechę... Mówiąc prymitywnie – od Sasa do Lasa. Mówię o tym dlatego, że powtarza się pewna sytuacja kulturowa. Polska wchodząc w obszar kultury chrześcijańskiej, jako dodatkowe państwo, jest od razu na starcie spóźniona. My dopiero wychodzimy z tych jam, jaskiń, złazimy z drzew z oporami, a tam mają już cudowne miasta Italii, stolicę w Rzymie, w Bizancjum, i iluś filozofów, którzy walczyli ze sobą, kłócili się... My dostaliśmy to

wszystko na talerzu. Możemy wybierać. Cechą polskiej filozofii, co – myślę – udało mi się dość dobrze udokumentować, jest syntetyzm. My nie wybieramy, nie bierzemy udziału w fanatyzmach, tylko zakładając, że dróg do prawdy jest więcej niż jedna, tak jak więcej niż jedna droga prowadzi na szczyt góry, po prostu z każdej kultury, z każdej filozofii, bierzemy to, co najlepsze.

Teraz, po tej masakrze, jaką była okupacja niemiecka i sowiecka, jesteśmy znów w punkcie wyjścia. I tutaj nie ma chyba żadnych oporów, żeby to, co najlepsze, brać naraz z całej Europy, z całego świata. Zwłaszcza w dziedzinie technologii (co zresztą robimy).

Ale musi być jakaś granica. My nie możemy się rozprysnąć. Myślę, że tu właśnie element tradycji, która wyznacza ogólne trendy, wyznacza pewne wartości. Walka o niepodległość wymaga aktywności. Jeżeli nie, to jesteśmy marksistami albo stalinistami. Jak złośliwi twierdzili, teoria Róży Luksemburg daje się streścić w jednym zdaniu, że trzeba leżeć pod drzewem i czekać aż ten komunizm nastanie. Bo on musi nastać. My jesteśmy w gorszej sytuacji. Bo my musimy o to wszystko walczyć.

I tutaj wydaje mi się, że postawienie w tej chwili przez obecną władzę wizji Międzymorza czy Trójmorza, wizji zjednoczenia tego wszystkiego, to jest wielki cel, w tej chwili już historyczny. On oczywiście odpowiada tym najwyższym celom piłsudczyków, tej Rzeczypospolitej Federalnej, ale jest to tylko jeden z elementów. Jest jeszcze kwestia środków. Kwestia przede wszystkim edukacji młodych pokoleń. Inaczej mówiąc – jest to ogromne zadanie, w które włączenie się daje zarazem ludziom poczucie celu, a tym samym poczucie sensu życia.

Można przyjąć tylko i wyłącznie taką piękną zasadę – Piłsudski o tym mówił, powołując się na jednego z generałów austriackich – że zawsze trzeba komuś lub czemuś służyć. I tak to jest. Trzeba mieć ideały, które się wyznaje czynem. Nie tylko frazesem, nie tylko demagogią. Ale jednocześnie można znaleźć swoje miejsce, które jednocześnie jest miejscem i służebnym, i twórczym. To jest właśnie twórczość jednostki. To jest twórczość dla wspólnoty. Po prostu praca wspólna jest tak wielkim obszarem, że można, nie rezygnując z indywidualizmu, znaleźć swoje miejsce w realizowaniu się.

Tutaj powołam się na szeroko rozumianą filozofię pracy Stanisława Brzozowskiego. Pracy, którą on początkowo rozumie tak jak w *Romantyzmie* Kamieński. Potem przechodzi przez etap marksistowski, ale potem ta praca jest czymś szerokim. Praca w kulturze. Praca nad – ale to już raczej zadanie dla księży niż dla nas – udoskonaleniem liturgii, świąt i tak dalej. Po to jest kasta kapłańska. Kasta rycerska jest znowu po coś innego i tak dalej.

Czymś próbującym to wszystko harmonizować miał być przed wojną Instytut Pracy Państwowotwórczej. Warto by do tego ideału też wrócić, bo tu trzeba, by nie tylko wychowywać młodzież. Trzeba przede wszystkim wychowywać wychowawców.

Mamy bardzo głupich, chyba najgłupszych w historii (od czasów zaborów oczywiście) nauczycieli. Nad nimi też trzeba popracować. Mało tego, nauczycieli akademickich... Najstarsza grupa to ci, którzy przeszli sito osiemdziesiątych lat. No to trzeba było być już totalną szują, nie zagrażać nikomu ani swoją wiedzą, ani swoim charakterem, żeby przez to sito przejść.

Myszę że idea takiego instytutu, idea pisma, które też byłoby nad-rzędne. Pismo analizujące postępy polskiej twórczości we wszystkich dziedzinach. W kulturze, w ekonomii, w sporcie nawet... Coś trzeba robić z czasem wolnym, a słuchanie audycji *Więcej sportu* (bodajże tak się to nazywa, w znanej nam kretyńskiej rozgłośni), to chyba trochę za mało. Idea sportu to także doskonalenie własnego organizmu, zgodnie z zasadą „w zdrowym ciele zdrowy duch”.

Ja przepraszam, że się rozgadałem, ale to trochę wina prelegenta, bo mnie zainspirował.

Jan Kasprzyk:

Do jednej tylko rzeczy się odniosę, czyli do kwestii skoordynowania działań państwa na rzecz choćby wychowania. To jest oczywiście postulat niezwykle słuszny i dziwię się, że do chwili obecnej nie powstał – mimo czynionych w tym kierunku różnych zabiegów – instytut, instytucja czy też jakieś forum, w którym zasiadają przedstawiciele różnych instytucji, aby koordynować pewne rzeczy z zakresu tak zwanej

polityki historycznej, polityki wychowania, czy polityki wychowania patriotycznego. Mam nadzieję, że jednak w pewnym momencie doświadczenia wskażą, że jest to warunek sine qua non, żeby to czynić skutecznie.

Mogłaby to też być instytucja, która by była kuźnią myśli. To, o czym pan doktor tutaj powiedział – kuźnią myśli, w której by zastanawiano się – „Jakie są nasze cele?”. Chodzi o cele dalekosiężne, na okres dłuższy niż jedna czy dwie kadencje.

Mariusz Olszewski:

Mówiąc o patriotyzmie, widzę dziś bardzo dużo zagrożeń. Powiem tylko o trzech.

Zagrożenie pierwsze. Patriotyzm musimy kształtować od najmłodszych lat u najmłodszego pokolenia. Musimy wpajać im wartości, tradycję – całą tą naszą spuściznę. Ale – ponieważ zajmuję się również edukacją – widzę tutaj bardzo wielkie niebezpieczeństwo. Istnieją fundacje, fundusze zagraniczne, które dbają o to, żeby ich punkt widzenia historii był wpajany polskim uczniom. Jak to się odbywa w praktyce? Pieniądze – to nie są duże pieniądze – trafiają do nauczycieli. Nauczyciele uczestniczą w szkoleniach. Wystarczy, że jeden nauczyciel z danej szkoły uczestniczy w takim projekcie, cała szkoła żyje tym projektem. Ten nauczyciel musi później wykazać się wobec tej fundacji osiągnięciami, liczbą przeprowadzonych na ten temat lekcji, liczbą rozprowadzanych materiałów, ilościami wiedzy przyswojonej przez uczniów. Jeżeli nie będziemy mówić Polakom o polskich wartościach, tylko dopuszczać zagraniczne fundusze i fundacje do tego, aby mąciły w naszych patriotycznych postawach, to potem to się przekłada na zapominanie o swoim narodzie. Ja wiem, że w pana Urzędzie jest tylko 160 osób, ale zawsze tak było, że – parafrazując Churchilla – nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu. W Polsce jest tak zawsze, że mała grupka wyznacza bieg historii.

I teraz mój pomysł. Dzisiaj stoimy w obliczu agresji. Wojny propagandowej wobec Polski. Odbiliśmy się (i jest to zasługa wielu środowisk), jeżeli chodzi o odbudowanie dumy narodowej, patriotyzmu

w młodym pokoleniu. To za funkcjonowało. To od kilku lat zaczęło żyć, że (nie wiem czy ktoś się tego nie przestraszył?) – nagle jest wielka wojna informacyjna przeciwko nam.

Mamy Polską Fundację Narodową, ale adres jest do pana Urzędu. Na świecie jest mnóstwo portali, mnóstwo stron internetowych, kont fejsbukowych sprofilowanych na mówienie o polskim patriotyzmie, na szerzenie chwały polskiego patriotyzmu, polskiej historii i tych dobrych przykładów: Pileckich, Nilów, ale także od Chrobrego. Czy nie byłoby sensu, żeby te środowiska zgromadzić? Ktoś to musi zrobić. To nie chodzi o to, żeby to ubrać w jakieś ramy. Ale ci ludzie muszą mieć poczucie, w Polsce i za granicą, że jest jakiś ośrodek, który się nimi raz na rok za interesuje. Czasami korespondujemy. To są bardzo aktywni ludzie. Robią to bezinteresownie, bezpłatnie. Z czystych patriotycznych pobudek. Wysyp tego rodzaju działalności patriotycznej miał w ciągu ostatnich miesięcy szczególne znaczenie. Naprawdę mój podziw zyskali ci, którzy przez lata spali. Obudzili się. Czy nie byłoby sensowne, żeby właśnie pana Urząd podjął się takiej inicjatywy, żeby ich zgromadzić? Do tego nie trzeba dużo środków. Tylko wsparcie i zaznaczenie, że ci ludzie są potrzebni. Od czasu do czasu ukierunkowanie na coś – dobrym słowem, czasami dobrą książką, jakimś wydarzeniem. Ja nie widzę, szczerze mówiąc, innych środowisk poza pana Urzędem, w których by czegoś takiego się podjęto. Bo to trzeba zrozumieć i rozumieć i to trzeba czuć.

Jan Kasprzyk:

Miło mi słyszeć takie pochwały pod adresem Urzędu. Przekażę pracownikom. System grantowy, o którym wspomniano, w dużej mierze zastąpił taki system płatności, który w XVIII wieku funkcjonował w każdej ambasadzie w Warszawie. Że Repnin sypał, hetman wiedział... Niestety tak to działa i też mnóstwo publikacji, które w ostatnich latach namieszały poważnie w umysłach, jeżeli chodzi o najnowszą polską historię, zwłaszcza relacje polsko-niemieckie, jest efektem pewnych systemów stypendialnych, mówiąc najogólniej. Wszyscy wiemy, że to tak działa.

Oczywiście Polska Fundacja Narodowa, która miała być tą insty-

tucją, która swoimi działaniami miała dobre imię Polski rozślawiać, a jednocześnie z wyprzedzeniem tępić ataki na Polskę i po to powstała, funkcjonuje tak, jak funkcjonuje.

Pomysł ze zgromadzeniem środowisk, które w internecie czynią mnóstwo akcji patriotycznych jest bardzo dobry i pewnie będziemy musieli się tego podjąć...

Ja po dwóch i pół roku funkcjonowania w Urzędzie zauważyłem jedną rzecz. Zasada jest prosta. Nie ma co czekać i oglądać się na innych, bo po prostu to nie zostanie zrobione. Trzeba to zrobić. Teoretycznie rzecz biorąc, Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych powinien zajmować się wyłącznie sprawami socjalnymi, czyli wypłacać świadczenia i pomoc. I w zasadzie, zgodnie z ustawą, na tym aktywność się kończy. Natomiast Urząd nie ma obowiązku statusowego dofinansowywania wydawnictw, filmów, organizacji uroczystości. Tylko że jeżeli nie będziemy tego robić, to będzie to kulało.

Podam przykład z zeszłego roku. Po raz pierwszy obchodzony był 11 lipca Narodowy Dzień Pamięci Ludobójstwa Ukraińskich Nacjonalistów na Ludności. Jest czerwiec i żadna instytucja państwowa nie zastanawia się, czy nie należałoby zorganizować jakichś centralnych obchodów, tak aby z kolei – bo wiemy, że w tym temacie również funkcjonują różne programy grantowe ze Wschodu płynące – wydźwięk był taki jak chcemy. W przekazie polskim, państwowym, a nie takim, w jakim chciałby go widzieć wyłącznie Kreml. Okazuje się, że nikt o tym nie pamięta i nikt tego nie wie. Nikt się nie przygotowuje. A pomordowani na Wołyniu nie są naszymi podopiecznymi.

Ale to tak na marginesie mówiąc. Dobry pomysł.

Mirosław Lewandowski:

Bardzo dziękuję – myślę, że nie tylko w swoim imieniu – za ciekawy wykład. Wysłuchaliśmy go z tym większym rozrzewnieniem, że ta analogia do łańcucha pokoleń przypominała nam z kolei Akt Założycielski Konfederacji Polski Niepodległej. Zapewne to było zamierzone. Tam była mowa o sztafecie pokoleń i o tym, że my jesteśmy kolejną zmianą w tej sztafecie. Zresztą o tym już mówiliśmy.

Ale po tym wstępie, który miał być miły, to teraz troszeczkę dziegiu chciałbym powiedzieć, za co z góry przepraszam. Uważnie słuchałem, o czym panowie mówili. Pan minister mówił o służbie, doktor Urbanowski mówił o pracy i o sensie. Natomiast dla mnie patriotyzm, tak jak go rozumiemy nasze środowisko nurtu niepodległościowego, wyrastające z tradycji starszej niż Piłsudski i sięgające Kościuszki, to w patriotyzmie najważniejszym elementem jest wysiłek intelektualny dla dobra wspólnego. To jest element najbardziej charakterystyczny, który bardzo mocno cechuje nasze środowisko. Leszek Moczulski w doskonałej książce Marcina Furdyny i Marka Rodzika (Marcin Furdyna będzie jutro tutaj naszym gościem) *Czytaliśmy Piłsudskiego* podkreśla, że jeżeli chodzi o polski dorobek dla ogólnoswiatowej cywilizacji, to jako Polacy wnosimy dwie rzeczy oryginalne: to jest tradycja liberalnego, demokratycznego społeczeństwa Rzeczypospolitej Szlacheckiej, opartego na wolnościach, na republikańskości, mimo monarchistycznej formy rządów i – druga rzecz – to jest myśl niepodległościowa, patriotyczna, ale oparta na bardzo silnym komponencie intelektualnym.

Patriotyzm to nie jest gotowość do oddania życia za ojczyznę, tylko to jest gotowość do wykonania pewnego rodzaju wysiłku, ażeby w sytuacjach nawet pozornie beznadziejnych wstać więcej razy niż upaść i nie zginąć dla Polski, tylko znaleźć sposób, w jaki moja praca, mój wysiłek i poświęcenie będą miały większy sens.

Mówię tutaj o tym z pełnym spokojem, bo mam świadomość, że w świetnym filmie dokumentalnym obecnego tu Maćka Gawlikowskiego, zatytułowanym dość prowokacyjnie „Marsze niepodległości”, pan minister jest tym człowiekiem, który wypowiadając się przed kamerą reprezentuje taki sposób rozumienia patriotyzmu, o którym tutaj mówię – patriotyzmu jako wysiłku intelektualnego. W filmie jest to skonfrontowane z odmiennym sposobem, do którego przyznał się przed kamerą profesor Cenckiewicz (mówiąc o swoich poglądach z lat 90.). Mamy tam zderzenie dwóch koncepcji na temat tego, czym powinien być Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej po odzyskaniu niepodległości...

To, co w tym filmie jest niesłychanie cenne – i z tego powodu bardzo ubolewam, że film nie zaistniał jeszcze w mediach (mam nadzieję że to

się zmieni) – to jest pańska wypowiedź o nowoczesnym patriotyzmie. Rozumiem ją jako przypomnienie, że patriotyzm dzisiaj, to nie tylko przypominanie o tradycji i całe to – wpadające czasami w tromtadrację – odmienianie Polski przez wszystkie przypadki. Bardzo chciałbym prosić pana ministra o kilka słów na ten temat.

Maciej Gawlikowski:

Ja tylko jedno zdanie, skoro film został wywołany. Może zamiast tego, żeby pan minister go streszczał, to ja bym pana ministra prosił, żeby użył jakiegoś aparatu partyjnego, żeby partyjna telewizja po prostu go wyemitowała. I może nie w nocy. A jeśli już, to nie o pierwszej w nocy.

Jan Kasprzyk:

Najpierw Maćkowi odpowiem. Od kilku miesięcy takie starania czynię. Wpływu na aparat partyjny nie mam takiego, jaki bym może chciał, ale mam nadzieję, że to znajdzie jakiś sensowny finał, czy w sierpniu, czy bliżej już rocznicy setnej, ale jeszcze o tym porozmawiamy. Chcemy też zrobić uroczystą premierę w Warszawie. To na pewno. Na pewno też, jak już pójdzie emisja w telewizji, chcielibyśmy ten film dystrybuować na płytach w formie dodatku, czy to do „Kombatanta”, czy też do innych, finansowanych przez Urząd wydawnictw. To jest rzecz dodatkowa.

Ja w tym filmie mówię o jednej rzeczy. Mianowicie, kiedy zostawałem komendantem Kadrówki miałem 23 lata i doskonale rozumiałem, że jeżeli będziemy młodych ludzi зараżać patriotyzmem w sposób anachroniczny i mówić językiem, który nie jest językiem młodego pokolenia, to nic z tego nie będzie. Stąd pomysł, żeby patriotyzm nowoczesny był pojmowany jako pewnego rodzaju przygoda z ojczyzną. My to tak nazywamy na Kadrówce i tak mówimy młodym, ludziom. Patriotyzm to nie musi być cierpienie. Patriotyzm jest przygodą z ojczyzną. Jest odnawianiem się ojczyźnie, ale ma to też być radosne przeżywanie. Nie smutne, bo jesteśmy właśnie w czasie pokoju. Aby o historii, o przeszłości mówić językiem, który jest dla młodego pokolenia przyswajalny. Bo

o wartościach, o przeszłości można i należy mówić językiem współczesnym. Stąd, na przykład, w przypadku Kadrówki, przekształcenie tego wydarzenia w duże zawody paramilitarno-sportowe, które w jakiś sposób przyciągają młodych ludzi, którzy potem dopiero dotykają historii tutaj na Kielecczyźnie i na ziemi małopolskiej. Koncepcja, o której tam mówi Sławek Cenckiewicz, a która pod koniec lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych funkcjonowała, polegała na tym, że albo zwijamy sztandary, bo już jest niepodległość, albo cały czas robimy marsz dinozaurów, którzy co roku będą coraz starsi...

Maciej Gawlikowski:

Kontestatorów...

Jan Kasprzyk:

Tak jest, kontestatorów, również kontestatorów polskiego państwa.

A nam chodziło o to – i to na szczęście się udało – żeby młodych ludzi na Kadrówce zarazić sympatią czy wręcz miłością do munduru. Mundur jest jednym z najważniejszych atrybutów niepodległego państwa polskiego...

Ale to już państwo obejrzą film, doskonały zresztą. Naprawdę bardzo dobry film. Doskonale zrobiony dokument. Zresztą Maciek robi dobre filmy. Po prostu.

A Mirek pisze świetne książki.

Mirosław Lewandowski:

Bardzo dziękuję. Ale ad vocem. Panie ministrze, proszę powiedzieć, dlaczego tego patriotyzmu rozumianego jako wysiłek intelektualny jest obecnie tak mało?

Mam na myśli nie tylko Telewizję Polską i *Wiadomości*, ale całą masę innych działań...

Na przykład ten rejs niepodległości – świetny pomysł na wakacje! Ja też jadę na wakacje i gdyby Fundacja Narodowa zechciała mnie dofinansować, to chętnie wywieszę flagę. Są środki finansowe, które obecna

władza przeznacza na propagowanie patriotyzmu, tylko jest to okropnie jałowe intelektualnie. Boję się, że to wpadające czasami w tromtadrację patriotyczne podejście, raczej młodzież zniechęca niż zachęca do patriotyzmu.

Jan Kasprzyk:

Jestem absolutnym zwolennikiem pogłębiania intelektualnego wszelkich pomysłów i koncepcji, które mają służyć wychowaniu historycznemu, patriotycznemu, czy jak go tam nazwać. Starajmy się czynić coś, co jest jednak pogłębione intelektualnie. Tromtadracja jest oczywiście czymś, co – wróć do tego, co powiedziałem wcześniej – zabija patriotyzm. I tu jest to moje od lat propagowane hasło, żeby mówić ludziom młodym o ojczyźnie ich językiem, środkami przekazu i tak dalej. Tu jest ryzyko, o którym mówiłem nieco wcześniej, żebyśmy nie bawili się wtedy w taki patriotyzm fasadowy. Że jeżeli mówimy językiem młodego człowieka, bo on sobie nosi koszulkę z Pileckim, to już jest wszystko w porządku.

Natomiast nie ma nic złego w koszulce z Pileckim, jeżeli jest ona tylko dodatkiem do pogłębionych rozważań...

Głos z sali:

Jest lepsza niż koszulka z Che Guevarą...

Jan Kasprzyk:

– Ależ oczywiście.

W tym momencie minister Jan Kasprzyk musiał opuścić konferencję. Zarządzono przerwę. Po przerwie dyskusja nad jego referatem była kontynuowana.

Jerzy Wawrowski:

Mnie w wystąpieniu pana ministra zabrakło jednego. Naturalnym środowiskiem wychowawczym jest rodzina. To jest truizm. W rodzinie przekazuje się podstawowe wartości. Taką wartością jest patriotyzm.

Pytanie – czy mamy do czynienia z kryzysem w rodzinie? Czy z przemijaniem rodziny jako pewnej formy? Z odchodzeniem rodziny do historii? Bez wzięcia pod uwagę aspektu rodzinnego trudno będzie racjonalnie odpowiedzieć na problem kryzysu patriotyzmu. To jest w tym momencie zjawisko nie tylko polskie. Tutaj było powiedziane o negatywnych skutkach PRL-u jeśli chodzi o patriotyzm. A tylko prześlizgaliśmy się trochę po okresie III RP, w której, co dla mnie było szokiem, było tak dużo przekazu deprecjonującego wszystko to, co polskie, natomiast aprecjonującego to, co obce. To też nie sprzyjało rozwojowi patriotyzmu, tylko powodowało, że duża część młodzieży obojętniała na to co nasze.

Bohdan Urbankowski zwrócił uwagę na taką filozofię, że życie nie ma celu. Tu mi się przypomniała scena z filmu *Nóż w wodzie*, gdzie bohater grany przez Malanowskiego mówi – „Idzie się, żeby iść”, a drugi mu odpowiada – „Płynie się, żeby płynąć”. To jest taki manifest tej egzystencji dla egzystencji. Wydaje mi się, że funkcjonuje coś takiego coraz bardziej, że żyje się po to, żeby żyć. Coraz większe grupy żyją życiem samym w sobie. Dla samego życia.

Ja bym też nie deprecjonował odwoływania się do symboli patriotycznych przez młodzież. Odczułem, że tu jest to trochę deprecjonowane: mundury, koszulki, tatuaże. Nie oszukujmy się. Nie byłoby dobrze, jakby trzydzieści osiem milionów Polaków było intelektualistami. Tak nie będzie. I nie należy przywiązania do naszej tradycji – bo to jest pewna forma przywiązania – deprecjonować. Bo z tym się wiąże też stosunek emocjonalny. To nie jest tylko kwestia intelektualna.

Bohdan Urbankowski:

Jeśli założymy coś takiego jak absurd, a filozofia egzystencjalizmu towarzyszyła naszej młodości, a przynajmniej mojej, to znajdziemy. To może być twoje życie, może być życie ludzkości jako gatunku, może być jakiś kryzys kosmiczny... W każdym razie w pewnym momencie wszystko to traci sens. Zwłaszcza sens dotychczasowy. I nawet jeśli wierzysz, że kiedyś tam jakieś trzęsienie ziemi rozwali wszystkie ojczyzny, wszystkie narody, to dajesz tylko wyraz własnemu pesymizmowi.

O co mi chodzi? Otóż o to, że nawet jeśli zakładamy, że gdzieś tam jest absurd, potraktujmy to jako punkt wyjścia, nie jako punkt dojścia, bo ty chyba tak zinterpretowałeś to, z czym mamy do czynienia, z pewnym odcinkiem do dyspozycji. Jednostka ma krótszy, bo to jest jej życie. Naród ma dłuższy, ludzkość jeszcze dłuższy. Jeżeli istnieją byty wyższe, to być może to jeszcze inaczej wygląda. I w ramach tego, co dano nam, możemy stworzyć taki czy inny ustrój. Nasi przodkowie zaczęli budować tu Rzeczpospolitą. To, że patriotyzm przejawia się w sferze symboli może być złe bądź dobre. Jeżeli za symbolami nic się nie kryje, to niedobrze. Jeżeli symbole służą do oszustwa, to jeszcze gorzej. A jeżeli symbole są wyrazem wiary, natchnieniem do czynu, a bez tego nie byłoby krucjaty, mówiąc w skrócie, to chyba dobrze.

Uważam, że jeżeli mamy do czynienia z tak ogromną pracą historyczną, jaką jest budowa Polski, jaką będzie w przyszłości, miejmy nadzieję, budowa obszaru Międzymorza (pewnego rodzaju federacji, o której marzył Piłsudski, a wcześniej także Mickiewicz), to to nam wyznacza cel. A sens i cel, ja o tym mówiłem, się pokrywają. Jeżeli nie masz celu na jutro, to nie odczuwasz sensu. Nie masz celu całego życia, nie masz sensu życia. Można sobie wyobrazić całe narody pozbawione sensu, bo pozbawione celu. I wtedy albo próbują bawić się w orkiestrę na Titanicu, co jest bardzo częstym udziałem dużych grup społecznych, albo rzeczywiście popadają w niewolę tych narodów, które im narzucają sens. Albo masz cel własny, który wyznacza sens twoich zadań i jednocześnie jest dla ciebie wskazówką, co należy robić jutro, pojutrze, albo go nie masz. Tylko że tu się kłania wolność i trzeba po prostu z tej wolności korzystać.

Jerzy Wawrowski:

Ale jeżeli mówisz, że kłania się wolność, to ten taki czysto egzystencjalny sposób życia wydaje mi się łatwiejszy. Dlatego może on się bardziej upowszechnia. Po prostu żyje się, żeby żyć. Z tym zjawiskiem mamy do czynienia.

Bohdan Urbankowski:

Raczej nikt nie żyje, żeby żyć. Rozpowszechnił się tylko kult wartości niższych. Żyje się w sposób konsumpcyjny. Jeżeli masz jakąś wspólnotę, która coś robi...

Jerzy Wawrowski:

A masz taką wspólnotę?

Bohdan Urbankowski:

Wiesz, teoretyzujemy. Masz całą grupę ludzi, którzy coś mają robić. Jest podstawowe zjawisko zwane podziałem pracy. Jest zawsze jakieś miejsce. Wyobraźmy sobie budowanie świątyni. Nie wszyscy będą budowali wieżę, nie wszyscy będą robili dzwony, ale każdy jakieś miejsce sobie znajdzie. Problem w tym, żeby je znaleźć.

Niektóre rzeczy, które nam się wydają konfliktowe, w rzeczywistości nie są takie. Tak samo jak niektóre teorie naukowe, niektóre koncepty rozwoju gospodarczego. Tak że po prostu trzeba korzystać z wolności.

Tu jest problem w czym innym. Czy należy się zastanawiać nad udowodnieniem wolności, czy też należy przyjąć, że z wolnością to jest tak, że to jest rodzaj doświadczenia wewnętrznego. Jeżeli my wierzymy w doświadczenie zewnętrzne – a na ogół wierzymy – to zaczynamy wątpić w prawdziwość doświadczenia wewnętrznego, które nam mówi, że istnieje wolność. Tak samo jak mistykom mówi, że istnieje Bóg i tak dalej. Więc jeżeli mamy poczucie, że trochę tej wolności mamy mniej, że jesteśmy ograniczeni, to też jest doświadczenie wewnętrzne. Inaczej mówiąc, rzeczywiście mamy tej wolności mniej. Mamy jej tyle, ile jej w naszym doświadczeniu rozpoznajemy. Ale to nie jest wartość dana raz na zawsze. Właśnie korzystając z wolności, możesz tę wolność rozbudowywać. Na tym polega paradoks. Korzystając z wolności do uczenia się, do trenowania, do pracy, albo ma się charakter, albo się kończy na grze pozorów, obłudzie i oszukiwaniu samego siebie.

Jerzy Wawrowski:

Ja właśnie odnoszę wrażenie, że rzeczywistość zmierza w tym kierunku, że to jest bardziej gra pozorów i obłuda. Bardziej oszukiwanie samego siebie. Że tego jest coraz więcej. Może ja mam takie spojrzenie ostatnio pesymistyczne, ale tak to wygląda.

Bohdan Urbankowski:

Zawsze było tak, że jeżeli jakaś większa społeczność – na przykład w Grecji – coś buduje, to prócz tego masz grupę neutralną, która nie chce budować. Tylko pasożytuje i skłania się do konsumpcji dóbr wytworzonych przez twórców. Masz jeszcze grupy zewnętrzne, które próbują rozbić tę konstrukcję.

Teraz popatrz, co się u nas dzieje. Jest taka grupa jak my – przyjechalіśmy tutaj, żeby coś zrobić. Ale wyobraźmy sobie, że gdybyśmy my w ramach czasu wolnego coś siali albo orali, to może przyjdzie grupa, która ma w nosie, że my tutaj rozmawiamy i dyskutujemy, tylko chce zeżreć te truskawki. Tak jest w każdym społeczeństwie i teraz kwestia, żeby sobie jakoś z tym rakiem poradzić.

Wspólnota musi mieć narzędzia w interesie wspólnoty. A u nas powstała fikcyjna wspólnota bez narzędzi. Toczy się na poziomie partii, partie się między sobą gryzą, a tego spojrzenia ogólnopolskiego, które zawsze cechowało piłsudczyków, brakuje. Partia skupia się na tym, żeby dopieprzyć tej drugiej. Jest ministerstwo i ono szybciotko obsadza swoimi stanowiska i nie ma wizji na przyszłość. A jak nie ma wizji, to ono nie ma sensu istnienia.

Jerzy Wawrowski:

Tak, ale u podstaw tych zjawisk jest to, o czym mówimy. Obłuda, zakłamanie, zanik wartości. Upadek cywilizacji zaczyna się od zaniku wartości. Upadek kultur, zanik kultur, zmierzch kultur. Teraz pytania, w jakiej fazie procesu dziejowego my jesteśmy? Czy jesteśmy w fazie wzrostu, odrodzenia?

Dla mnie III RP nie jest przykładem odrodzenia polskości i Polski. Jest jakimś tworem, który powstał po PRL-u. W tym roku obchodzi-

my stulecie niepodległości, ale co z tymi 45 latami PRL-u? 100 minus 45, czyli obchodzimy pięćdziesięciopięciolecie. Chyba że uznamy, że te czterdzieści pięć to też była niepodległość. Jak jedno z drugim pogodzić?

Bohdan Urbankowski:

To jest pomylenie nazewnictwa. Setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości nie jest stuleciem niepodległości. Nie mylmy tych pojęć. To jest podstawa.

Jerzy Wawrowski:

To jeżeli teraz obchodzimy setną rocznicę odzyskania niepodległości, to kiedy odzyskaliśmy po raz drugi niepodległość po PRL?

Bohdan Urbankowski:

Jest tylko setna rocznica niepodległości. Nie ma dwudziestej którejś. Jest rocznica 4 czerwca, którą robią środowiska jako przywrócenie demokracji. Ale tam nie ma mowy o niepodległości. Niepodległość jest tylko w tym jednym punkcie. W 1918 roku.

Andrzej Chyłek:

Ja bardzo przepraszam nowo przybyłych gości, ale jest zasada, że się zapisujemy do głosu. To jest podstawa. Ta dyskusja między panami to jest jakieś nieporozumienie, trzeba to uporządkować. Jest pytanie, jest odpowiedź, przechodzimy do następnego. To była ciekawa polemika, dlatego pozwoliłem na wymianę zdań, ale na tym kończymy i przechodzimy do kolejnego mówcy.

Andrzej Anusz:

Będę się odnosił do dyskusji, w której uczestniczył jeszcze pan minister.

Po pierwsze wątek Monte Cassino, o którym też mówił Michał. Sądzę, że za mało o tym rzeczywiście mówimy. Mówiliśmy już o Pol-

skiej Fundacji Narodowej, która szuka tematów, miejsc, żeby pokazać polską historię w skali światowej. Uważam, że Monte Cassino jest takim miejscem, żeby go tak pokazać. Po pierwsze samo miejsce jest symboliczne. Klasztor, opactwo, tam jest grób świętego Benedykta, patrona Europy. W momencie, kiedy cały czas są dyskusje, jak Polska ma być w Europie, to piękna historia Monte Cassino i udziału Polaków w bitwie doskonale wpisuje się w szerszy kontekst. I to nie jest tylko na zasadzie tej wielkiej bitwy II Wojny Światowej, ale można tutaj się odnieść do bardziej historycznych, symbolicznych rozważań o Europie, o tym gdzie Polska była. Często o tym zapominamy, a bitwa o Monte Cassino to była ogromna bitwa. Czteryście tysięcy ofiar. Po dwieście tysięcy po obu stronach. Rzadko w polskiej historii tak jest... Oczywiście narracja jest taka, że tam bardzo dużo Polaków zginęło. To była bardzo krwawa bitwa. Ale jeżeli przyłożymy to tak – około 2 tysięcy polskich żołnierzy, którzy zginęli, to jest rzadkość w polskiej historii, że postawiliśmy „kropkę nad i” nad taką wielką światową operacją. I ta polska narracja pod Monte Cassino jest naprawdę niesamowita. Bo to Polacy zdominowali tę bitwę. Na Monte Cassino patrzy się poprzez Polaków. Przez cmentarz, ale i przez polską narrację. W związku z tym uważam, że brak filmu o Monte Cassino, pokazującego bitwę nie tylko z polocentrycznego punktu widzenia, ale światowego... No jeśli szukać tematu, to Monte Cassino jest przecież wielkim tematem. Zresztą ja mam okazję rozmawiać z ludźmi, którzy działają przy produkcjach filmowych. Wrzuciłem im ten temat i może kiedyś taka wielka produkcja o Monte Cassino powstanie. Opowiedzenie tej historii jest dla nas, Polaków, nawet w tej sytuacji, w której obecnie jesteśmy i miejsca Polski w Europie, to jest bardzo ważny temat.

Teraz bardzo krótko nawiążę do referatu ministra. Minister skoncentrował swój pozytywny przekaz, nawiązując do patriotyzmu II Rzeczypospolitej, który też jest mi bardzo bliski. I to jest etos służby wspólnocie, rozumianej jako niepodległe państwo. Rzeczywiście wypada się z tym zgodzić. Zresztą jest to myślenie bardzo piłsudczykowski. I teraz przekładając to na naszą współczesną rzeczywistość, na to,

jak patriotyzm rozumiemy dzisiaj i co z patriotyzmem powinno być dalej, powinniśmy sobie odpowiedzieć na to, co wisi w powietrzu. Po pierwsze, jeśli mamy nawiązywać do patriotyzmu II Rzeczypospolitej, który się koncentrował w jakimś pojęciu wokół naszego państwa, to dojdźmy do tego, czym było nasze państwo przez te 45 lat. I wiadomo też, że w myśleniu ludzi z opozycji, jeszcze przed 1989 rokiem, państwo było dla nas wrogiem. Myśmy walczyli z tym państwem. Forma państwa była narzucona, to był byt, z którym my walczyliśmy. I my, i większość społeczeństwa, przynajmniej ta bardziej aktywna, która się temu przeciwstawiała, walczyła z państwem. I teraz, co jest moim zdaniem jednym z największych grzechów tego, co się wydarzyło po 1989 roku, to jest to, że my do dzisiaj, do 2018 roku, mamy to państwo nie do końca zdefiniowane. Czy ono jest naprawdę w 100% nasze? Jakby każdy z nas tutaj miał się dzisiaj wypowiedzieć, jak on rozumie to państwo i czy się w 100% z tym państwem identyfikuje, to moim zdaniem, mielibyśmy wielki kłopot. Jeśli chcemy iść kontynuacją patriotyzmu II Rzeczypospolitej, o czym mówił minister Kasprzyk, to to jest moim zdaniem podstawowa dyskusja: czym jest państwo, jak je rozumiemy dzisiaj, jak chcemy je zmieniać, jak ono powinno wyglądać, żebyśmy mogli się w jak największym stopniu z nim utożsamiać? Bo jeśli do tego by doszło, to rzeczywiście ta definicja etosu służby wspólnocie by pasowała. Tylko czym to państwo jest i jak ono powinno wyglądać, żeby być państwem zupełnie niepodległym i żebyśmy mogli realizować ten model patriotyzmu?

Maciej Gawlikowski:

Etos służby, etos budowy państwa, etos wspólnoty. O tym mówił minister i o konieczności znalezienia, wywoływania tych wzorców z przeszłości, które mają kształtować młodzież. Oczywiście wzorce są ważne, aczkolwiek wymienianie w tym kontekście Żołnierzy Wyklętych, to kompletnie nie ta bajka. Jeżeli mówimy o etosie budowy państwa, to akurat przegrani żołnierze beznadziejnych wojen (nie z ich winy, to są bohaterowie) nie nadają się jako wzorce. Ale wzorzec jest tylko narzędziem.

Ważne jest, kto go używa i jak. I problemem jest to, kto te wzorce propaguje. W sposób naturalny nośnikami ich są politycy, urzędnicy państwowi. I tu jest, moim zdaniem, kluczowy problem. W braku elity politycznej. Mamy klasę polityczną, która w III RP skutecznie się kompromituje. Teraz jesteśmy w trakcie początku bardzo dużej kompromitacji kolejnej ekipy. I to jest potężne zagrożenie. Nie jakieś fundusze zagraniczne, o których mówił Mariusz Olszewski, nie Hupka i Czaja, którzy gdzieś się czają i czyhają pogrobowcy niemieccy, żeby z pomocą fundacji Adenauera odebrać prapolski Szczecin. Większym zagrożeniem jest złodziejstwo elit politycznych, jest głupota, jest aintelektualizm. To, że w tej polityce nie widać myśli, nie widać idei. Że wydaje się potężne pieniądze – z zamiarem propagowania patriotyzmu – na jakieś kompletne bzdury, a nie na jakieś działania naprawdę edukacyjne, intelektualne. Chociażby programowe.

W ogóle nie ma dyskusji programowych i to jest zarzut nie tylko w stronę rządzących, ale przede wszystkim opozycji. Nie ma w ogóle dyskusji programowych. Mówienie o patriotyzmie, to za mało. To że wymyślimy kolejne hasła. Mnie to czasem przypomina PRL. Mówienie o patriotyzmie po prostu wylewa się z ekranów i głośników. Mnie to drażni. Zaczynam się jeżyć, jak to słyszę. Gadanie – jak kiedyś obozu rewolucji w okolicach października i listopada. To jest przeciwnie. W ten sposób nie dotrzemy. Najlepszy byłby przykład. Mądre działania patriotyczne, propatriotyczne, intelektualne, plus przykład idący z góry. Próba budowania elity politycznej. Nie wiem jak to zrobić, ale moim zdaniem, właśnie od tego trzeba zacząć.

Zbigniew Jackiewicz:

Zanim przejdę do najważniejszej sprawy, to dwie sprawy, które się przewijały w dyskusji.

Pierwsza to Monte Cassino. Myślę, że warto rozważyć formułę budowania tego miejsca jako ważnego centrum w perspektywie międzynarodowej, polonijnej. Patrząc na to z perspektywy rodziny, która rozparcelowana jest między dzisiejszą Wileńszczyznę, Polskę i Anglię. Powiedziałbym, że to pokolenie wnuków w Polsce chyba jest w najła-

twiejszej sytuacji. Na Litwie w niezłej, a wnuki mojego stryja, który walczył pod Monte Cassino, myślę, że tam mogłyby przeżyć najpiękniejsze chwile i największy wstrząs, jeśli chodzi o kwestię tożsamości. Więc myślę, że należałoby myśleć o budowaniu patriotyzmu w skali nieograniczającej się tylko do naszego państwa, ale sięgającej bardzo wyraźnie do Polonii.

Druga sprawa. Był poruszony wątek instytutu myśli państwowo-twórczej. To jest bardzo ważny temat. Chciałbym tylko nadmienić, że w roku 1990 ten pomysł miał formę inicjacji, potem działalności, bo jak powstawał Instytut Studiów Politycznych PAN, to miała być taka instytucja. Skupiła politologów, socjologów, historyków z nurtu opozycyjnego, solidarnościowego i przez kilka lat spełniała swoją funkcję. Ale z dzisiejszej perspektywy jest przechowalnią elit pasożytniczych. Mówię o tym, żeby przypomnieć, że takie doświadczenia negatywne są, ale myślę, że wysiłki na rzecz budowania tego typu instytucji na nowo trzeba podejmować.

Trzecia rzecz, najważniejsza. To troska o niepodległe państwo. Mnie łatwiej się identyfikować ze wspólnotą narodową niż państwową. Ja rozumiem, że okres II Rzeczypospolitej był skoncentrowany na tej sprawie budowania niepodległego państwa i jest tu piękna historia i dużo wzorów. Ale jak popatrzymy w szerszej perspektywie historycznej, to siłą naszej kultury jest to, że się komunikujemy na poziomie wspólnoty narodowej, a nie państwowej. I myślę, że ten dylemat, czy się widzimy w kategoriach wspólnoty narodowej czy państwowej jest ważny. Dla mnie bliższa jest kwestia wspólnoty narodowej. Tu bym kładł nacisk. Troska o niepodległe państwo polega na trosce o niepodległą wspólnotę narodową.

I ostatnia sprawa. Nie wiem, czy dobrze usłyszałem, ale minister koncentrując się na dorobku II Rzeczypospolitej, tak trochę bagatelnie wypowiedział się o dorobku „Solidarności”. O czasach „Solidarności” i kulturze „Solidarności”. A ja będę bronił tego powstania. Sam się wychowałem na kulturze „Solidarności” i oczywiście ona miała swoje niefortunne dzieje, ale ma duży potencjał. Kultura „Solidarności” jest naszą dużą siłą!

Andrzej Chyłek:

Zanim oddam głos kolejnemu mówcy, chciałbym od siebie dodać coś do przemyślenia. Bo my do tej pory cały czas koncentrujemy się na patriotyzmie w wymiarze wspomnieniowym. Na tym, co przeżywali nasi przodkowie, tym, co my byśmy chętnie widzieli, a nie odnosimy się do tego, co tak naprawdę jest potrzebne dzisiaj młodzieży, żeby w sposób patriotyczny myśleć o Polsce nie w czasach wojny, nie w czasach walki o odzyskanie niepodległości, tylko w czasach pokoju. Żeby myśleć o tym, aby nasz kraj był niepodległym w przyszłości i nie dał się zniewalać innym wspólnotom, które by bardzo tego chciały. Tego mi brakuje w naszej dyskusji. Maciek Gawlikowski o tym właśnie mówił. O żołnierzach przegranych wojen, aczkolwiek tu bym z tobą polemizował...

Kazimierz Wilk:

Zacznę od tego, co mówił minister. II Rzeczpospolita była budowana w innej rzeczywistości. Rozmawianie dzisiaj, szukanie wzorców, które można by garściami brać i przenosić na dzisiejszą rzeczywistość, jest niemożliwe. Oczywiście należy odwoływać się do wzorców, które były w II Rzeczpospolitej. Natomiast dzisiaj mamy zupełnie inną rzeczywistość. Dzisiaj musimy budować niepodległe państwo.

Ja nie narzekam na młodzież. Bo jakby spojrzeć, ile obcych wzorców napłynęło do kraju, to naprawdę ci młodzi (nie wszyscy)... Ja bym tutaj nie rozdierał szat.

W kontekście niepodległego państwa polskiego nie możemy nie rozmawiać o tym, co się dzieje w Europie. Szykuje nam się następny przeciwnik. Islamizacja Europy. Nie możemy rozmawiać tylko w wąskim temacie niepodległego państwa polskiego. Za rok, za dwa, za trzy, może za miesiąc staniemy w takiej sytuacji, że będziemy musieli niestety bronić nie tylko niepodległości, ale i kultury. Bo taka jest prawda.

I jeszcze jedna sprawa. Instytucje państwowe nie potrafią odróżnić stulecia niepodległości od stulecia odzyskania niepodległości. Jak chcecie państwo sprawdzić, to jest moneta do kupienia w skarbnicy narodowej. I co jest na głównej stronie? Stulecie niepodległości. No więc jak ci młodzi ludzie mają to wszystko rozszyfrować?

Jerzy Wawrowski:

Generalnie rzecz biorąc, z wypowiedzią Maćka Gawlikowskiego – bo ona mnie zainspirowała – zgadzam się w pełni. Tylko kilka uwag.

Jedna rzecz – słabość politycznych elit. Elity nie biorą się z powietrza. Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy mamy elity, czy ich nie mamy. W moim przekonaniu tych elit nie mamy, musimy je stworzyć. To że przez okres III RP społeczeństwo nie jest w stanie wyłonić z siebie elit, to jest jakaś wada społeczna. Elity nie przylatują z kosmosu.

Druza rzecz. Sprzeciwiam się deprecjonowaniu przegranych żołnierzy beznadziejnych wojen. Po pierwsze, tych żołnierzy beznadziejnych wojen mieliśmy w naszej historii sporo. Wojna polsko-rosyjska 1831 roku, to pierwsza taka przegrana wojna, Powstanie Styczniowe, które nie było wojną, ale było powstaniem. Też przegranym. W moim przekonaniu – mam do tego może romantyczne podejście – to było dawanie świadectwa czynem. Tak jak chrześcijańscy męczennicy dawali świadectwo swoim męczeństwem, to nasze polskie, kolejne pokolenia dawały świadectwo czynem. I nie oszukujmy się. To, że ja znalazłem się w „Solidarności” w 1980 roku, a nie gdzie indziej, to dlatego, że czytałem określone książki historyczne i z tym świadectwem się zapoznałem.

Tylko teraz jest pytanie. Będąc społeczeństwem bez elit, narodem ułomnym, bo naród bez elit jest ułomny, musimy sami siebie uleczyć. Pytanie, jak? Jak to stworzyć?

Wracając do instytucji. My cały czas mamy problem. Bo można tworzyć kolejne instytucje. Można jedne łączyć, inne dzielić. Tylko te instytucje zatrudniają ludzi. O jakości działania decyduje jakość ludzi. I znowu wracamy do punktu wyjścia. Do braku elit.

Następna rzecz – kultura „Solidarności”. Ja też się czuję człowiekiem wychowanym w dużej mierze w kulturze „Solidarności”. Tylko po 1989 roku kultura „Solidarności” została zaprzeczona przez to, co można by nazwać kulturą prywatyzacji. I ta kultura w III RP wzięła górę. Nie mówię o prywatyzacji w sensie przemian gospodarczych, tylko mam tu na myśli cały proces machinacji, malwersacji i nadużyć, dotyczących prywatyzacji.

Michał Janiszewski:

Ja mam dwie refleksje, których przy panu ministrze nie mówiłem. On każde wystąpienie we Włoszech kończył słowami „Niech Bóg błogosławi Polskę! Niech Bóg błogosławi Włochy!”. Wszyscy przedstawiciele włoscy kończyli swoje przemówienia „Viva!”. Ale obserwowałem tych ludzi. Jak Zbyszek zauważył, mnie nigdzie na zdjęciach nie było. Chciałem zobaczyć ludzi. Reakcja ludzi była trochę zdumiona, ale przejmująca.

Tam byli weterani. Z Kanady, nawet z Argentyny. I tutaj smutna obserwacja. Kapitan Hulaski był w Izraelu z wnukiem, a we Włoszech z synem. Żaden z nich nie rozumie po polsku. Widać, że oni zaczynają to przeżywać. Bo widzą ojca, dziadka honorowanego. I może to ich zainspiruje do powrotu do korzeni. Ale niestety: te rodziny, te osoby towarzyszące – ani słowa po polsku. Chyba że dwa przypadki były z Kanady, że członek rodziny normalnie po polsku się wypowiadał.

Jak im pokazać polskość? Niekoniecznie w Polsce, ale właśnie tam. Rozpisanie takiego programu, do którego będzie można włączać poszczególne elementy. Pójść do Polskiej Fundacji Narodowej, złapać ich za gardło, do MON-u, żeby coś sfinansowali.

Bo decydenci niestety są tacy, jacy są. Przyleciał jeden minister, drugi minister. Przylecieli nawet Casą. Trochę tam pochodzili, złożyli kwiatki i pojechali. A to wszystko Janek Kasprzyk ciągnie i za to mu chwala. Jego trzeba wesprzeć.

Myślę, że takie instytucje jak nasz Instytut (może da się namówić jeszcze kilka społecznych organizacji?), może dać im konkrety na stół. To może wywołać pozytywny efekt.

Maciej Gawlikowski:

Wiem, co wywalczyliśmy pod Monte Cassino, rozumiem symbolikę. Ale młodzież szkolna nawet do Auschwitz nie jeździ. I to jest tragedia. Auschwitz, Katyń. Ale czy Monte Cassino? Fajniej jest pojechać do Monte Cassino niż pchać się do Smoleńska, ale jednak...

Bohdan Urbankowski:

Może zacznę od uwagi do twojej wypowiedzi. Otóż nie widzę konfliktu między szacunkiem dla Monte Cassino i szacunkiem dla Auschwitz. Każda kultura mierzy się bogactwem, także swoich miejsc świętych. I nie ma tutaj wykluczania, natomiast może być głupia nauka o jednym czy drugim. Żydzi to robią znakomicie. Puszczają młodych Żydów odizolowanych całkowicie od historii i od wiedzy, prowadzonych przez agentów Mossadu. Niby oni są zszokowani tym, co widzą, a jednocześnie pakuje im się do głów pewną narrację. I oni są przekonani, że to jest zbrodnia polska i oni są otoczeni tylko wrogami, więc też muszą się bronić. Mają prawo nawet do niemoralnego postępowania i tak dalej.

To, co mówiłeś, z określeniem tego, czy są elity, czy ich nie ma. Są elity. Nie jest tak, że nie ma, bo jak ich może nie być? To jest tak, jakbyśmy powiedzieli, że nie ma wyższych, tylko są sami niżsi. Nie ma grubszych, tylko są sami chudsi. Elita jest pewnym określeniem formalnym jakiejś społeczności. Ta społeczność ma swoją elitę, ma swoją masę, ma ludzi w ogóle nienależących do tej społeczności, chcących ją rozwalić i tak dalej. Wydaje mi się, że mówiąc o elitach macie na względzie coś innego. Że nie ma pewnego typu elity, mianowicie tej, której zainteresowaniem i poświęceniem byłaby wspólnota narodowa, a nawet większa, czyli państwowa. I to jest niestety bolączka, bo tak jak patrzymy na narastanie wspólnot (wspólnota rodzinna, wspólnota wiejska, wspólnota – jak było modne – małej ojczyzny), to za każdym razem ta wspólnota ma jakąś swoją elitę. I musi mieć jakąś strukturę, żeby istnieć, żeby działać. To są formalne wyznaczniki. One zawsze są, zawsze być muszą i możemy sobie tylko powiedzieć, że mamy w tej chwili elity przede wszystkim niedokształcone, nieorganizowane i rozproszone.

Kto wie, że niedługo umrze, prawdopodobnie jeden z najwybitniejszych naszych poetów – Andrzej Biskupski. Prawdopodobnie nikt nie wie, kto to był Andrzej Biskupski. Kiedyś tam za granicą popełnił samobójstwo bądź został zamordowany Jacek Bierezin i też na ogół ludzie nie wiedzieli. Wiedzą natomiast, kto to był Barańczak, bo Barań-

czak był przyjacielem Michnika i dostał od niego nagrodę. Tak wygląda kreowanie elit. Działa tu dziwne prawo, że towar gorszy wypiera towar lepszy, że moneta gorsza, podrobiona, wypiera tę lepszą.

Przechodząc do takich spraw jak państwo, naród, patriotyzm. Spory są pozorne. Są dowodem niedokształcenia naszych elit przede wszystkim w logice, ale one są i służą do manipulacji. Bo spór „nacionalizm czy patriotyzm” to jeden z najgłupszych sporów, jaki mógł w kulturze powstać. Nie ma czegoś takiego, bo odniesieniem słowa patriotyzm jest *patria*, czyli pewien obszar, ojczyzna, ziemia ojców. *Natio* to jest naród. To są ludzie, którzy mieszkają, którzy przetwarzają tę ojczyznę. Natomiast można sobie historycznie wytłumaczyć, że Dmowski i Piłsudski startowali do tej samej panny i tu mamy jakieś wyjaśnienie.

Teraz problem niepodległości. Jeżeli będziemy niepodległość definiowali jako coś bardzo wąskiego, tylko i wyłącznie jako niepodległość opierającą się na aparacie militarnym bądź na własnej administracji, to naród mógłby się bez tego obejść, jak myśmy się obeszli przez 123 lata nie mając własnej administracji. Część tak zwanych elit poszła na kolaborację. No bo poszła. Do pewnego czasu i Dmowski był kolaborantem i paru innych polityków. A to są ci najlepsi. Z innymi było jeszcze gorzej. I teraz jest problem, czy pełna niepodległość jakiejś społeczności może być bez niepodległości – i tutaj sobie dopasowujemy: państwowej, wojskowej, kulturalnej, ekonomicznej, oświatowej, religijnej?

Pewne spory oznaczają postawę minimalistyczną. Po cholerę nam państwo, skupimy się na kulturze. To jest tradycja Druckiego-Lubckiego, to jest jeszcze Królestwo Polskie. My osiągniemy niepodległość, bo będziemy lepiej gospodarować. To jest tradycja potem Wielopolskiego, naszych pozytywistów. Byli panowie, którzy sądzili, że jak będziemy tu mieli fajne wytwórnie, huty, stal i tak dalej, to zdominujemy Rosję, będziemy tymi najbogatszymi, a z nich to będziemy tylko soki czerpać. Po czym wybuchła wojna i te nasze fabryki razem z inżynierami, z pracownikami, w dużym stopniu wywieziono do Petersburga. Tak się kończy brak jednej z podstawowych niepodległości. Bo zabrakło tej niepodległości militarnej i państwowej. Po cholerę nam wtedy niepodległość ekonomiczna? Nie wystarczyła. Inaczej mówiąc, niepod-

ległość jest pojęciem totalnym. Wymagającym. I wtedy dochodzimy do tego, że jednak trzeba stworzyć państwo.

Ale nie możemy tego państwa wyabsolutnić, że użyję tutaj takiego heglowskiego terminu. Na państwie nie kończy się istnienie ludzkości. Państwo jest wokół innych państw na kontynencie. Państwo jest dzisiaj, ale ma swoją przyszłość. To też są elementy, o których trzeba cały czas myśleć. Jeżeli my dzisiaj cieszymy się, że odkupiliśmy parę banków i paru złodziei wsadziliśmy, to znaczy, że jesteśmy takimi żabami, które patrzą tylko w dół. Jest taki gatunek, który ma oczka do góry cały czas. A my nawet tymi nie jesteśmy. To się nazywa żabia perspektywa. I niestety większość naszego społeczeństwa żyje w takiej żabiej perspektywie. To jest moja pretensja do Ministerstwa Kultury i do wszystkich innych. Wizja, co będzie z tym państwem, z polską niepodległością, także z młodzieżą, z wykształceniem za lat dwadzieścia i pięćdziesiąt.

Pamiętam, jak prowadziłem kiedyś zajęcia z filozofii, to jako jeden z tematów dawałem „jak wyobrażam sobie siebie za lat pięć, dziesięć i dwadzieścia”. I okazało się, że to były jedne z najlepszych zajęć z filozofii, a nie wkuwanie Hegla czy Kanta. Wydaje mi się, że taką postawę powinni przejść wszyscy nasi urzędnicy państwowi i na początek zadać sobie pytania. A co będzie z Polską? Co będzie z naszym resortem? Co będzie z polską kulturą za lat pięć, dziesięć, dwadzieścia?

Krzysztof Laga:

Chciałem powiedzieć o tym patriotyzmie skierowanym do młodzieży. To jest próba wciągnięcia młodzieży w takie bardziej aktywne obszary szeroko rozumianego patriotyzmu.

Zacznę od dykteryjki, której nie opowiedziałbym przy ministrze, ale skoro jesteśmy w swoim gronie, to opowiem. Jest wiosna 1985 o roku. Studium Wojskowe Uniwersytetu Śląskiego, czyli nasza kompania, rozdajemy sobie bibułę, bo jest przerwa. Wymieniamy różne poglądy. Wpada na to pułkownik – szef polityczny naszego Studium Wojskowego – i zaczyna płakać. Ja w pierwszym momencie myślałem, że Jaruzelski zmarł. Bo to była wyjątkowa bladź, więc mógł tylko płakać, jeśli

umarłby najważniejszy z najważniejszych. A on stanął, łzy mu ciekły i mówi: „Wiem! Wiem, o co chodzi z tym wszystkim. To jest wszystko przez to, że w szkołach zawodowych zlikwidowali lekcje historii. I teraz młodzież chodzi z tymi dziesięciozłotówkami, rzuca w milicję i krzyczy – »Gestapo!«”.

Jest stulecie odzyskania niepodległości, to jest już kolejna dyskusja, w której uczestniczę i wszyscy łamią sobie głowy nad tym, dlaczego ta młodzież się teraz odwraca, że nie chce uczestniczyć? Podstawowe błędy są systemowe. Problem leży w systemie. W systemie oświaty, w systemie edukacji, w systemie najpierw szkolenia nauczycieli i potem braku przełożenia tego na instrumenty, na programy. Tutaj dyskusja i próba wciągnięcia ministra – „Zróbmy z Urzędu do Spraw Kombatantów urząd onnipotencyjny do spraw różnych”. Przecież jeżeli chcemy do tego podejść systemowo, to można wykroić z Ministerstwa Kultury i wykreować nowy urząd. Dać im pieniądze. Zlikwidować tę śmieszoną Polską Fundację, a część przynajmniej środków ulokować tam. I stworzyć rzeczywisty program, który zainteresuje młodzież w klasach siódmych, ósmych, w liceum. Może być wielowarstwowy.

U mnie w szkole wszystkie siódme i ósme klasy jeździły do Auschwitz. Co roku rocznik w rocznik wszyscy jechali. Jeżeli ktoś wie, że jest jeden dzień, kiedy nie musi się uczyć, a pojedzie sobie na wycieczkę – od nas Oświęcim nie jest daleko – to przynajmniej nie będzie potem heilował na ulicy. Tak samo z Katyniem. W Polsce jest tyle miejsc pamięci, które można pokazać młodzieży.

Boguś ma tutaj rację, że ten program nie może być tylko historyczny, jednopłaszczyznowy. Są elementy historii Polski w sensie filozoficznym. W sensie nawet zahaczającym o język polski. Chodzi o pokazanie, jak na przestrzeni lat ten patriotyzm występował w literaturze...

To się, moim zdaniem, da zrobić, tylko musi być wola polityczna, żeby do takich zmian mogło w naszym kraju dojść.

A elity? Elity mamy takie, jakie mamy. Ja z przerażeniem patrzę na to, co się dzieje w kraju. Myśmy szli z pewną misją do polityki. Spójrzcie po sobie. A dzisiaj czterdziestolatkowie idą po to, żeby zostać posłem, a żonę wsadzić do spółki Skarbu Państwa...

Maciej Gawlikowski:

I na tym polega współczesny polski patriotyzm!

Krzysztof Laga:

Problem polega na tym, że to wszystko ciągnie w dół. Niby teraz dochodzą do głosu pokolenia, które nie mają żadnego doświadczenia komunizmu. Jak był komunizm, to mieli może 3 latka, jak się kończył, albo w ogóle nie mieli. A dzisiaj nie wiadomo w ogóle przez kogo ci ludzie są wychowani. Ani rodzina ich nie wyedukowała, nie nauczyła kindersztuby, ani szkoła. A większość tych ludzi ma wyższe wykształcenie. I edukacja na najwyższym szczeblu też ich niczego nie nauczyła. To jest porażające i pokazuje rozpad zupełny systemu edukacji.

Piotr Wójcik:

Niestety mimo prób skupiania tej dyskusji, ona jest trochę rozstrzelona, więc moja wypowiedź też będzie.

Zacznę od tego – nie odnosząc się na razie do wystąpienia ministra – że jedną z najistotniejszych kwestii, jaka tutaj padła, to konstatacja na temat systemu edukacji. To się odnosi do wszystkich wątków, które tutaj były poruszane: do elit, czy ich braku; do tego, jakie one są; do zagrożeń; do tego, czy patriotyzm na kosztach, z tatuażami jest naskórkowy czy nie. W dzisiejszej dyskusji często skupiamy się na detalach, które są dla nas istotne, bo nas jakoś tam bolą. Ten wątek edukacji to jest podstawowe zadanie, które musi być potraktowane przez środowiska takie jak nasze, także jako zadanie. Przynajmniej to, że spróbujemy kiedyś zrobić konferencję tylko i wyłącznie na ten temat, sformułować, czego chcielibyśmy w sensie zmiany i gdzie wysłać. Użyli naszego onnipotentnego ministra Kasprzyka, żeby komuś to przekazał i tupnął nogą, że może coś trzeba zmienić. Może nic z tego nie będzie, ale chodzi o to, żeby te dywagacje kończyły się jakimś... – nawet niech to będzie teoretyczne pisanie na Berdyczów. Ten wątek edukacji – niezamierzenie – ale kolega mnie zainspirował, stał się osią mojego wystąpienia.

Rozmawialiśmy także o tym, czy ten nasz patriotyzm jutra, czy ten

współczesny, jaki on ma być. Padło parę zdań, że on jest taki bardzo do wewnątrz, że opiera się na perspektywie żaby taplającej się w bajoru itd. Rzeczywiście, jeśli chcemy mieć komunikację z młodzieżą i chcemy, żeby ten patriotyzm stawał się nowoczesny, powinniśmy prowadzić dialog widząc Europę, w której jesteśmy. Mamy inżynierów społecznych pokolenia 68 roku, dla których historia wtedy się dopiero stała. I oni nas będą oświecać, grantami wykorzeniać naszą młodzież. Uważam, że to jest istotne niebezpieczeństwo, ono istnieje. Ale wydaje mi się, że oni już przegrali. Przegrali na przykład w konfrontacji z kryzysem emigracyjnym we Francji. Widać, że kawiorowa lewica nie ma żadnej recepty na dzisiejszą rzeczywistość i sobie z nią po prostu nie radzi. Owszem, dla nas nadal jest zagrożeniem próba wytłumaczenia młodym ludziom: „Bądźcie Europejczykami, a nie Polakami, bo to jest niemożliwe, archaiczne, ciemnogród i tak dalej”. Te niebezpieczeństwa istnieją. Ale jeszcze większe niebezpieczeństwo jest w tym, że my się nie potrafimy znaleźć w sytuacji i kontekście trochę szerszym niż nasze podwórko. Wydaje mi się, że powinniśmy zacząć dyskutować i widzieć w dyskusji taki oto kontekst, że ten kryzys w Europie, który nieudolnie próbowałem zarysować (możemy go nazwać w taki sposób, że żyjemy w dobie postdemokratycznej), że to nie chodzi tylko o wulgaryzację dialogu, kryzysu elit, o coraz głębszą klasę polityczną, ale to z czegoś wynika. Cały system liberalnej demokracji zaczyna robić bokami i sobie nie radzi z problemami współczesnego świata. To się przekłada na wiele rzeczy, ale także na brak konkurencyjności Europy w zetknięciu z Chinami, Stanami Zjednoczonymi itd. I jeżeli mamy otwartą Europę i nasza młodzież będzie jeździć na erasmusy, może korzystać z tej otwartości, z tego co dobrego dała nam Unia Europejska (a dała nam bardzo dużo), to my w definiowaniu tego współczesnego polskiego patriotyzmu powinniśmy ten kontekst widzieć, zanalizować i też dać wyraz poszukiwaniu naszej koncepcji Europy i naszego miejsca w tej Europie. Bohdan Urbankowski o tym powiedział na przykładzie koncepcji powrotu do Międzymorza. Tu nie chodzi o literalne powtórzenie jakiejś koncepcji. Chodzi o widzenie całości spraw polskich w szerszym kontekście. To jest istotne!

Po drugie, wracając do tego, co powiedział minister i do niektórych wątków dyskusji. Nie zgadzam się z taką optyką, że mamy przeciwstawić naszą tożsamość narodową naszemu stosunkowi do państwa. To że mamy takie a nie inne doświadczenie okresu PRL-u, gdzie państwo było wrogiem, nie oznacza, że nie mamy tego przesłania, które dla nas, ludzi aktywnych w polityce na poziomie samorządowym, sejmowym, było wprost brane z II Rzeczypospolitej. Myśmy szli do polityki, żeby działać bezinteresownie dla dobra wspólnego. Nikt o tym głośno tak nie mówił, nie fanfaronował w ten sposób, ale to było oczywiste. To, że to przestało być oczywiste, to jest w dużym stopniu nasza wina. Może ulegliśmy takiej pokusie – ja sam się do tego przyznaję, dyskutując ze sobą na ten temat – że ten okres szczególnie II i III kadencji Sejmu, rząd Buzka, to był okres, w którym była taka przemożna chęć budowania, głębokiej zmiany państwa. I to nam kompletnie wypełniało cały czas. Myśmy powinni równolegle prowadzić politykę historyczną. Ale nie prowadziliśmy.

Głos z sali:

IPN wtedy powstał...

Piotr Wójcik:

To prawda, ale gdybyśmy mocniej prowadzili politykę historyczną, to te problemy, o których dzisiaj dyskutowaliśmy, byłyby może trochę mniejsze. Byłyby, oczywiście, gdyż one wynikają też z tego, że świat się zmienia. Zagrożenia są nowe. Dlatego nie zgadzam się też z taką tezą, która tu padła, że nie można przenieść tego etosu i służby publicznej, który wiązał się z państwem i odzyskaną niepodległością i był tak ściśle elementem narodowy z państwowym powiązany w sposób oczywisty. Po pierwsze – nie można tego rozdzielać; po drugie – nie uważam, że to jest anachronizm. To znaczy, pokazanie tego w kontekście europejskim, w kontekście odpowiedzialności za przyszłość tych młodych ludzi, za przyszłość ich dzieci, że ta służba publiczna, ten etos naprawdę wolnej Polski są do zredefiniowania we współczesnych warunkach, także w kontekście odpowiedzialności za Polskę w Europie i Europę

jako taką. Za świat, który się zmniejszył, który polega na komunikacji masowej, na fejsbukach, na różnych instrumentach przekazu informacji, których kiedyś nie było. I uwzględnienie tego języka i tego technologicznego podejścia wydaje mi się, że ten problem załatwia. Kwestia bezinteresownej służby publicznej ponad egocentryzmem indywidualizmu takiego konsumpcyjnego – bo nie powinniśmy iść za bardzo w negowanie indywidualizmu – to jest ta droga, której powinniśmy szukać w przekazie do młodych ludzi.

Kończąc, chcę powiedzieć, że nie ma gotowego pomysłu, ale to co tutaj padło – instytut pracy państwowej czy postulat stworzenia *think tanków*, porozumienia się z różnymi środowiskami, które na ten temat się zastanawiają i wspólny nacisk na państwo, aby taka instytucja powstała, jakby programistyczna w sensie polityki historycznej, kultury, programów nauczania i tak dalej, to można napisać konkretnie i przejść na postulat polityczny. I uważam, że trzeba to zrobić. Spróbować to jakoś opisać i z tym iść do rządzących.

Jeżeli znaleźli pieniądze na to, żeby uprawiać politykę historyczną partyjną (bo niestety w Polsce nie ma innej polityki – jest albo brak, albo polityka europejska Platformy Obywatelskiej, czytaj: „handlujemy interesem Państwa Polskiego w zamian za stółek” albo jest polityka historyczna PiS-u na użytek partyjny wewnętrzny), to trzeba im wytłumaczyć, że w ich interesie jest również to, żeby odnaleźć wymiar wspólnotowy w rozumieniu polskiej historii, jej nauczaniu i dyskusowaniu o niej. Żeby próbować szukać jednak pewnego minimum wspólnotowego. Bo co nas łączy? Łączyła nas „Solidarność”. Była ostatnim wielkim doświadczeniem wspólnotowym Polaków. Poza tym łączą nas takie przykre sytuacje jak śmierć Jana Pawła II czy katastrofa smoleńska i – nie deprecjonując skoków – Adam Małysz i futbolowa reprezentacja Polski na Stadionie Narodowym. To są elementy wspólnotowe. Innych nie ma. To jest dramat.

My tak bardzo przyzwyczailiśmy się, że czymś normalnym jest partyjna walka poprzez instrumentalizację wszystkich symboli, że trochę nam to w gruncie rzeczy przestało chyba przeszkadzać. A to jest ogromna choroba, z którą – niezależnie od tego, czy nam dadzą po łapach,

czy nie – powinniśmy walczyć. A przynajmniej powinniśmy tłumaczyć politykom, że prowadząc taką politykę idą ku katastrofie. Że jeżeli nie odnajdą propozycji wymiaru wspólnotowego dla Polaków, to prędzej czy później odejdą z poczuciem klęski. A może szkoda, bo parę rzeczy się jednak stało dobrych.

Andrzej Chyłek:

Dziękuję. Zanim oddam głos kolejnemu mówcy, to chciałbym wrzucić jeszcze przedtem jedną rzecz do przemyślenia. Otóż błąd, moim zdaniem, popełniony został w zmianie ordynacji wyborczej na koniec pierwszej kadencji Sejmu. Uczestniczył w tym nasz kolega Krzysztof Król, bardzo mocno wtedy naciskając, żeby zmienić ordynację, bo „Jeżeli będzie mniej partii w parlamencie, to będzie lepiej”. Zobaczcie, co się dzieje dzisiaj. Dominacja jednej partii pokazuje, że to nie był najlepszy pomysł. Jednak ta I kadencja Sejmu, w którym było bardzo dużo partii politycznych, zmuszała do dyskusji politycznej. I to, co też mówił Piotrek. Było oczywiste, że my idziemy do parlamentu, żeby robić coś dla państwa, a nie dla siebie. Dzisiaj już tego dogmatu nie ma.

Jerzy Wawrowski:

Miałem zacząć od czegoś innego, ale zdenerwowałeś mnie Andrzeju tą swoją pochwałą multipartyjności, z którą się absolutnie nie zgadzam.

Natomiast wracając do tego, co mówiliśmy o elitach. Oczywiście, jeżeli bierzemy je czysto formalnie, to one zawsze będą, choćby nie wiem jaki wielki był dół. Tylko że w wewnętrznym odczuciu chyba każdego z nas z pojęciem elit wiążą się pewne standardy intelektualne i moralne. I w tym drugim sensie, nie tym definiowanym w podręcznikach, to mnie się wydawało w latach 80., jak byłem w „Solidarności”, że mamy elity. Później te elity po 1989 roku jakoś się „zdeceliły”. I ja mam cały czas poczucie, że my jako naród dryfujemy. Że żyjemy w kraju dryfującym.

Jeszcze jedna uwaga. My mówimy, że tu jest sprzeczność, tam jest sprzeczność, że patriotyzm i nacjonalizm to jest sprzeczność. Że brak

logiki jest w tej sprzeczności i tak dalej. Tylko że pod tym, co jest nielogiczne na poziomie pojęć i nawet ich znaczeń, kryją się interesy różnych grup. I gdy będziemy tę całą sytuację analizowali pod kątem interesów, to okaże się, że tworzenie tego typu podziałów jest bardzo logiczne. My cały czas rozmawiamy na poziomie takim, że ci nie wiedzą tego, ale też za małą uwagę poświęcamy interesom różnego rodzaju grup. Grup społecznych, klas społecznych...

Nie bójmy się tego słowa. Pojęcie klasy społecznej to nie jest marksistowski wymysł. Solon już podzielił Ateny na cztery klasy społeczne. Także takie klasy są, są różne grupy interesów i musimy sobie zdawać sprawę, że u podłoża leży też to.

Michał Janiszewski:

Ja jedno zdanie do tego co Piotr Wójcik powiedział. Trochę tak było, Piotrze, że reforma goniła reformę, a nie zauważyliśmy, że nam się majtki prują. Reformę edukacji wprowadzaliśmy my i nie baczylimy na stwierdzenia, że podobną reformę wprowadziła Szwecja i ma połowę społeczeństwa analfabetów. Tutaj oczywiście przyczyny są szersze, bo sam system ze starą kadrą niczego nie załatwia.

Maciej Gawlikowski:

Samokrytykę przyjmujemy.

Michał Janiszewski:

A druga sprawa, to poza tematem chciałem powiedzieć.

Nie wiem dlaczego koledzy skamufłowali książkę naszego przyjaciela, Andrzeja Anusza. Kto nie czytał, to tytuł brzmi *Osobista historia PC*. I niech nikogo tytuł nie zmyli, bo tam jest dużo o KPN i to widzianą oczami człowieka życzliwego, ale będącego z boku. Specjalnie ją przywiozłem.

Piotr Wójcik:

Odniosę się jeszcze do tego, czy ma być bardzo dużo partii, czy mało i do ordynacji. Co do zasady się z tym nie zgadzam. Dlaczego? Dlatego,

że istotą każdego systemu demokratycznego jest jego trwanie i praktyka. Przypomnij sobie, Andrzeju, rozwarstwienie Sejmu Ustawodawczego w II Rzeczypospolitej i to, co się działo później. Naturalny proces uwolnienia sił społecznych i ich szerokiej reprezentacji w wolnych wyborach, czyli ten wybór demokracji jest czymś tak samo koniecznym jak jej uporządkowanie dla stabilności władzy. Każda demokracja wymaga takiego ustroju, takiej konstytucji i takiego systemu partyjnego, który nie będzie się zmieniał co pół roku, tylko będzie się stabilizował. I pewna równowaga między demokratyczną reprezentacją środowisk a potrzebami stabilizacji państwa, decyduje o tym, jak wygląda praktyka demokratyczna w kraju.

Myśmy też nie mogli przeskoczyć pewnych etapów, chociaż próbowaliśmy je przeskakiwać. Wydaje mi się, że to co najgorsze się stało, jeśli chodzi o polski system polityczny w sensie prawniczym, ustawodawczym, to jest kompromis Tuska z Kaczyńskim. Kiedyś mi opowiadał Jarosław Kaczyński o swojej debacie z Michnikiem na temat tak zwanej koncepcji kopuły. Michnik mówił, że komuniści przyszli do Kuronia i mówią: „My teraz musimy to zamknąć. My jesteśmy z jednej strony, wy jesteście z drugiej strony i jakoś się porozumiemy. Stworzymy taką kopułę i to będzie stabilne. My będziemy wszystkim zarządzać”. I teraz Kaczor z Donkiem w pewnej karykaturze to odtworzyli. Dodali do tego partie wodzowskie, które polegają na tym, że jest Sztywny Pal Azji, że tak powiem, ociosany intelektualnie. Każdy kto ma jakiś dorobek życiowy, doświadczenie, jest wrogiem, zagrożeniem. Trzeba go wyeliminować.

To jest też prolog do dyskusji o polskich elitach. One są rozproszone i odstrzelone od polityki przez tę legendę PO-PiS-u, która była przez pewną grupę głoszona i poszła za tym bardzo konkretna zmiana ordynacji. Mianowicie, finansowanie partii z budżetu. Ja uważam, że do pewnego stopnia dofinansowanie być powinno. Głównie na ekspertów i przygotowanie programów. I tak rozliczane. Natomiast oni dostają z budżetu kolosalną kasę na zamknięcie sceny politycznej i jej ociosanie, żeby nie było dopływu świeżej krwi. I to są konkrety, które też trzeba przełamywać. Trzeba o tym mówić. Bo to jest jeden z elementów, który

prowadzi do kompletnej degrengolady klasy politycznej. Bo ona, intelektualnie i twórczo, w sensie zmian, które w Polsce nastąpiły, była dużo bardziej efektywna w rozbitym sejmie I kadencji i w słabszym jeszcze sejmie III kadencji, czy nawet II kadencji, niż teraz. Dużo więcej głębokich zmian systemowych. Pozytywnych zmian. A od 2001 roku jest odcinanie kuponów. Jest absorpcja funduszy europejskich i... koniec. Cele strategiczne zostały zrealizowane w latach 1999–2004 i w ogóle nie ma żadnej dyskusji programowej, a jest konsumpcja kasy. I nowoczesny polski patriotyzm polega na wprowadzeniu rządu do rady nadzorczej przy posiadaniu mandatu posłów.

Andrzej Chyłek:

Dziękuję Piotrowi, aczkolwiek to jest odrębna dyskusja. Wrzuciłem to specjalnie, w kontekście „Patriotyzmu dzisiaj”, ponieważ, jeżeli chcemy dotrzeć do młodych ludzi, żeby ich zainteresować tym, aby w przyszłości funkcjonowali w polityce (bo bez polityki nie ma myślenia pozytywnego o Polsce, czy w ogóle o jakimkolwiek kraju), to jak mamy ich do tego zachęcić, jeżeli oni widzą tylko PiS albo tylko Platformę i nic poza tym? To jest deprecjonowanie polityki!

Bohdan Urbankowski:

Ja do Jurka Wawrowskiego na temat elit. Mówisz, że formalizowanie jest złe. Wydaje mi się, że w twoim czy jakimkolwiek innym przypadku „elitarny” na ogół oznacza „mądrzejszy ode mnie”. Wydaje mi się, że w tym momencie poczułbyś się skrzywdzony. W taki sposób można mówić tylko o elitach sportowych (ale jak to się rozbije na kawałki, to się okazuje, że mamy elitę skoczków narciarskich, a w innych dyscyplinach w ogóle nie jesteśmy w elicie światowej). Bo wyniki w sporcie są akurat mierzalne – w sekundach, w metrach. Sport, to jest jedna z najbardziej sprawiedliwych dziedzin życia, bo się da zmatematyzować. Natomiast innych elit nie da się inaczej zdefiniować, jak tylko formalnie. Owszem, możemy zastanawiać się, na przykład, czy nasza elita jest lepsza, czy gorsza od elity w tej samej dziedzinie dziesięć lat temu? Czy jest lepsza, czy gorsza od podobnej elity we Francji czy w Anglii?

Możemy powiedzieć, i tak było przez lata, że nasza elita literacka była lepsza od elity francuskiej czy niemieckiej (a od amerykańskiej to jest nawet do dzisiaj lepsza). Ale to jest wszystko pod warunkiem takiego formalnego myślenia i to jest chyba najsensowniejsze. Istotą naszego myślenia, jeżeli chcemy dochodzić do prawdy, musi być po prostu tylko i wyłącznie nastawienie na prawdę, bez mieszania w to wartościowania.

Maciej Gawlikowski:

Łże-elity się pojawiają...

Bohdan Urbankowski:

To już jest wartościowanie, bo to co nazywamy łże-elitą też jakąś tam elitą jest, tylko taką, jakiej my nie lubimy (i tu wchodzi psychologia), albo taką, która jest gorsza niż nasza elita przedwojenna (i tu wchodzi historia i porównywanie tego). Chodzi mi o coś innego. Jeżeli my zaczniemy wartościować, płatać porządek wartości z porządkiem poznania, to potem mamy ten spór: nacjonalizm jest zły, a patriotyzm jest dobry. I nikomu się tego nie wytłumaczy.

Teraz druga sprawa. Uważam, że partie polityczne mają sens, jeżeli kogoś reprezentują. Jeżeli była przed wojną mniejszość niemiecka, mniejszość żydowska, to one miały swoje reprezentacje w sejmie, a Łemkowie nie mieli, bo sami jeszcze nie wiedzieli, że są Łemkami i to im do niczego nie było potrzebne. Tak jest ze wszystkim. Ten system wielopartyjny ma sens, o ile odzwierciedla jakąś rzeczywistość. A u nas, jeżeli zaczyna się płacić za przynależność do partii, jeżeli partia staje się źródłem utrzymania, to jest coś, za przeproszeniem, popieprzone. Dlatego osobiście uważam, że powinno się zlikwidować finansowanie partii. Nawet tych ekspertów, bo jeżeli ludzie rzeczywiście w coś wierzą, to są skłonni do pewnych poświęceń. Akurat danie pieniędzy jest o wiele mniejszym poświęceniem niż śmierć na polu bitwy. A jeżeli nie chcą dawać na własną partię, to znaczy, że mają ją w nosie i tyle.

Wydaje mi się, że jednym z elementów uzdrowienia byłoby jednak stworzenie takiej instytucji państwowej – nawet jeśli dominuje u nas

myślenie partyjne – bo po prostu tych instytucji brakuje. I będą dominować instytucje drobnych gangów, będą dominować instytucje małych grup interesów, jeżeli nie będzie jednej wielkiej państwowej. A to jest o tyle istotne, że na przykład na polu ekonomii, choćbyśmy nie wiem jaki kapitalizm w Polsce budowali, to my z przedsiębiorstwami typu ogromne imperium Sorosa, czy nawet z mniejszymi, przegramy. Przegramy, bo oni mają tradycje, mają dochód. A my takiego przedsiębiorstwa w jakimś miasteczku nie stworzymy. Ale mamy tego super kapitalistę – państwo. On wygra. Soros chciał w pewnym momencie obalić Anglię – nie wyszło. Przegrał jednak ten konflikt o funta angielskiego. I skoro mamy do dyspozycji aparat państwowy – a mamy – to korzystajmy z niego. Skoro możemy stworzyć instytut klasy państwowej – nazywany kiedyś przed wojną i teraz to wróciło w dyskusji – państwowotwórczy, to róbmy to. Bo nawet jeśli mamy jakieś grupy społeczne, ruchy, no to to jest pierwsza faza. Jeżeli ruch nie zostanie podtrzymany przez instytucję, nie wprowadzi się do niego kategorii „zadanie”, „rozliczenie z zadania”, to się wypali, bo jest zbudowany tylko i wyłącznie na emocjach.

Jerzy Wawrowski:

Bohdan, nie bardzo mogę się zgodzić z oddzielaniem sfery poznania od sfery wartości. Dlaczego? Ponieważ wartości są przedmiotem poznania. Nośnikami wartości są ludzie i oni też są przedmiotem poznania. Dlatego też nie przekonuje mnie to, żeby nie wiązać z pojęciem elit pewnych wartości. Grecy mieli takie dwa pojęcia w sensie formalnym i związanym z wartościami: *aristori i oligori*. *Oligori* to byli ci, którzy rządili. I z nimi nie wiązano żadnych wartości poza jedną – byli to ludzie bogaci. Natomiast z *aristori* wiązano jednak pewne wartości etyczne. Dlatego właśnie *aristori* uznawano za elitę.

Bohdan Urbankowski:

Wartości i sfera faktu. Samo to, że się inaczej nazywają świadczy, że je rozróżniamy choćby intuicyjnie. Wartością jest dobro, a nie jest faktem, a jednak istnieje jako komponent naszego poznawania. Natomiast

w momencie, gdy zaczniemy mieszać te porządki – co w tej chwili robisz – to będziemy skazani na bardzo daleko idący subiektywizm albo subiektywizm grupowy, który może prowadzić do fanatyzmu.

Jerzy Wawrowski:

Przez wszystkie „Dialogi Platona” Sokrates stara się poznać dobro.

Bohdan Urbankowski:

No i dobro jest wartością, którą poznaje Sokrates.

Jerzy Wawrowski:

Nie. Jest przedmiotem poznania.

Bohdan Urbankowski:

Odróżnij porządek parareligijny od porządku *stricte* naukowego. Sokrates, dążąc do dobra, ma na myśli, po pierwsze – dobro najwyższe, czyli to co nazywamy boskim pierwiastkiem rzeczywistości i to, że to dobro najwyższe niejako napromieniowuje całą rzeczywistość i pewne przedmioty są bliższe swemu ideałowi – inaczej mówiąc, mają więcej dobra – albo dalsze. Koń może być wspaniałym rumakiem albo mieć trzy nogi i nie mieć ogona i tutaj niedokładnie wciela ideę platońską konia. I to jest zupełnie inny porządek. Natomiast jak jesteśmy przy opisie faktów – zwłaszcza faktów społecznych, przykład sam podałeś, Grecji, to mamy tu ludzi, których widzimy i oceniamy. Ci są mądrzy, ci nie. To są arystokraci, to są rządy ochlokracji i wybieramy między jednym i drugim.

Ponieważ dyskusja nie wygasła, prowadzący (Andrzej Chytek) zaproponował, aby oponenti kontynuowali ją w czasie przerwy kawowej, którą zarządził.

KONCEPCJA DZIAŁANIA KAZIMIERZA PLUTY-CZACHOWSKIEGO W LATACH 1957–1978

Gdy siedziałem tutaj i słuchałem tamtej dyskusji, pomyślałem sobie o jednej rzeczy. Czasami ludzie po wielu latach mówią mi, że robiłem kiedyś coś sensownego, ale kiedy to robiłem, to mi tego nie mówili, a ja myślałem, że to jest nikomu niepotrzebne. Więc zacznę od podziękowań.

Chcę podziękować panu prezesowi Instytutu, Andrzejowi Chyłkowi i sekretarzowi Instytutu, Michałowi Janiszewskiemu, bo bez waszego poświęcenia, wysiłku, bezinteresownej roboty te dwie książki by nie powstały.

Zrobiliście panowie kawał dobrej, ideowej roboty i jestem wam za to wdzięczny i chcę tu publicznie i jasno powiedzieć, bo dobrym ludziom należy dziękować. Spieszmy się to robić, bo możemy nie zdążyć.

I chcę także powiedzieć, że jestem drugi raz, razem z Maćkiem na konferencji i bardzo mi się podoba. No i wiem, że Mariusz Olszewski wkłada olbrzymi wysiłek w organizację tej imprezy. I chcę ci także, Ma-



riuszu, podziękować. Uważam, że robisz kawał dobrej roboty i myślę, że dobrze, żebyś wiedział, że wszyscy jesteśmy ci wdzięczni. To nie jest tak, że tylko przyjeżdżamy, zjemy obiad i dopominamy się kolacji... Dziękujemy! Myślę, że jestem wyrazicielem woli wszystkich, co po tych oklaskach nieśmiały można wnosić.

Jak ostatnio się widzieliśmy, to opowiadałem o Muzyczce, ale był to etap wstępny. Teraz są te dwie książki. Jest nazwa całej serii – *Kamienie*. Nawet sobie nie uświadamiałem, jak wielka symbolika tkwi w słowie „kamienie”.

Raz – *Kamienie na szaniec*. Obecni tu koledzy byli zaangażowani w film na ten temat. Myślę, że o każdym z tych ludzi, którzy byli bohaterami tej serii – jeszcze będzie pułkownik Józef Szostak, może także generał Roman Abraham – można to powiedzieć. Mimo, że przeżyli, to przecież byli jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec. Każdy z nich ryzykował życiem w walce.

Tu akurat historia Pluty jest bardzo dramatyczna. On podczas powstania w bombardowaniu budynku PKO został bardzo ciężko ranny, był nieprzytomny. Jeszcze była bardzo przykra sytuacja, że on został pozostawiony w tym budynku. On miał pretensje do generała Pełczyńskiego. Bo tam były jedne nosze. Wzięto na te nosze Pełczyńskiego (ktoś Plucie powiedział, potem to opowiedział), Plutę postawiono. Faktem jest, że Pluta nieprzytomny, niemal pozbawiony odzienia z bardzo ciężką raną, wydawało się śmiertelną, został w tym zniszczonym budynku przez dobę. Budynek płonął, dół był zalany wodą. I dopiero po dobie przyszły osoby, które go wyciągnęły. Trafił do szpitala i jakimś cudem przeżył.

Więc rzeczywiście byli jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec.

Abraham we wrześniu 1939 roku... W komunistycznej szkole uczono nas, że generał Świerczewski się kulom nie kłaniał. O Abrahamie są autentyczne podobne historie. Że potrafił dowodzić pod ostrzałem artyleryjskim, snajperskim. Na stojąco wydawał rozkazy. Ktoś mówił: „Panie generale, niech się pan schowa!”. A on chciał pokazać żołnierzom, żeby się nie bali. Pytanie na ile to prawda, że jest jedynym generałem Września, który nie przegrał bitwy z Niemcami. Walki Wielkopolskiej

Brygady Kawalerii były walkami wyłącznie zwycięskimi. Potem niestety całą okupację spędził w oflagu, więc historii akowskiej nie ma.

Jest też druga symbolika słowa kamień. Jest z Norwida ten cytat, który jest wykorzystany w powieści *Popiół i diament*. „Co po nas zostanie?” – Kamień, drogi kamień. Każdy z tych ludzi (bohaterów serii) jest jak ten drogi kamień na dnie popiołu.

Ta symbolika nam się klaruje tym wyraźniej, że są to osoby zupełnie zapomniane. Uświadommy sobie, że postać tej miary co Ludwik Muzyczka ma w Krakowie małą uliczkę gdzieś na peryferiach. I to jest jedyne ślad pamięci po Ludwiku Muzyczce w Krakowie, gdzie on mieszkał po wojnie przez ćwierć wieku, a w czasie okupacji jego rodzina tu mieszkała! Współzałożyciel Organizacji Orła Białego, jednej z pierwszych konspiracyjnych organizacji jeszcze w 1939 roku. A Pluta? – W Warszawie nawet ulicy nie ma. Już nie mówię o moście, o jakiejś tablicy. Po prostu na razie jest popiół. Popiół, w którym grzebiemy i znajdujemy drogie kamienie na dnie popiołu. Jak ten popiół zdmuchniemy, to znajdujemy format ludzi, dla mnie nieprawdopodobnych i mogących świecić przykładem.

Trzecia symbolika słowa „kamień”, to kamień węgielny. Fundament. Prawdę mówiąc, od tego znaczenia się zaczęło. Dlatego, że w kilkugodzinnych rozmowach z Leszkiem Moczulskim, które prowadzę i mam nadzieję jeszcze długo to robić, on mi opowiadał o kontaktach z Plutą-Czachowskim, z Muzyczką, z Abrahamem. Te rozmowy z Leszkiem Moczulskim mnie zainspirowały, żeby poszukać, wziąć akta SB i zobaczyć, jak bezpieka to opisała. I to był strzał w dziesiątkę. Ktoś się może zastanawiać, dlaczego wybrałem akurat tych, a nie innych. Odpowiedź jest prosta – na tych wskazał mi Moczulski.

A czy nie jest tak, że inni akowcy mają równie fascynujące historie z tamtych czasów? Boję się, że nie. Bezpieka robiła pod koniec lat sześćdziesiątych takie ankiety dotyczące żołnierzy Armii Krajowej. Ich postawy, jak oni się zachowują. Nie pytano ich, tylko esbecy, którzy się nimi zajmowali te ankiety wypełniali. Bardzo ciekawa ankietka. Mało znany materiał. Na osobną książkę. „Przynależność partyjna” – tak lub nie. – Znikoma, ale jeden czy dwóch się zdarzyło. „Sytuacja ma-

jątkowa”, „poglądy polityczne”, „źródło utrzymania”... Bardzo ciekawy materiał. Ponad dwudziestostronicowy. Zdecydowana większość, a mówimy tutaj nie o porucznikach AK, którzy dzisiaj są pułkownikami albo generałami...

Bo miejmy świadomość, że ci ludzie z AK, których dzisiaj się otacza pietyzmem, odznacza (i dobrze, bo symbolizują pewną ideę), ale to są ludzie, których dzisiaj szanujemy głównie za to, że przeżyli. Tamtych nie ma, a ci żyją. Pluta, Muzyczka nie żyją, a tamci żyją i tych żyjących darzymy szacunkiem, na który zapracowali głównie ci, których już nie ma.

W międzyczasie przyjęto u nas absurdalny system awansowania. Nawet po śmierci awansują... Heda jest generałem. Ja mu nie odmawiam szacunku, ale jak wytłumaczyć w książce, że generał Heda słuchał rozkazów pułkownika Pluty? Z tego względu, że Heda jest legendą i awansował za życia, a Pluta umarł i nie awansował. Jak był pułkownikiem dyplomowanym w roku 1944, tak jest pułkownikiem dyplomowanym w roku 2018. Jestem wielkim wrogiem awansów po zakończeniu służby. Może ewentualnie jednokrotny awans, jak kogoś w czasie działań wojennych nie zdążono awansować...

Tak było z panem podporucznikiem Stanisławem Dąbrową-Kostką w Krakowie, z którym rozmawiałem. Jego po wojnie awansowano w czasach WiN-u na pełnego porucznika. On jest dzisiaj pułkownikiem. „Jak mam się do pana zwracać?” – „Panie pułkowniku”. Oczywiście. Ale to jest porucznik, nie pułkownik! On sam się z tego zresztą śmiał.

Mam wielki szacunek dla kombatantów. Tylko zapytajmy, co pan robił w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych? Gdzie jest pana karta opozycyjna? Czy pan był wierny w czasach PRL-u przysiędze złożonej w Armii Krajowej? Bo jak był wierny Muzyczka czy Pluta, to za chwilę będziemy opowiadać. A jak pan był wierny? Z tej ankiety esbeckiej wynika, że zdecydowana większość oficerów AK nic nie robiła po wojnie. Byli uczciwymi ludźmi, nie kradli, pracowali... Bardzo dobrze. Ale nie prowadzili działalności opozycyjnej.

Dużo mniejsza grupa oficerów AK, w ten lub inny sposób, współpracowała z tym systemem. Na najprzeróżniejszych polach. Nieliczni

w PZPR, większa grupa w ZBoWiD-zie, na czele z najbardziej znanym generałem mianowanym przez Radę Państwa, Mazurkiewiczem – „Radosławem”.

I byli nieliczni, którzy byli jak kamienie, którzy się stawiali. Ku mojemu zdumieniu, jak czytałem akta esbeckie, to esbecja jednoznacznie wymienia tę samą osobę, którą wskazał mi Moczulski jako osobę, która w tym środowisku odgrywa największą rolę – Pluta-Czachowski. Dla bezpieki nie ulegało to najmniejszej wątpliwości! To był facet, którego inwigilację zaczęto w latach pięćdziesiątych, kiedy wyszedł z więzienia i zakończono, kiedy zmarł. To jest ponad dwadzieścia lat inwigilacji!

To nie jest tak, że każdy, kto był członkiem Komendy Głównej AK i był po wojnie w kraju był tak intensywnie inwigilowany. A było ich jeszcze więcej oprócz Pluty i Muzyczki. Byli w kraju: Sanojca, Rzepecki, Szostak, Niepokólczycki, Rybicki (który nie był w Komendzie Głównej, ale jego też inwigilowano). Ale pozostałych? Nie było powodu. Więc inwigilacja Pluty, Muzyczki, Niepokólczyckiego czy Rybickiego nie wynikała tylko z tego, że oni zajmowali wysokie szarże w AK, ale była wynikiem ich działalności po wojnie.

Są jeszcze jeszcze inne znaczenia słowa „kamienie”. Jest nawet nazwa zespołu – The Rolling Stones – Toczące się Kamienie. Kamienie, które uruchamiają lawinę. Tę symbolikę sobie w pełni uświadomiłem po poprzedniej konferencji. Chylę czoła przed Andrzejem Anuszem – bo rok temu, jak czytałem twoją wypowiedź, to ty zwróciłeś uwagę na 11 listopada 1978 roku. Mnie to wtedy jakoś umknęło, lecz później sobie uświadomiłem, jaki to był przełomowy moment. Ci ludzie działali, początkowo w pojedynkę, inwigilowani, od połowy lat 50. I oni uruchomili lawinę. W roku 1978 na mszy w warszawskiej Katedrze Świętego Jana było między kilkanaście a być może 20 tysięcy ludzi (to było jeszcze przed pierwszą pielgrzymką Papieża!), a potem, w pochodzie patriotycznym, z katedry pod Grób Nieznanego Żołnierza, brało udział – znowu, zależnie od relacji – od 4 do 11 tysięcy ludzi. To była największa demonstracja opozycyjna pod hasłami niepodległościowymi od czasu rozbitcia PSL-u! Pod hasłami niepodległościowymi, a nie pod hasłem „Chcemy kielbasy!” (przy całym szacunku dla roku 1956,

1970 czy 1980). 11 listopada 1978 r. kilka tysięcy ludzi szło w pochodzie w Warszawie nie pod hasłami ekonomicznymi, a pod jasnym hasłem niepodległości. To Pluta, Muzyczka i inni byli kamieniami, które uruchomiły lawinę. W latach 80. wszyscy śpiewaliśmy „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!”. A to oni zaczęli śpiewać ten tekst jeszcze w latach jeszcze 50. W materiałach operacyjnych bezpieki są wzmianki, że garstka starców tak śpiewała, a reszta wiernych nie wiedziała o co chodzi. Dla nas, w latach 80. już było to oczywiste. A nawet dziwne by było, jak ktoś po „Solidarności” z rozpędu zaśpiewał „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie!”. Niektórzy jeszcze w latach 90. tak śpiewali, a nawet do dziś się zdarza.

11 Listopada – uważamy, że to święto prastare, które było czczone przed wojną. A ono zostało ustanowione dopiero w 1938 jako święto państwowe. Wcześniej środowisko piłsudczykowskie...

Piotr Wójcik:

Od 1927 roku, 11 listopada były obowiązkowe manewry wojskowe i dzień wolny od pracy dla administracji rządowej.



Mirosław Lewandowski:

Ale jako święto państwowe, przed wojną – raz. A od końca lat 50., rok w rok, garstka ludzi, czasem dwudziestu, czasem pięćdziesięciu, potem stu chodziła na te msze w tym dniu. A w 1978 roku 20 tysięcy! Uświadommy sobie, jaką gigantyczną lawinę uruchomiły te pojedyncze, toczące się kamienie!

I jest jeszcze jedno znaczenie. Bohdan Skaradziński napisał w „Tygodniku Powszechnym” relację z pogrzebu generała Abrahama. I zawarł fragment czyjejś wypowiedzi, nie wiedziałem czyjej. Brzmi mniej więcej tak: „Ludzkość się rozwija krętymi drogami, od zakrętu do zakrętu. A na zakrętach stoją milowe kamienie – to są drogowskazy, które wskazują innym drogę. I ludzie są bezimienni, a te drogowskazy mają imiona”. Dziś wiem, że jest to wypowiedź Józefa Piłsudskiego przy sprowadzeniu prochów Juliusza Słowackiego na Wawel (trudno było wam to rozpoznać, bo niedokładnie cytowałem). I to już jest piąte znaczenie słowa „Kamienie”, które do tej grupy ludzi pasuje.

Mówimy dzisiaj o Plucie. Inaczej niż Muzyczka, Pluta urodził się w zaborze rosyjskim. Gdzieś pod Miechowem (Muzyczka w Jarosławiu w Galicji). To miało pewne znaczenie, dlatego że Pluta, żeby odbyć ćwiczenia w Strzelcu, musiał się przedostać na teren Galicji. Muzyczka, nie wiem czy był w Strzelcu czy nie (w 1914 roku miał 14 lat), ale nie miałby tych problemów, bo był obywatelem austriackim. Pluta w Nowym Sączu odbywał ćwiczenia i tam mieszkał u człowieka, który się nazywał Czachowski. Później to „Czachowski” stało się jego pseudonimem i jeszcze podczas I wojny światowej było pseudonimem. Po wojnie część zasłużonych ludzi, legionistów, otrzymała możliwość dołączenia sobie do nazwiska pseudonimu i stąd się zrobił Pluta-Czachowski.

Przy okazji jedna uwaga. Jednym z ludzi, który dołączył sobie pseudonim do nazwiska, był Rydz. Ale on jeden ma ten przywilej, że jego pierwszy człon nazwiska brzmi Śmigły – to pseudonim. I jak podkreśla Leszek Moczulski w ostatniej swojej książce *Wojna przewencyjna*, używanie wobec ostatniego Marszałka II Rzeczypospolitej, skrótu Rydz, jest wyrazem braku szacunku. Tak jak o Plucie w skrócie mówię Pluta i nie jest to wyrazem braku szacunku, tak jeśli chcemy sobie skrócić

dwuczłonowe nazwisko Śmigłego-Rydza, to powinniśmy mówić Śmigły, nigdy Rydz (tu biję się w piersi, bo swojej książce, w ślad za papierami esbeckimi, używam skróconego brzmienia nazwiska „Rydz”, ale w drugim wydaniu będzie to poprawione). Myślę, że takie szczegóły powinny być cechą naszego środowiska. My już nie czujemy obraźliwości tego określenia „Rydz”, a oni to czuli.

Notabene troska o pamięć o Naczelnym Wodzu była wspólną cechą i Ludwika Muzyczki, i Kazimierza Pluty-Czachowskiego, i generała Abrahama. Do dzisiaj jest to temat bardzo zakłamaný. Chodzi głównie o rok 1939 i zarzut przekroczenia przez niego granicy 17 września. Ci ludzie (Muzyczka, Pluta, Abraham) bardzo wiele wysiłku wkładali w to, żeby przywrócić właściwą ocenę temu wydarzeniu. Leszek Moczulski powtarzał, jak sądzę, nie swój argument, tylko generała Abrahama, że Śmigły-Rydz nie zrobił nic więcej ponad to co zrobił na przykład, po trzecim rozbiórce Polski, Jan Henryk Dąbrowski – w sytuacji, gdy nie mógł bić się w kraju, przekroczył granicę, by kontynuować walkę za granicą. Uniemożliwiono mu to, wszyscy dobrze wiemy jak do tego doszło i dlaczego został internowany. Natomiast trzeba przywrócić godność Śmigłemu i pamiętać, że z bardzo wielkim narażeniem życia uciekł z internowania i wrócił do kraju. Jest relacja z jego rozmowy z Grotem – Śmigły poszedł do Grota i rozmawiał z nim na temat możliwości włączenia się w działalność opozycyjną. Grot odmówił, prawdopodobnie działając na podstawie bardzo wyraźnych wytycznych z Londynu. Ale ustalili, że żaden z nich nie będzie się tą rozmową chwalił. Do dzisiaj fakt tej rozmowy jest kwestionowany. Znamy ją tylko dlatego, że jedna z pań, która była córką innej pani, która z kolei obsługiwała lokal, w którym urzędował Grot, po kilkudziesięciu latach zamieściła relację z tego spotkania. Ta pani zresztą służyła w Oddziale V KG AK, czyli u Pluty. I Pluta jeszcze przed publikacją tej relacji wypowiada – co wynika z akt SB – jako pewnik, że doszło do rozmowy Grota ze Śmigłym – przed śmiercią Śmigłego, która nastąpiła kilkanaście dni później.

To, że Pluta był obywatelem rosyjskim, a Muzyczka austriackim, miało też takie znaczenie, że gdy nastąpił kryzys przysięgowy, Pluta jako obywatel rosyjski został internowany, z którego to internowania

uciekł. Muzyczka zaś został wcielony do armii austriackiej i skierowany na front włoski (jak większość żołnierzy legionów, którzy byli obywatelami austriackimi). Wcześniej, w 1914 roku Pluta służył w Pierwszej Brygadzie (młodszy od niego Muzyczka dołączył do Legionów dopiero w roku 1916, służył w Drugiej Brygadzie, ale był piłsudczykiem i też złożenia przysięgi odmówił).

Pluta miał taki dziwny incydent po tej ucieczce (gdzieś w aktach SB znalazłem wzmiankę o tym, może jeszcze w Archiwum Wojskowym byłyby jakieś ślady). Otóż on miał zarzut w 1938 roku i prowadzone było postępowanie w związku z tym, że w roku 1918, gdy działał na terenie Miechowa, miał jakieś kontakty z KPP (jeszcze nie było KPP tylko SDKPiL czy PPS Lewica – w każdym razie z tymi, co później byli komunistami). To zostało wyjaśnione i Pluta nie wyleciał z wojska (w 1939 roku walczył w Kampanii Wrześniowej), ale potem bezpieka to próbowała badać (akurat w czasach PRL działało to na korzyść Pluty). A może jest to zmyślona przez Plutę historia, żeby mieć jakąś osłonę w stalinowskim więzieniu?

Kolejna różnica między Plutą i Muzyczką jest taka, że Muzyczka po wojnie polsko-bolszewickiej przeszedł do rezerwy w stopniu porucznika i później był podpułkownikiem, ale tylko czasów wojny. Natomiast Pluta został w wojsku i skończył II Wojnę Światową jako pełny pułkownik dyplomowany. U nas to teraz nie ma takiego znaczenia, bo nam się miesza, czy facet był pułkownikiem w roku 1944, czy tak jak Heda – generałem po roku 2000 (przy całym olbrzymim szacunku dla Hedy – nie chciałbym, żeby ktoś z państwa miał wrażenie, że żywię do Hedy cokolwiek innego poza olbrzymim szacunkiem, tylko ten generał mnie u niego śmieszy; dziwię się, że Kościuszko nie ma jeszcze Krzyża Wolności i Solidarności...). W każdym razie to jest ta różnica między nimi.

Obydwaj są kawalerami Orderu Virtuti Militari piątej klasy za II Wojnę Światową. Muzyczka ma za Powstanie Warszawskie (za co Pluta ma piątą klasę, tego nie wiem). Potem Pluta przyjął jeszcze w latach 60. od władz PRL-owskich czwartą klasę tego orderu. Być może z tego powodu, że w Londynie za Plutą (mówiąc bardzo oględnie) nie

przepadano. To się wiąże z tym konfliktem Pluta – Pełczyński, o którym wspominałem. Chodzi o podejrzenia Pluty, których potem już nie powtarzał, ale w Londynie już spowodowało to kwas, że po bombardowaniu gmachu PKO w czasie Powstania, gdy ranny był i Pełczyński, i Pluta, Pełczyński podjął decyzję, żeby Plutę zostawić i te jedyne nosze wykorzystał dla siebie. Ich konflikt wiąże się także z odmiennym spojrzeniem ich obu na Powstanie Warszawskie... W każdym razie, o ile Muzyczka dostał z Londynu legitymację *Virtuti Militari*, Pluta tej legitymacji nie dostał. I być może z tego powodu, pod koniec lat 60., gdy Moczar prowadził pewną grę z tym środowiskiem akowskim, Pluta zdecydował się przyjąć ten order z rąk władz komunistycznych. I żeby było jasne. Order mu się należał, ale fakt przyjęcia go od władz komunistycznych podoba nam się zapewne mniej.

Za chwilę będę chciał państwa przekonać, że po lekturze akt, po zaznajomieniu się z tymi postaciami, uświadomiłem sobie, jak bardzo nasze spojrzenie na to co wolno, a co nie, co jest uczciwe, a co jest nieuczciwe – jak bardzo różni się to od ich spojrzenia. I nie ukrywam, że oni – moim zdaniem mieli rację. Nasze spojrzenie na szereg rzeczy jest fałszywe, formalne. Dzisiaj do rangi bohaterstwa urasta fakt, że kogoś nie ma w aktach SB. A o czym to świadczy?

Michał Janiszewski:

Nie był frajerem i nie dał się złapać.

Mirosław Lewandowski:

Zgoda, gdy idzie o poligrafię. Ale zadam ci Miśku pytanie – ile razy siedziałeś?

Michał Janiszewski:

Dwa razy. Ale moi współpracownicy nie byli frajerami i nie dali się złapać.

Głos z sali:

To znaczy tylko to, że nie kablowałeś.

Mirosław Lewandowski:

Ale chcę powiedzieć coś innego. W latach stalinowskich Pluta siedział w więzieniu i grał o życie. I mamy relację TW „Mocińskiego”.

To facet, który Leszek Moczulskiego szkolił w dziedzinie działalności wywiadowczej przez kilka lat, a pracownik IPN napisał o nim książkę, że jest zdrajcą Państwa Polskiego. Że jest człowiekiem bez honoru, haniebnym. Mówię tu o Zygmuncie Augustowskim. Pod jego adresem takie zarzuty wysunięto, bo został zarejestrowany jako TW „Mociński”, TW „Bros” (od lat 40., do końca PRL). A Leszek Moczulski mi mówi: „On mnie szkolił przez 8 lat”. I nie znajdziecie doniesień TW „Mocińskiego” na ten temat! Zygmunt Augustowski to przedwojenny dwójkarz. Bo my, jak czytamy akta ubeckie, to widzimy sytuację z punktu widzenia oficera UB, który to pisał. Jak ubek napisał: „Ja mam nad wszystkim kontrolę, facet je mi z ręki”, to uważamy, że tak było naprawdę. Tylko ten oficer UB skończył cztery klasy po wojnie, pisał z błędami ortograficznymi i był kompletnym cymbałem, którego gdzieś próbowano uczyć w jakiejś szkole NKWD. A przeciwko niemu mamy przedwojennego oficera dwójki. To powiedzcie mi, kto kogo prowadził? Nie możemy czytać akt UB wprost! Trzeba sobie wyobrazić tę sytuację. Kogo mamy z jednej, a kogo mamy z drugiej?

Głos z sali:

Sugerujesz, że nie można dzisiejszej miary przykładać do tamtych czasów?

Mirosław Lewandowski:

Też. Ale przede wszystkim, trzeba sobie tę sytuację wyobrazić. Dam wam inny przykład. Też dotyczący Augustowskiego. On po roku 1956 wielokrotnie wyjeżdżał na Zachód. Odpowiedzmy sobie na pytanie. Czy jego koledzy z AK, czy Pluta, który miał do niego pełne zaufanie – to z akt wynika – był takim cymbałem, że nie zdawał sobie sprawy, dlaczego Augustowski wyjeżdża na Zachód? Przecież musiał wyjeżdżać za pełną zgodą SB. W aktach znajdujemy informację, że Augustowski właśnie wrócił z Londynu, ale nie może rozmawiać z Plutą, „bo za nim

chodzą”. A później znajdujemy informację, że jednak to wcześniejsze doniesienie jest nieprawdziwe, bo oni (Pluta i Augustowski) jednak potajemnie się spotkali. Nagle okazuje się, że Pluta ma jakieś materiały z Londynu i musiał mu je dać Augustowski (czyli TW „Mociński”). Widać, że była tu rozgrywana pewna komedia. Mociński mówi bardzo ciekawie o pewnym facecie – byłym akowcu, oficerze dwójki: „Wszyscy wiedzą, że on spotyka się z SB. Ale z nim można gadać”. Czyli akowcy mimo tej wiedzy, mieli do niego zaufanie. Na takiej samej zasadzie działał prawdopodobnie Augustowski.

Te rozmowy Augustowskiego z funkcjonariuszem SB są bardzo ciekawe, bo Augustowski rozmawiał z wysokim oficerem – to był pułkownik. Ich rozmowy były nagrywane na magnetofon (dla mnie do końca nie jest jasne, na ile ten oficer SB występował pod banderą SB, a na ile mógł występować pod inną banderą – nie wiem jaką, ale pod inną). W każdym razie, zachowały się takie doniesienia TW „Mocińskiego”, które mają formę dialogową – jak u Platona (nawiązuję tu do naszej dyskusji filozoficznej)...

My tu zresztą z innego punktu widzenia przypominamy dialog platoński pt. *Uczta*. Bo tam jest taka sytuacja, że ci starożytni Grecy się tam spotykają, bodaj w szóstkę: jedzą, piją, przy czym gospodarz jest wyraźnie podrywany przez Sokratesa, bo jak wiemy, oni wszyscy byli homosiami...

Jerzy Wawrowski:

Tu protestuję. Oni byli biseksualistami!

Mirosław Lewandowski:

Dobrze. I w pewnym momencie pojawia się propozycja: „Wołamy tancerki, czy rozmawiamy o filozofii?” I oni są do nas podobni. Albo my do nich. Bo siedzimy w piękny piątkowy wieczór...

Głos z sali:

Bardzo cię przepraszam, ale w tym kontekście wybieram tancerki!

Mirosław Lewandowski:

Nie ma. Nie ma.

Głos z sali:

Przepraszam, powiem tylko anegdotę o studencie KUL-u: żonie mówi, że jest u kochanki, kochance, że u żony, a on idzie do biblioteki.

Mirosław Lewandowski:

Więc my jesteście jak ten student KUL-u. W piękny ciepły, majowy wieczór siedzimy i dyskutujemy o patriotyzmie. No po prostu nas porąbało...

Wracam do historii z TW „Mocińskim”. On mówi o zachowaniu Pluty w więzieniu stalinowskim w latach 40. Jak Pluta walczył o życie? Bo to tak trzeba powiedzieć. Nie na protokół w czasie przesłuchania. Taki głupi on nie był. Nawet nie na notatkę dla ubeka. Tylko w celu do agenta celnego, Pluta obciążył tych ludzi ze środowiska AK, którzy po wojnie współpracowali z czerwonymi. Na przykład generała Tatara, czyli tego, co złoto FON-u do Polski przywiózł, archiwum wydał Sowiетom...

W sprawie Tatara wsadzili do więzienia całą masę również czerwonych generałów, którzy tam służyli. To była ta rozgrywka. Jak byśmy dziś ocenili podobne zagranie?

Głos z sali:

Podobnie. Eliminacja czerwonych.

Mirosław Lewandowski:

Był taki odcinek Klossa, w którym Kloss podał listę jednemu, którzy wpadli i ten ludzi z tej listy obciążył. W rezultacie Niemcy najbardziej oddanych im ludzi wyróżnili... W podobną grę grał Pluta. Z tym, że jeżeli grałby w tę grę wobec czerwonych oficerów, to by było w porządku. Ale to, że grał w nią kosztem Tatara, to już było na granicy. Ale widać uznał, że za to, co Tatar zrobił po wojnie, to mu się to należy. I Tatar poszedł siedzieć. A po wyjściu Pluta się nim do końca

życia opiekował. Chociaż, jak mówił Leszek Moczulski, który czasami odwiedzał Plutę, jak Moczulski przychodził do Pluty i był tam Tatar, to Tatar wstawał i spadał. A jak wychodził, to Pluta mu nie podawał ręki. Mimo, że byli przyjaciółmi, a Tatar miał samochód, woził go, jeździli razem... I był generałem, a Pluta był „tylko” pułkownikiem. Ale takie były zasady.

Więc po lekturze tej książki uznałem, że my fałszywie rozumiemy pewne zachowania dzisiaj. Starzy akowcy są dla mnie autorytetami i nauczycielami. I dla nich nie było problemu rozmawiać z generałem Bukojemskim, który jak Piotrek wie, dzięki temu mamy fantastyczny dokument. Bukojemski był co prawda w Legionach, ale był czerwony.

Piotr Wójcik:

Skurwiel. Razem z Berlingiem. Podpisał zgodę, że Polska będzie siedemnastą republiką.

Mirosław Lewandowski:

W każdym razie był znajomym Pluty i oni nie powiedzieli mu: „Ty skurwysynu!”, tylko z nim rozmawiali i mamy kapitalną notatkę z tej rozmowy o planach przekształcenia Polski w siedemnastą republikę, o planach Stalina z 1944 roku. Nie było problemu w latach 60. dla Pluty, żeby pójść do Mazurkiewicza i załatwiać renty dla ludzi z AK, czy legitymacje i zaświadczenia via ZBoWiD. To go nie brudziło. Mamy relację o innym facecie (nazwiska nie pamiętam), dotyczącą początków ZWZ w Galicji Wschodniej (okręg Lwów)... Jak wiecie, tam bardzo ciężko to powstawało. Co chwila były wpadki. W końcu były dwa ZWZ-y. Wszystkie były inwigilowane przez NKWD i w końcu oni wszyscy powpadali. Tłumaczy to generał Boruta-Spiechowicz trzema powodami: Żydzi, Ukraińcy i Rosjanie. Byliśmy dla nich przezroczyści. Ale tam się pojawił taki facet, który siedział w więzieniu NKWD i poszedł na współpracę, udowodniono mu, że przez niego paru ludzi poszło siedzieć. Dostał KS. Wyrok wykonano (choć dzisiaj próbują go bronić, że on był niewinny, że to była prowokacja NKWD). Ale był inny człowiek, który po wojnie osiadł w Polanicy. W 1939 roku lub

na początku 1940 roku również trafił do więzienia NKWD, również poszedł na współpracę. Wyszedł, ale ratował ludzi. Dostał KS, ale ten wyrok zawieszono mu na czas wojenny. Po wojnie sąd koleżeński go uniewinnił. Popatrzcie, jak daleko można się było posunąć. To są zupełnie inne granice, niż te narzucone w latach 90., które mówią: „dowodem twojego heroizmu jest to, że cię nie ma w papierach SB”. Dziś uważamy, że nie wolno było podjąć żadnej gry. Być może w latach 80. było to słuszne. Ale w latach 40.? To jest kłamstwo historyczne, które funkcjonuje tylko i wyłącznie dlatego, że historycy nie ujawniają skali osób ewidencjonowanych, jako osobowe źródła informacji, z grona Żołnierzy Wyklętych. I tylko dlatego można powtarzać te bzdury, że każdy kto został zarejestrowany się zeszmacił. Bo z tego by wynikało, że jak od Łupaszki było czterech dowódców jego szwadronów i trzech się podpisało na kwitach UB, to oni się zeszmacili. A to nieprawda. Oni walczyli o życie.

Piotr Wójcik:

Ale tam jeden się przyznał, że podpisał.

Mirosław Lewandowski:

No i co z tego? Ja mogę wam dzisiaj sto rzeczy podpisać i co z tego? Zwłaszcza gdybym grał o życie moje i innych. To jest zupełnie inny sposób myślenia. Słyszałem, jak w przerwie Piotrek opowiadał o pułkowniku Albrechcie. Uważam, że on popełnił samobójstwo z innego powodu. On nie mógł nie wrócić do więzienia, dlatego że rozwaliliby jego rodzinę. A gdyby wrócił i przekazał odmowę, to zostałby rozwalony po uprzednich torturach. Pułkownik Albrecht jeszcze za życia Grotą dostał on Niemców propozycję (bo wpadł, Niemcy wiedzieli kim on jest): „Mamy dla Grotą propozycję. Rezygnujemy z wzajemnej walki Niemcy – ZWZ i wspólnie walczymy z Sowietami”. I oficjalna wersja jest taka – takiej broni Piotrek – że pułkownik Albrecht popełnił błąd, wychodząc na wolność i przekazując Grotowi tę informację. I Grot poprzez swojego adiutanta przekazał mu list, że ma wybór: zostanie rozwalony albo sam popełni samobójstwo.

Piotr Wójcik:

Nie. To było dużo łagodniej przekazane. „Sam będziesz wiedział, co masz zrobić”.

Mirosław Lewandowski:

Natomiast oficjalna wersja, którą Grot podał do Londynu, była inna. Wszyscy mówią, że Grot podał taką wersję, żeby bronić dobrego imienia pułkownika Albrechta. A moim zdaniem ta wersja jest po prostu prawdziwa. Albrecht odebrał sobie życie, chcąc chronić swoją rodzinę, bo jeżeli nie żył, to Niemcy rodzinie odpuścili. A gdyby wrócił do nich z odmową Grota, to będą go torturować i zabijają. Dla tych ludzi nie było pojęcia strachu przed śmiercią. Oni swoim życiem ryzykowali. Z prostego rachunku ekonomicznego wynikało, że najlepszym wyjściem dla Albrechta, żeby chronić jego rodzinę, jest odebrać samemu sobie życie. I moim zdaniem to była przyczyna.

Podobna sytuacja zdarzyła się w czasie II wojny światowej w Krakowie, gdzie wpadł jeden z najlepszych – co Pluta wielokrotnie podkreślał – oficerów Armii Krajowej. Wpadł w ręce gestapo Józef Spychalski, pseudonim „Luty”, „Jurand” – dowódca Okręgu Krakowskiego. Bardzo wysoko oceniany. To był rok 1944. Niemcy złożyli mu podobną propozycję jak Albrechtowi. Z tym, że mieli jego rodzinę. Powiedzieli: „Na słowo honoru cię puszczamy. Przekaż Borowi informację, że robimy nieformalny pokój i razem walczymy z Sowietami”. Spychalski uznał, że o tej propozycji powinien wiedzieć Bór, bo jest to dowód słabości Niemców. Więc należy to mu przekazać. Ze Spychalskim była cały czas łączność grypsowa (wiem to od wspomnianego przed chwilą pułkownika Dąbrowy-Kostki, który był wtedy żołnierzem Armii Krajowej w Krakowie i brał udział w przygotowaniu akcji odbicia „Lutego”). Spychalski liczył, że uda się przeprowadzić pewną grę, a przy tej okazji może Armia Krajowa go odbije. Natomiast ten, który wyszedł, to był jego podwładny, oficer Kaczmarczyk, który też był w rękach gestapo. Wyobraźcie sobie taką sytuację – facet siedzi w więzieniu gestapo. Przyjeżdża z Berlina specjalny wysłannik Himmlera. Prowadzi rozmowy z więźniem – pułkownikiem Armii Krajowej. W wyniku tych rozmów

pułkownik AK oświadcza, że nie wyjdzie z więzienia (sądzę, że dlatego, że wiedział, że mają jego rodzinę, więc nie może uciec). Ale mówi: „Niech idzie Kaczmarczyk!”. Kaczmarczyk początkowo nie chciał. Potem wychodzi. Rodzina Ludwika Muzyczki uczestniczy w jego przejeździe do Warszawy (bo w Warszawie była Komenda Główna AK, a oni siedzieli w Krakowie). Tam prawdopodobnie ojciec Krzysztofa Gąsiorowskiego, Kazimierz Gąsiorowski ubezpiecza go. Dochodzi do rozmowy Kaczmarczyka z kimś z otoczenia Bora. Bór daje odpowiedź odmowną. I co robi Kaczmarczyk? Wraca do więzienia w Krakowie! Być może robi to ze względu na swoją rodzinę, a może ze względu na swojego przełożonego. Ale czy można powiedzieć, że „Luty” był zdrajcą, bo gadał z gestapo? Czy można powiedzieć, że Kaczmarczyk był zdrajcą, bo przekazał taką samą informację jak Albrecht i wrócił? Potem wyszedł drugi raz i tym razem już nie wrócił. Spychalskiego rozwalono jak wybuchło Powstanie Warszawskie, prawdopodobnie w Sachsenhausen razem z Grotem. Ale czy oni byli tchórzami? Przecież dla nich ich własne życie nie miało żadnego znaczenia. Ale oni kierowali się zupełnie innym rachunkiem. Politycznym, ekonomicznym. Musimy zrozumieć tych ludzi.

I zanim ktoś z IPN napisze, że Zygmunt Augustowski był zdrajcą Polski i okrył swoje nazwisko hańbą, to dobrze żeby on pomyślał, zanim coś napisze. Czy z faktu, że on został zarejestrowany, że z nimi rozmawiał...

Musimy zrozumieć, że to działało zupełnie inaczej. To jak działali akowcy po wojnie, to jest zupełnie inna filozofia.

Była już o tym dyskusja wcześniej – ideologia wyklętyzmu. Ja darzę ogromnym szacunkiem tych ludzi, nazywanych dzisiaj Żołnierzami Wyklętymi. Z jednym z nich, Michałem Żakiem, przeprowadziłem wielogodzinną rozmowę, którą potem przepisałem, a kilka lat temu „Opinia” to wydała. To jest facet, który współpracował z Polską Podziemną Partią Niepodległościową. Tam, gdzie był kapelanem kandydat na ołtarze, ksiądz Gurgacz. Gurgacza na pewno znacie, Żaka może nie. Żak był w KPN. Ja ich darzę ogromnym szacunkiem, bo to była ogromna tragedia tych ludzi. Oni podjęli beznadziejną walkę, bo nie

mogli wrócić do domu, gdzie czekała na nich śmierć. Oni musieli wybierać: las albo śmierć od razu. Ja pytałem Michała Żaka: „1949 rok. Na co wyście liczyli?”. On mówi: „Była pewna grupa ludzi, którzy nie mogli wrócić do domu. Liczyliśmy, że zdobędziemy pieniądze i uciekniemy do Austrii”. Żadna walka z komunizmem, żaden sprzeciw. Cała ta ideologia, którą dziś się montuje wobec Żołnierzy Wyklętych, jest według mnie ahistoryczna. Jeżeli prawdą by było, że ci ludzie mogą wrócić do domu, podjęli walkę zbrojną w roku 1946, 1947, 1948, Lalek w latach 60.... – celowo i prowokacyjnie powiem – jeżeli by tak było, jak to się dziś przedstawia, to oni byliby idiotami. My ich błędnie interpretujemy, że oni podjęli tę walkę, bo mogli wybrać życie i przetrwanie, a wybrali walkę i zginęli w tej nierównej walce (bo było oczywiste że zginą). I to ma być dowód ich wielkiej politycznej mądrości? I to ma być dzisiaj wzór dla młodzieży? Tak jak wy dzisiaj interpretujecie Żołnierzy Wyklętych – zwracam się do propagandy PiS-owskiej – to robicie z nich idiotów i stawiacie idiotę za wzór dla młodzieży. Oni idiotami nie byli. To były postacie tragiczne. Ale ten wzór, który wy formujecie jest absurdalny.

Podobne mam zdanie co do Powstania Warszawskiego. Jest dzisiaj bardzo silny nurt obrony Powstania Warszawskiego, który mówi tak. Powstanie Warszawskie zostało wywołane przez dowódców Armii Krajowej. Duży wpływ na taką interpretację tego ma fatalna, zakłamana książka francuskiego Żyda, Steinera, „Powstanie 44”. Fatalna książka. Dlaczego żaden z polskich historyków w latach 70., gdy oni jeszcze żyli (Sanojca, Pluta, Pełczyński, Muzyczka), nie przeprowadził z nimi rozmów? Dlaczego musiał to zrobić francuski Żyd? Ci ludzie zmarli, taśmy są u niego, a my nie wiemy co na nich jest. Wiemy, co on napisał. A on jak już tu przyjechał to miał koncepcję, że Powstanie było świadomie wywołanym armagedonem. „Na stos rzuciliśmy swój życia los”. Na stos nie tylko swój los, ale los mieszkańców Warszawy, los całej stolicy. Taką tezę miał Steiner. Przeprowadził rozmowy i napisał książkę, która potwierdziła tę tezę. W te same tony uderzała wcześniej propaganda komunistyczna. Przecież *Kanał*, którego kontekstu już dzisiaj nie dostrzegamy i uważamy go – słusznie – za film wybitny, ale pod

koniec lat 50. koncepcja *Kanału* była zgodna z propagandą komunistyczną i intencją Wajdy. Chodziło o to, żeby ośmieszyć Powstanie.

Krzysztof Laga:

Tak samo jak *Popiół i diament* jest najlepszym filmem o Żołnierzach Wyklętych. Bo lepszego nie stworzono.

Mirosław Lewandowski:

Tak, tak, zgadzam się.

Głos z sali:

Scena z wódką jest najlepsza.

Andrzej Chyłek:

Jeśli już, to ze spirytusem.

Mirosław Lewandowski:

I ta scena w kaplicy.

Głos z sali:

Jeżeli chodzi o śmierć Maćka Chelmińskiego, to ta symbolika, że umiera na śmietniku historii, moim zdaniem jest też dobrą symboliką.

Mirosław Lewandowski:

Dzisiaj propaganda przedstawia Powstanie Warszawskie zgodnie z tym, co napisał ten Steiner i zgodna z propagandą komunistyczną. Oni sobie nawet z tego sprawy nie zdają. Różnica między dzisiejszą polityką historyczną a komunistami jest tylko taka, że komuniści – i było to rozsądne – uważali, że skoro Powstanie wybuchło w celu wywołania armagedonu, to ci, którzy do tego doprowadzili są godni potępienia. I ja się z tym zgadzam, że gdyby Powstanie wybuchło w celu wywołania armagedonu i spowodowania zagłady stolicy i ludności cywilnej, to ci ludzie są winni armagedonu i godni potępienia. I to był problem, z którym Ludwik Muzyczka i pułkownik Pluta-Czachowski nie mogli

sobie do śmierci poradzić. Oni cały czas pracowali nad Powstaniem Warszawskim. Szukali jego usprawiedliwienia i do końca nie znaleźli. To jest wręcz dramatyczne, jak się czyta. Cały czas w papierach, od lat 50. do 70. wraca pytanie o sens Powstania. I oni nie mogą sobie z tym poradzić. Tam jest takie stwierdzenie w liście Pluty do Muzyczki; „Nie możemy znaleźć drogi do wielkości Powstania”. Oni cały czas szukali drogi do wielkości Powstania i nie mogli jej znaleźć.

Podobne zadanie miał generał Abraham, który szukał drogi do wielkości Września, który był równie opluwany jak Powstanie. Przypomnę film *Lotna...*

Głos z sali:

Też Wajdy.

Mirosław Lewandowski:

Cała „polska szkoła filmowa” służyła temu propagandowemu celowi – kpinie z bohaterszczyzny. Co nie zmienia faktu, że są to fenomenalne filmy. I teraz pytanie – co lepsze: czy filmy Wajdy, czy film Jerzego Zalewskiego o Roju? Jeden ma talent, ale złe intencje. Ale dzisiaj już te intencje znikły, a został artyzm tego filmu. Natomiast tamten zrobił film w dobrych intencjach, tylko... „Ty mnie nie maluj na kolanach, ty mnie maluj dobrze”.

I generał Abraham drogę do wielkości Września znalazł. Była to ogromna praca intelektualna. To co ja mówiłem w rozmowie z ministrem Kasprzykiem. To środowisko prowadziło gigantyczną pracę intelektualną. Jednym z tematów tej pracy było znalezienie drogi do wielkości Powstania. I to się ani Muzyczce, ani Plucie nie udało. Myślę, że drogę do wielkości Powstania dopiero wskazał Leszek Moczulski w książce *Czytaliśmy Piłsudskiego* Furdyny i Rodzika. Tam jest rozdział o 1944 roku. Moim zdaniem Moczulski w sposób najbardziej przekonujący przedstawił argumenty za i przeciw i wykazał, że Powstanie nie wybuchło po to, żeby spowodować zagładę stolicy.

I teraz wracam do obecnej propagandy. Dzisiejsza propaganda, tak jak w przypadku Żołnierzy Wyklętych, mówi to samo co komuniści:

powstanie wybuchło po to, żeby wywołać armagedon. Tylko komuniści potępiali tych, którzy to spowodowali, a dzisiejsza propaganda mówi: tych, którzy to spowodowali, należy pochwalić. „Należy tak robić. To jest wzór do naśladowania. Żołnierz, który do 1965 roku z bronią w ręku goni po lesie i robi zamachy na GS-y – to jest nasz wzór patriotyzmu, rozsądku, mądrości politycznej”. To dajemy młodzieży za przykład? A drugi przykład, który dajemy, to przywódcy polityczni, którzy rzekomo celowo wywołali zagładę stolicy i spowodowali zagładę tysięcy ludzi. Jest to tępa, głupia, bezsensowna propaganda, z którą trzeba walczyć. Podobnie jak z propagandą, że Śmigły zdradził w 1939 roku, czy że we wrześniu 1939 roku nastąpiła tutaj jakaś klęska zawiniona przez polskich dowódców, czy przywódców politycznych.

Jeśli chodzi o drogę do wielkości Września, to nad tym pracowało wielu ludzi. Zajmował się tym i Ryszard Zieliński, i Stanisław Podlewski, i Andrzej Szomański. Natomiast sprawę zamknął Leszek Moczulski książką *Wojna polska*. To był kopernikański przewrót w ocenie września! O ile żołnierzy Września już wcześniej przestano krytykować, zgodzono się z tym, że bili się dobrze. Polecam wam film *Westerplatte*. Nie ten, zrobiony teraz, w wolnej Polsce, ze wspaniałymi intencjami, ale beznadziejny. Ale ten fantastyczny czarno-biały film zrobiony w latach 60. według scenariusza Jana Józefa Szczepańskiego (który potem usunął swoje nazwisko ze scenariusza, bo mu tam pewne rzeczy zmieniono). To jest doskonały film. On pokazuje sens *Westerplatte*. Tam kapitan Dąbrowski tłumaczy sens, dlaczego my się bijemy. Bo codziennie polskie radio nadaje komunikat: „*Westerplatte* walczy, broni się nadal”. Sens walki jest taki, że póki my się bijemy, to mobilizujemy do walki całą Polskę. Był czwarty – piąty, wrzesnia. Jeszcze nie wiemy, jak się to potoczy. Liczymy, że Zachód uderzy. Ale takie rozumienie *Westerplatte* wymaga pewnego wysiłku intelektualnego, żeby pojąć, że ci żołnierze nie bili się, bo byli idiotami, którzy mieli ochotę zginąć za ojczyznę, tylko bili się, bo ich walka miała głęboki racjonalny sens.

Mamy połowę lat 50. Pluta wychodzi z więzienia. I teraz chcę powiedzieć, jak działało to środowisko, którego liderem był Pluta, ale które nie miało ani struktury liniowej, ani kierownictwa formalnego. Było

to coś, co miało strukturę sieciową i bardzo przypominało Al-Kaidę. Pierwszy punkt, który oni zrobili, to jest połowa roku 1957. Jest rok po amnestii. Walkę o rząd dusz w środowisku akowskim podejmują dwie postacie. Mazurkiewicz, czyli „Radosław”, który zapisuje się do ZBoWiD-u i mówi tak: „Spróbujmy załatwić kwestie socjalne. Co się da, to uczcijmy, a czego się nie da, to trudno. To jest jakiś kompromis. W zamian za to nasi ludzie będą mieli w miarę godną starość w nowych realiach”.

Żeby było ciekawiej, bo mówiłem tu o pewnym systemie wartości tego środowiska. Mazurkiewicz nie był uważany przez środowisko ortodoksyjne Armii Krajowej, takie jak Pluta, za zdrajcę. Uważano, że on w 1945 roku popełnił błąd, ujawniając AK. Ale nie zdradził. Uważano, że miał prawo się pomylić, ale nie potępiano go tak bardzo, jak drugiego człowieka, który walczył o rząd dusz i którego dość powszechnie uważano za zdrajcę. I na pogrzebach różnych członków Armii Krajowej ten człowiek stał sam. Nikt mu nie chciał ręki podać. To był pułkownik Rzepecki. Z pewnością do momentu aresztowania bohater, ale jak to podkreślał doktor Rybicki, w ciągu dwóch godzin jazdy z Łodzi do Warszawy, Rzepecki, który wcześniej bardzo potępiał Mazurkiewicza za ujawnienie AK, w ciągu tych dwóch godzin po aresztowaniu zmienił swoje poglądy o 180 stopni. I jak był proces pierwszej komendy WiN-u, w którym sądzeni byli m.in. Muzyczka, Rybicki, Gołębiewski, to Rzepecki dostał niższy wyrok niż jego podwładni. A na drugi dzień prezydent Bierut go ułaskawił i Rzepecki wyszedł na wolność. Polecam wam film Polskiej Kroniki Filmowej, jak przyszli z kamerą kręcić Rzepeckiego, jak wychodzi z więzienia, jak ucieka przed nimi, bo ma świadomość, po co go filmują. Oczywiście nie pokazuje im środkowego palca. Kłania się propagandowym operatorom i jak zbity pies ucieka z podkulonym ogonem. Muzyczka z Rybickim siedzieli jeszcze kilka lat. Gołębiewski dostał KS, w wyniku amnestii Bieruta później zamienioną na dożywocie.

Więc była walka o rząd dusz żołnierzy Armii Krajowej pomiędzy tymi ludźmi. Rzepecki po roku 1956 miał koncepcję: „Piszmy oficjalną historię Armii Krajowej, odpuśćmy sobie jej dowództwo. Przyłączamy

się do opinii komunistów i potępiamy to dowództwo, którego byliśmy częścią...”. Żeby było ciekawiej, to Rzepecki był zwolennikiem Powstania. A na łamach „Po prostu” publikował w 1956 roku teksty, w których kłamał, że był przeciwny. Rybicki mu to wyciągnął. Że on pisze w 1956 roku, żeby wybielić siebie z 1944 roku. Twierdzi, że już w 1944 roku miał takie poglądy, jakie przyjął w czasie tych dwóch godzin jazdy z Łodzi do Warszawy w samochodzie UB. I to jest Rzepecki, który ma taką koncepcję dla środowiska akowskiego: „Potępiamy górę akowską, wyrzekamy się ideałów, opisujemy historie pojedynczych żołnierzy, akcji”. Tak było i z Wrześniem – „Żołnierz szeregowy był bohaterem. Dowództwo zawiodło”.

I nagle pojawia się dwóch ludzi. To są właśnie te kamienie. Ludwik Muzyczka i Kazimierz Pluta-Czachowski. Przygotowują tekst, którego nie mogą wydać. W końcu publikuje im go w Krakowie „Tygodnik Powszechny”. Ze wstępem, w którym pisze, że się absolutnie z ich poglądami nie zgadza...

Głos z sali:

Tylko tak mogli to opublikować...

Mirosław Lewandowski:

Zgoda. Chcę tylko powiedzieć, że nie było tak, że „Tygodnik” opublikował i powiedział, zobaczcie, jakie faceci mają fajne poglądy i my się z tym zgadzamy, tylko zapłacił pewną cenę (i bardzo dobrze, bo być może dzięki temu ten tekst się ukazał). Drugi ich tekst, który udało mi się znaleźć w aktach SB nie ukazał się nigdzie. Teraz możemy przeczytać, co oni tam napisali, ale w 1957 roku ludzie go już nie przeczytali. Otóż ten pierwszy tekst się ukazał i był jak cios obuchem w głowę. Istota tego tekstu polegała na tym, że oni bronili góry Armii Krajowej i otwarcie potępili Rzepeckiego. Zarzucili mu wprost, że dzisiaj ma inne poglądy niż miał w 1944 i że dziś krytykuje poglądy, które kiedyś były jego poglądami.

To był kapitalny tekst, bo pokazał akowcom niższej szarży, że jest jeszcze trzeci ośrodek, który próbuje coś montować i który ma zamiar

być wierny idei AK. Ośrodek, który będzie prowadził pewne gry, ale w sprawach pryncypialnych jednoznacznie jest w opozycji wobec ówczesnej władzy.

Prezentuje taką postawę: „Brać jak dają, nie kwitować i żądać więcej!”. Ten sposób myślenia jest typowy dla Muzyczki i Pluty. To bardzo wyraźnie widać w latach 60., gdy pewną grę z tym środowiskiem podejmuje Moczar. I oni z nim tę grę podejmują. Ale z akt SB wyraźnie wynika, że oni nie mają złudzeń co do Moczara. Nie mają zamiaru grać w jego orkiestrze, ale nie mają zamiaru odmawiać, gdy Moczar im coś daje. Co on im daje? Bardzo wiele tekstów Pluty zaczyna się ukazywać w drugiej połowie lat 60. Oczywiście my wiemy, dlaczego tak było. I on miał nie pisać w PAX-owskich pismach tylko dlatego, że te teksty ukazywały się na mocy licencji Moczara? Pewnie dzisiaj byśmy tak powiedzieli: „Sprzedał się, zeszmacił się”.

Głos z sali:

Zależy, co napisał.

Mirosław Lewandowski:

Pewnie nie pisał wszystkiego. Ale nie ma tam kłamstw. Napisał bardzo wiele bardzo ważnych rzeczy. „Brać, nie kwitować i żądać więcej!”. To była postawa tego środowiska.

Od czego oni zaczynają? Oczywiście po tym pierwszym tekście oficjalnie już nic nie opublikowali. Aż do czasów Moczara. Jak nastał Moczar, Pluta publikował, a Muzyczka już nie.

Co robią? Robią coś, co dzisiaj moim zdaniem ociera się o tromtadrację. Ale wtedy nie było tromtadracją, tylko żywymi emocjami. W 1957 roku – tuż przed, albo tuż po ukazaniu się ich tekstu pt. „Prawda i nieprawda o Armii Krajowej” – jest msza za generała Grota w Warszawie. W rocznicę aresztowania, bo data śmierci nie była znana. I pojawia się doniesienie jednego z tajnych współpracowników, który mówi, że ta msza za Grota, w której uczestniczyło kilkaset osób, głównie z AK, miała kapitalne znaczenie dla tego środowiska. „Z powrotem poczuli, że mogą być razem. Że coś ich łączy”. Był ten okropny okres

lat 40., w którym się różnie różni ludzie zachowywali. Była gra Augustowskiego, którą kontynuował po roku 1956. Była gra Pluty z agentami celnymi, o której mówiłem. Różne gry były.

Pierwszą rzecz, którą robią Pluta i Muzyczka, to są te msze. Na razie przychodzą tylko oni. Są coraz starsi. Co to są za msze? Przede wszystkim pogrzeby umierających akowców. Jest w aktach SB taka bardzo smutna relacja. Jak Bór umarł w Londynie, to w Warszawie zrobiono mszę pogrzebową przy symbolicznej trumnie Bora. Tego samego dnia komuniści sprowadzili do Polski ciało Kiepuru. Był tłum ludzi w kościele na mszy za Bora, ale myśleli, że uczestniczą we mszy związanej ze sprowadzeniem zwłok Kiepuru. To jakaś ze strony komunistów niewiarygodna i cyniczna gra.

Głos z sali:

Perwersja funeralna.

Mirosław Lewandowski:

Historia mało znana. A więc pierwsza rzecz to te msze. Inne uroczystości to oczywiście marzec, na Józefa, 12 maja, oczywiście, 6 sierpnia (bardzo mocno to podkreślają) i 11 listopada.

Głos z sali:

I w Warszawie – Powstanie (1 sierpnia).

Mirosław Lewandowski:

Tak, ale tutaj Pluta z Muzyczką mieli duży problem, bo jak mówiłem, drogi do wielkości Powstania znaleźć nie mogli. Więc 1 sierpnia to zazwyczaj była wizyta na cmentarzu.

Jest taki też wzruszający opis z przełomu lat 60. i 70., jak siedemdziesięcioletni Pluta ze swoimi rówieśnikami biega po cmentarzu, roznosząc świeczki, które przywiózł Zygmunt Dziarmaga-Działyński, zakupione ze środków PAX, żeby na grobach żołnierzy Armii Krajowej paliły się świeczki. Stary Pluta biega tam razem z żoną, razem z innymi. Bardzo smutny obrazek.

Te uroczystości funeralne z pozoru przypominają dzisiejszą tromtadrację, ale w rzeczywistości ich treść jest zupełnie inna.

Drugi rodzaj działania przedstawię od końca. Pierwszy raz byłem w kościele Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu w 1982 roku. Pojechałem na Jaracza. Leszek Moczulski siedział, ale była pani Maria i ja miałem dostarczyć jej jakąś bibułę z Krakowa i wiadomości. Przyjechałem za wcześniej i poszedłem na Krakowskie Przedmieście. A tam, w kościele św. Krzyża zobaczyłem mnóstwo tablic poświęconych różnym bohaterom. Pamiętam, jakie to na mnie robiło wrażenie. Miałem wówczas dwadzieścia jeden lat. Jakichś specjalnych tradycji niepodległościowych w rodzinie, w przeciwieństwie do wielu z was, nie miałem. A tu te tablice, piękne napisy, piękne słowa. Dotykałem jakiejś tajemnicy, jakiejś innej rzeczywistości, jakiegoś majestatu. To robiło na mnie olbrzymie wrażenie. Nie zastanawiałem się wtedy, skąd się te tablice wzięły. To były tablice poświęcone ludziom, którzy walczyli w Armii Krajowej. One zostały wmurowane w Polsce komunistycznej w ściany kościołów. Kto je wmurował? Nie zastanawiałem się wtedy. Jak przeczytałem te akta SB, to sobie uświadomiłem. Tę gigantyczną robotę robiło środowisko kombatanckie. To wymagało gigantycznej roboty logistycznej, materialnej, zgromadzenia środków.

À propos – dlaczego dzisiaj nie ma jakiejś tablicy Andrzeja Szomańskiego w Warszawie?

Michał Janiszewski:

Jest!

Mirosław Lewandowski:

Ale nie jest ufundowana przez nasze środowisko, tylko przez władze...

Michał Janiszewski:

To było w ogóle pierwsze działanie Instytutu – wmurowanie tablicy w kościele w Ursusie...

Mirosław Lewandowski:

Gdybym miał kapelusz, to bym przed wami zdjął, panowie, i głęboko wam się pokłonił!

Michał Janiszewski:

To był akt założycielski Instytutu. Mszę odprawiał ksiądz prałat Maj, który Andrzeja znał.

Mirosław Lewandowski:

Powiem wam jeszcze jedną rzecz. Gdy czytałem to, co oni robili, to myślałem o nas. Oczywiście nie byliśmy Armią Krajową, a nasze czyny w latach 80. są nieporównywalne z tym, co robili oni. Ale myślałem, że jest pewna analogia. Tak jak oni w latach 40. i 50. zostali opluci, ośmieszeni i rozpierzchli się w różne miejsca i potem powoli zbierali się z powrotem w kupę. Tak samo my teraz...

Uświadommy sobie, w jak wielu miejscach odnajdujemy kape-enowców.

Andrzej Chyłek:

Partia – matka.

Głos z sali:

Sędzia Żurek...

Mirosław Lewandowski:

Ale w KPN-ie był także Tomasz Merta. Także poseł Pięta, ale na niego spuśćmy może zasłonę milczenia...

Michał Janiszewski:

Sławek Skrzypek.

Głosy z sali:

Bondaryk, minister Rostowski, wnuk „Radosława”

Mirosław Lewandowski:

Słuchajcie, gdyby nam tak jak im udało się z powrotem skrzyknąć tych ludzi. Oczywiście, niektórzy z nich nie mogą wejść do naszego środowiska, bo już znaleźli się gdzie indziej. Z różnych względów. Ale bierzmy przykład z naszych ojców-założycieli. Przez KPN, jak przez Legiony, przewinęła się cała masa ludzi. Większość z nich teraz wstydzi się, że była w KPN-ie. Może jak nie dzisiaj, to się wstydziła jeszcze kilka lat temu. Kazano im przeproszać za to, że byli w KPN.

Głos z sali:

Nieee.

Maciej Gawlikowski:

O przepaszam. Jeden z wymienionych, bardzo znana osoba, już nieżyjąca, wymieniona tu przez Mirka, konsekwentnie w swoich życiorysach pomijała KPN.

Mirosław Lewandowski:

Jedno zdanie stąd, aktualne też do naszego środowiska. Związane jest to z tą mszą za Grota w 1957 roku. Napisał tajny współpracownik: „Dopiero teraz widać, jak ogromna więź łączy wszystkich akowców, mimo że tyle lat byli rozdzieleni”. Otóż, bardzo bym chciał, żeby udało się nam doprowadzić kiedyś do tego, co udało się Plucie i Muzyczce. Oni wskazują nam drogę. Żeby z powrotem ludzie z KPN byli dumni, że byli w tej organizacji, tak jak każdy z nas tu obecnych jest z tego dumny. I żeby jakoś udało nam się tę więź odbudować.

Przeczytam wam jeszcze jeden fragment Muzyczki. Kiedy go przeczytałem byłem bardzo wzruszony. Ale również pomyślałem sobie, że mógłbym to samo napisać o KPN, co Muzyczka o Armii Krajowej. Cytat z Ludwika Muzyczki z 1969 roku:

„Na jednym ze swoich procesów, w okresie tak zwanego kultu jednostki, na którym zostałem skazany na dziesięć lat więzienia [to jest ten proces Rzepeckiego i towarzyszy] powiedziałem w ostatnim słowie, że dumny i szczęśliwy jestem, że dane mi było być żołnierzem Armii

Krajowej. Tej organizacji wojskowej narodu polskiego, która w walce z hitleryzmem była – według słów prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, Roosevelta – natchnieniem narodów. (...) Dzisiaj, widząc z odległości dziesiątków lat [myślę, że to też możemy powiedzieć o KPN] nie tylko jej blaski i cienie, nie tylko nie zmieniłem mego stosunku rzeczowego i uczuciowego do niej, ale jeszcze bardziej go pogłębiłem. Właśnie jej ułomność, przy pełnym zachowaniu imponderabiliów, uczyniła mi ją jeszcze bliższą i bardziej umiłowaną”.

Myślę, że dla naszego środowiska te słowa powinny być wskazówką.

Wracam do ich działania. A więc tablice. Ziemiński zrobił takie sprawozdanie w 1978 roku. Tam jest mowa o 100 tablicach w jednym tylko kościele.

Skąd mieli pieniądze? Tu przechodzimy do bardzo ważnego momentu w działalności tego środowiska i roli Muzyczki. Muzyczka był ateistą. Człowiekiem niewierzącym. Tutaj mamy autorytet w sprawie światopoglądu Piłsudskiego, ale jak doczytałem w książce doktora Urbankowskiego, Piłsudski jednak wierzył w Boga...

Bohdan Urbankowski:

Głównie w Matkę Boską Ostrobramską.

Mirosław Lewandowski:

Myślę, że Ludwik Muzyczka był jednak ateistą. Nie zgadniecie, co zagrał organista na pogrzebie Ludwika Muzyczki? Pieśń rosyjskiego kompozytora do słów polskiego poety, żołnierza Armii Krajowej, *Rozszumiały się wierzby płaczące*. To była pieśń grana na koniec wielu mszy patriotycznych w kościołach! Absolutnie niereligijna. Ale przesłuchałem jeszcze raz jej słowa. Nie dziwię się, żeby Ludwik Muzyczka chciał, żeby informacje o kulach, które świstały i o visach, z których strzelano i o tym, że „nie baliśmy się śmierci”, że chciał, żeby to tę pieśń organista zagrał na koniec nabożeństwa na cmentarzu Rakowickim, którą to mszę odprawiał ksiądz proboszcz z Rakowic, a nie biskup Karol Wojtyła, co jak sądzę, należało się postaci tej miary co Ludwik Muzyczka.

Potem przewieziono trumnę do Warszawy. Tam miał pogrzeb świecki. Na ten pogrzeb został sprowadzony z Częstochowy ksiądz Eustachy Rakoczy, kapelan tego środowiska. Był w cywilnym ubraniu. Dopiero jak przy trumnie rozpiął płaszcz, widać było, że ma koloratkę. Ponoć nieżyjąca już córka Muzyczki była przerażona. Nie pozwoliła, żeby doktor Rybicki przemawiał na pogrzebie...

Ale co zrobił Muzyczka w 1964 roku?

Znalazłem te ślady w książce Andrzeja Anusza (i w tej grubej, i w tej cienkiej, ale w tej grubej jest więcej, jej tytuł – *Kościół obywatelski*). Tu po raz kolejny dziś kłaniam się Andrzejowi nisko i dziękuję też, że posłał mi te książki. Tam jest ślad tego.

Prymas był atakowany z jednej strony przez środowiska lewicowe, na przykład „Tygodnik Powszechny”, a z drugiej strony przez PAX. I wtedy następuje taka sytuacja, że w prasie francuskiej czy włoskiej ukazuje się tekst, w którym dziennikarz, powołując się na słowa Wyszyńskiego, napisał o Piaseckim per „agent Moskwy”. Wyszyński nigdy tych słów nie potwierdził, ale też dość przewrotnie nie zaprzeczył. Mówił: „Z samego tekstu wynika, że to były słowa wypowiedziane w tajemnicy. Więc nie mogę potwierdzić, że kiedykolwiek takie słowa wypowiedziałem”. Po tym tekście PAX wysłała bardzo ostry list do prymasa Wyszyńskiego, w którym prosi, żeby Wyszyński zaprzeczył, że takie słowa o Piaseckim powiedział. Wyszyński publicznie milczał. Prywatnie mówi to, co cytowałem przed chwilą. Natomiast Episkopat Polski wystosował oficjalne pismo, w którym zaatakował Piaseckiego, zarzucając PAX-owi, że domaganie się od Wyszyńskiego zaprzeczania tym słowom jest próbą rozbicia polskiego Kościoła. Następnie środowiska legionowe i AK-owskie, pułkownicy Armii Krajowej, legionisści, żołnierze Pierwszej Brygady, którzy byli jakoś związani z PAX-em, którym PAX pozwalał żyć, wystosowali list do Wyszyńskiego w obronie Piaseckiego. I dwóch ludzi, którzy byli w czasie wojny w formacji Muzyczki (w Korpusie Bezpieczeństwa) – jeden nazywał się Zygmunt Dziarmaga-Działyński, a drugi Szopiński – przyjechało do Krajkowa, zaprosiło Muzyczkę do Wierzyńka i nakłaniało go, żeby się pod tym listem podpisał. To dla Muzyczki nie powinno być problemem, bo

nie był człowiekiem wierzącym. Muzyczka ich wyrzucił. Wypił, zjadł obiad i potem ich wyrzucił. To znaczy, pierwszą odpowiedź dał wymijającą. Ale jak się potem dowiedział od Pluty, że oni się powołują na niego, jako na tego, który poparł ten list, wpadł w złość. Zdaje się, że i Pluta, i Muzyczka to byli cholerycy. I wystosował jakiś list, którego nie udało mi się znaleźć, gdzie dał im po piętach. Mam tylko list Pluty do Muzyczki, w którym Pluta jest zachwycony tym listem Muzyczki. Mówi: „Twój piękny język, jasne słowa – wyraziłeś to co każdy z nas myśli”.

To miało olbrzymie znaczenie. Bo przychodzi rok 1968, 50 rocznica odzyskania niepodległości. I staje się rzecz, której znaczenie Andrzej zauważył, a której, przyznam się, ja nie byłem świadomy. Środowisko kościelne, zwłaszcza to, z którym związany był Wyszyński, jeżeli miało blisko do jakiegoś środowiska politycznego w PRL, to do tego środowiska, które się wywodziło z endecji. Przecież przed wojną Kościół był ostoją endecji. To bardzo wyraźnie widać. Relacje między środowiskiem piłsudczykowskim a Kościołem były bardzo napięte. Sprawa pochówku Marszałka na Wawelu. Konflikt, który się odbył między księciem Sapiehą i środowiskiem piłsudczykowskim. Ale jest połowa lat 60. Wyszyński ma na pieńku z tym lewicowym środowiskiem „tygodnikowo powszechnym”, z drugiej strony dociska go środowisko PAX-owskie, w jakimś stopniu wywodzące się ze środowiska endeckiego. I nagle co się okazuje? Wyszyński dowiaduje się, że broni go Muzyczka. Ze środowiska akowskiego, piłsudczyk. To on im wszystkim daje popalić!

W efekcie, bodaj 15 września 1968 roku, odbywa się wydarzenie przełomowe dla środowiska akowskiego. W Częstochowie odbywają się wielkie uroczystości z okazji 50. rocznicy odzyskania niepodległości. Niestety jest bardzo mało informacji na ten temat. Nawet biografowie Wyszyńskiego nie zdają sobie sprawy z wagi tego wydarzenia. Jest msza, wielka suma w Częstochowie. Homilię wygłasza Wyszyński. Mam tę homilię. Cytuje tam wszystkich polskich poetów. Od Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, a kończy na Wyspiańskim. Ale kończy swoje kazanie słowami: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie. Ojczyznę wolną pobłogosław Panie”. To jest etap, na którym się znaj-

duje Prymas Wyszyński w 1968 roku. To jest jeszcze zanim nastąpiła współpraca Episkopatu ze środowiskiem akowskim.

Moim zdaniem Wojtyła byłby zupełnie innym papieżem, gdyby nie to, jaką edukację otrzymał od środowiska akowskiego między rokiem 1968 a wyborem na papieża. Bo przed 1968 rokiem Wojtyła był w porównaniu z Wyszyńskim dużo bardziej ostrożny. To, że on później przyjeżdża do Polski jako papież i mówi w Krakowie, na mszy na Błoniach, w której miałem przyjemność uczestniczyć: „Proszę was, żebyście to wielkie dziedzictwo, któremu na imię Polska, z powrotem przyjęli. Opiekowali się nim. Nie wzgardzili. Nie odrzucili”, to jest – moim zdaniem – efekt tych lat pracy tego środowiska akowskiego nad Wojtyłą, żeby on zaczął mówić tym językiem. W latach 60. Wyszyński nie pozwolił, żeby umieścić w Katedrze Świętego Jana tablicę poświęconą Józefowi Piłsudskiemu. Bo Wyszyński był endekiem. A w roku 1980, na oplatku prymasowskim, Wyszyński „polecał” takim tekstem, że Pluta by się pod tym podpisał. To jest te dziesięć lat pracy od roku 1968 do śmierci Pluty w 1978 roku.

Potem to się posypało. W 1976 roku zmarł Abraham, w 1978 roku – Pluta i już nie bardzo Wyszyński miał partnera. Ponadto sam też był już stary.

A więc w działalności tego środowiska jest wyraźna cezura, którą jest rok 1968. Po tym roku bardzo wiele się zmienia. Przede wszystkim do roku 1968 oni działają bardziej do wewnątrz. Są te msze, tablic jeszcze nie ma. I jest spisywanie relacji, do biurka. Pluta dostaje kopie. Pluta u siebie ma archiwum, z całej Polski relacje różnych ludzi. Jeden egzemplarz wysyła do Londynu. W aktach SB jest taki fragment: jakiś tajny współpracownik donosi, że przychodzi do Pluty facet z Londynu, prosi go o jakieś informacje na temat Armii Krajowej, a ten mówi: „Tu jest relacja, ale wy to macie, bo ja wam to przez Augustowskiego do Londynu wysyłałem”. Co dowodzi, że prawdopodobnie Augustowski grał w taką grę SB, że on oczywiście się z nimi (SB) spotykał, przekazywał, ale do Londynu jako kurier jeździł i swoje robił. I chyba nie przekazywał SB tych materiałów, bo ich dzisiaj nie ma w archiwach esbeckich.

Po roku 1968 to środowisko zaczyna działać bardzo wyraźnie na zewnątrz. Coraz więcej publikacji w prasie, póki Moczar jest szefem MSW. Jak Moczar wylatuje, to kończą się publikacje Pluty w gazetach PAX-owskich. Ale są te tablice w kościołach. Trwają cały czas.

Przy czym, żebyśmy zrozumieli, jak wyglądała sprawa z tablicami. Oni przygotowywali je potajemnie, ale bezpieka wiedziała, że oni chcą je wmurować. Oni tego przed bezpieką specjalnie nie ukrywali. Z jednego prostego powodu. Przecież nawet jeżeli by się im udało w wielkiej tajemnicy te tablice wmurować, a bezpieka chciałaby je usunąć, to by rano przyszli, skuli, zabrali i pieniądze na tablice i na robociznę poszłyby w las. Dlatego gra kombatanów była zupełnie inna.

Po pierwsze – wiedzieli, kto w ich środowisku miał kontakty z SB. Były to dwie grupy osób. Tacy jak Augustowski, stary dwójkarz, który grał. I taki jak major Malewski z komendy Głównej AK, czyli TW „Chłopicki”, który zresztą pisał bardzo ładnym językiem te swoje doniesienia. Jak rok temu Bohdan Urbankowski opowiadał, że donos jest odrębnym gatunkiem literackim, to muszę przyznać mu pewną rację, bo doniesienia Chłopickiego albo Kleszewskiego, są literacko może nie wybitne, ale są niezłe. I Bogu dzięki, bo dzięki nim mamy kapitalny opis salonu Pluty-Czachowskiego, mamy kapitalny opis wielu mszy (łącznie z tą mszą 11 listopada 1978 roku, z której jest kilka doniesień. Kleszewskiego, Chłopickiego i paru innych). Kleszewski był już trochę głuchy, ale to co widział, to świetnie potrafił to opisać. Więc jest to naprawdę pewien gatunek literacki. Oczywiście byli też partacze, którzy porozumiewali się z SB kiepskim językiem. Augustowski miał taki sposób opisywania, że o wszystkich swoich kolegach mówił z lekceważeniem, że ten to złodziej, tamten dziwkarz. Oczywiście teraz jak to czytamy, to możemy powiedzieć, że jak on mógł tak powiedzieć? Przecież to zdrajca. A ja pytam, co z tego, że tak o nich mówił do SB? Pytanie jest, czy im w ten sposób zaszkodził? Czy przekazał rzeczy wartościowe operacyjnie?

Dobrze, już kończę...

Odpowiedzmy sobie na pytanie – czy jest możliwe, żeby za tymi działaniami nie stała jakaś duża grupa, która funkcjonowałaby w spo-

sób zorganizowany? Czy jest możliwe, żeby duża grupa ludzi nie stała za mszą 11 listopada 1978 roku, w której wzięło udział w katedrze świętego Jana być może 20 tysięcy ludzi? Ja wiem, że już był Ruch Obrony, który pomagał...

Piotr Wójcik:

Papież był wybrany dwa – trzy tygodnie wcześniej, to bardzo ważne!

Mirosław Lewandowski:

Zgoda. Ale to było jeszcze przed pierwszą pielgrzymką...

Ale dobrze. Weźmy mszę 11 listopada 10 lat wcześniej: na mszy była garstka ludzi. Byli siedemdziesięcioletni akowcy, w biało-czerwonych opaskach. Służba porządkowa z siedemdziesięcioletnich starców.

Głos z sali:

Bez przesady. W 1969 roku połowa akowców miała po 45 lat. To legioniści mieli...

Mirosław Lewandowski:

Pluta-Czachowski miał w 1969 r. 70 lat. Nie chwytajcie mnie za słówka. Mówię to po to, żebyśmy my, 60-letni ludzie, czuli się zobligowani do aktywnego działania. Skoro oni mogli, a byli od nas dużo starsi i siedzieli w więzieniu dużo dłużej niż Misiek i pewnie inni, którzy są wśród nas.

Ta ich organizacja miała kształt, który dla безпеki był niemożliwy dla uchwycenia. Myślę, że i my dzisiaj byśmy tego nie uchwycili, gdyby nie Al Kaida, dzięki której rozumiemy, co to jest sieciowość działania jakiegoś środowiska.

Michał Janiszewski:

Chcesz powiedzieć, że zerznąli od nich?

Mirosław Lewandowski:

Myślę, że ten kto organizował Al-Kaidę czy ISIS, myślał podobnie.

Jerzy Wawrowski:

Muzułmanie mieli stare tradycje: asasyni, „starzec z gór”. To też była średniowieczna organizacja sieciowa sztyletników.

Mirosław Lewandowski:

Zgoda. Teraz jak tutaj to działało, w środowisku kombatanckim?

Z jednej strony struktury nie było. Mamy bardzo wiele w aktach takie ślady, gdzie oni mówią: „Możemy pisać listy do władz, ale pojedynczo”. Nie było listów zbiorowych. Nie robimy żadnych zebrań. Jeżeli były zebrania, to one miały jakieś legendy. Były zebrania w Szczawnicy, na które przyjeżdżali ludzie, o których oni wiedzieli, że to są tajni współpracownicy, którzy przyjeżdżają tam po to, aby przekazać doniesienie SB, o tym, że oni tam się spotykają i o czymś gadają. Moim zdaniem nad tym myśleli dwójkarze. Sądzę, że pracował nad tym Augustowski, prawdopodobnie też Muzyczka, który formalnie nie był dwójkarzem, ale miał bardzo duży kontakt z wywiadem i kontrwywiadem. Więc to było bardzo inteligentnie wymyślone. „Co zrobić, gdy oni za nami chodzą? Wychodzimy z więzienia i oni od razu za nami chodzą”. Muzyczka to ćwiczył. Opisuję to w książce, bo akurat te akta się bardzo dobrze zachowały. Pierwszy agent w pracy. Muzyczka go odstrzelił (to znaczy szybko zdemaskował i zniechęcił do donoszenia). Drugi agent w pracy – też szybko zrezygnował... Muzyczka potrafił być wobec nich tak brutalny, że potem oni błagali SB: „Nie wysyłajcie mnie na Muzyczkę, bo on mi dał tak strasznie w dupę...”. Bali się Muzyczki bardziej niż SB! Ale w pewnym momencie Muzyczka się kapnął, że to nic nie daje, bo wysyłają następnych. Poza tym wzbudzało ich podejrzenie to, że on ich po kolei odstrzela. „Pewnie ma coś do ukrycia!”. Akowcy zorientowali się (zwłaszcza dwójkarze w ich środowisku), że taktyka musi być inna. „Oni muszą mieć wrażenie, że oni nasze środowisko operacyjnie kontrolują”. Muzyczka załatwił to w ten sposób, że wyszkolił agenta, który pracował na dwa fronty. Szczegóły tego opowiem innym razem. Pluta rozegrał to inaczej. Miał tego kolegę z Powstania Warszawskiego – majora Malewskiego, czyli TW „Chłopickiego”. Świetne. 11 tomów doniesień! Rewelacja! On i TW „Kleszewski” to

kopalnie wiedzy. Od lat 40., bo TW „Chłopicki” (działający jeszcze pod innym pseudonimem) siedział w jednym baraku z Borem i z całą wierchuszką AK a ich rozmowy w oflagu relacjonował potem UB. Można powiedzieć – bezcenne źródło historyczne! Ale jaka była gra? Pluta wiedział, że Malewski donosi. I jemu to nie przeszkadzało, bo jak wiedział, to na niego uważał. Ale na przykład Rybicki sobie nie życzył, żeby Malewski się koło niego kręcił. I jak Malewski w Szczawnicy siedział razem z Rybickim i gadali, to Rybicki mu opowiedział najpierw o jednym człowieku, którego Kedyw zlikwidował, bo donosił gestapo, potem o drugim i o trzecim... Malewski czuł się na pewno nieswojo, bo Rybicki kąpał z niego w żywe oczy. Bo ten temat rozmowy narzucony przez Rybickiego zapewne nie był przypadkowy... Z akt jasno wynika, że Malewski wiedział, że Pluta wie, że Malewski donosi. Ale nie tylko Malewski wiedział, że Pluta wie. Oficer prowadzący Malewskiego też wiedział, że Pluta wie, że Malewski donosi. To była taka gra. Spytacie – „Dlaczego esbecy na to poszli?”. No bo nie mieli lepszych źródeł osobowych. Z tym, że zasada była jedna. Pluta miał jednego anioła stróża – Malewskiego. TW „Kleszewski” był aniołem stróżem Zientarskiego. Ale jak się „Kleszewski” pojawił w pobliżu Pluty, to Pluta go tępił (na co ten się żalił SB), podobnie jak Rybicki w Szczawnicy tępił Malewskiego... TW „Kleszewski” to był bohater spod Monte Cassino. Bardzo lubił kobiety, zwłaszcza nieletnie (ewidentnie zboczony). Nawet bezpieka mówiła mu: „Panie, daj pan spokój, bo już nie będziemy pana kryć”. I co robił pułkownik Weiss? Otóż, gdy zbliżył się do Pluty, to Pluta zachowywał się wobec niego w taki sposób, że on się żalił potem bezpiece, że boi się podejść do Pluty, bo Pluta go podejrzewa. I że nie może zbliżyć się do niego, bo mu Pluta nie pozwala. Czyli każdy miał swojego anioła stróża. Ziętarski wiedział, że Kleszewski donosi, Pluta wiedział, że Malewski donosi, Muzyczka z Gąsiorowskim to była inna relacja... Nawzajem zapewne się wymieniali tymi informacjami: Pluta wiedział i o Malewskim, i o Weissie. Pluta Malewskiego traktował z pewną wyrozumiałością, bo wiedział, że musi mieć jakiegoś anioła stróża. Ale z kolei jak inny próbował się do niego zbliżyć, to go gonił. Taki był układ. Esbecy w to szli, bo to było dla nich wygodne. Ale pi-

sali to tak, że można to w papierach odczytać (choć – oczywiście – nie wprost). Pluta i inni w to szli, bo dzięki temu byli pozornie kontrolowani operacyjnie. Mogli też „puszczać różne szczury” bezpiece (tak jak Pluta agentowi celnemu w więzieniu). I, powiedzmy sobie szczerze, że i Malewski – bo o Weissie mam gorsze zdanie – wydaje się, że „donosił, ale się nie uśmiechał”, to znaczy nie był dociekliwy. Jak Rybicki gadał z Plutą w Szczawnicy, to Malewski relacjonuje: „Ja ich przeprosiłem i odszedłem”. Nie jest powiedziane, że oni mu kazali iść, choć może mu dali do zrozumienia...

Głos z sali:

Dobrze wychowany...

Mirosław Lewandowski:

Owszem, jak się spotkali, to gadali o latach 40., o Armii Krajowej, o rzeczach nieistotnych. Natomiast jak Pluta miał z Rybickim do pogadania, to szli do parku, bo u górali mógł być podsłuch, i gadali we dwójkę, a Malewski grzecznie spadał. I w taki sposób „SB kontrolowała operacyjnie to środowisko”.

Była to struktura sieciowa, przypominająca Al-Kaidę. Miała nazwę? – Nie miała. Ale z drugiej strony – miała, bo Armia Krajowa była nazwą. Bo to było budowane w głównej mierze w oparciu na byłych uczestnikach AK.

Była struktura? – Nie było. Ale z drugiej strony była. Leszek Moczulski mi opowiadał, że był świadkiem rozmowy z jakimś 70-letnim albo 60-letnim staruszkiem, któremu Abraham wydawał polecenie: „Pojedziesz tu i tu”. A on mówi, że ma żonę chorą. A Abraham przy Moczulskim zapytał go: „Przysięgałeś?”. Można to interpretować, że to była jakaś przysięga, którą on składał w latach 60., ale ja interpretuję, że to była przysięga, którą on składał przed wojną albo w czasie wojny. Leszek Moczulski przysięgał pod koniec lat 50., ale tamci składali przysięgi wcześniej i nie było już potrzeby odnawiania tej przysięgi.

Więc nie było nazwy, ale była nazwa. Nie było struktury, ale była struktura. Coś, co nie ma nazwy, jest niewidoczne dla SB.

Zobaczcie, jaki problem miała SB, żeby wytropić organizację, którą dzisiaj znamy pod nazwą „Ruch”. Wytropili ją dopiero wtedy, gdy sami nadali jej nazwę. I potem, ludzie w zeznaniach, bo oni się tam posypali i zeznawali, zaczęli też mówić o „Ruchu”, bo bezpieka ich ciągle o „Ruch” pytała. I „Ruch” znamy jako „Ruch”. To byli: Niesiołowski, Czuma i tak dalej. Ale oni w rzeczywistości nie używali nazwy „Ruch”. Prawdopodobnie w ogóle nie mieli nazwy.

Jest w aktach Pluty kapitalny opis, jak Pluta próbuje na początku lat 60. napisać Deklarację Ideową Armii Krajowej. Jak to powiedziałem Andrzejowi Kunertowi, to on powiedział, że to jakiś absurd. „Jak można w latach 60. pisać deklarację ideową czegoś, co od 20 lat nie istnieje?”. Tylko moim zdaniem, to nie była Deklaracja Ideowa Armii Krajowej. To miała być deklaracja ideowa tego ruchu, tego nurtu, co działał na bazie kombatanatów, głównie z AK. Chodziło tylko o legendę. „Nie nazwiemy tego, że to jest nasza deklaracja ideowa z lat 60., bo nas zamkną. Powiemy, że to jest Deklaracja Ideowa Armii Krajowej”.

Sądzę, że tak to działało.

Moim zdaniem, im zawdzięczamy bardzo wiele. Oprócz tego o czym mówiłem, zawdzięczamy jeszcze jedną rzecz kapitalną. I to jest być może najlepszy „dowód na istnienie Boga” (nie oderwiemy się dziś od filozofii). Moim zdaniem, najlepszym dowodem na istnienie Boga nie jest zakład Pascala czy dowody innych filozofów. Moim zdaniem, najlepszym dowodem na istnienie Boga jest piękno tego świata. Nawet to zdanie Kanta „Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie!” – „Bóg we mnie” (może jemu nie chodziło o Boga, ale ja to tak interpretuję). Piękno jest dowodem na istnienie Boga. Natomiast na to, że to środowisko istniało, myślało koncepcyjnie, pracowało, dowód na to przedstawi nam Maciek Gawlikowski, który obecnie przygotowuje publikację na temat *Myśl niepodległościowa w koncepcjach ideowych przed rokiem 1980*. I jak rozmawiałem z Maćkiem, to „Rewolucja bez rewolucji” zaskakuje dojrzałością tego tekstu. Wszyscy dzisiaj trochę nie zauważamy tej dojrzałości, albo uważamy ją za coś oczywistego. Albo Leszek Moczulski był geniuszem, który nie mając większego doświadczenia opozycyjnego, siadł, popatrzył w gwiazdziste niebo

i w 1979 roku machnął tekst tak dojrzały, albo prawdą jest to, co on sam mówi, że nad tą koncepcją pracowało bardzo wielu ludzi i że ta praca trwała nie miesiące, ani nie nawet nie lata, tylko dziesiątki lat.

Mam nadzieję, że jutro potwierdzi to dr Maciej Zakrzewski z krakowskiego IPN – model przedstawiony w *Rewolucji bez rewolucji* jest tożsamy z pierwotnym modelem WiN-u. Walka polityczna jawna, odrzucenie konspiracji. To w pierwszej deklaracji WiN-u jest. A Leszek Moczulski mówi: „To nie ja odrzuciłem walkę zbrojną. Walka zbrojna została odrzucona przez środowisko niepodległościowe w latach 60.”. Zdaje się, z dużym bólem serca takich ludzi, jak Pluta, który był zawodowym wojskowym. Moim zdaniem nastąpiło to pod dominującym wpływem Ludwika Muzyczki, który – jako główny ideolog WiN-u – przekonał do tego całą resztę

O tym są te dwie książki. Spytacie, gdzie je można dostać? Nigdzie. Białe kruki. Będzie drugie wydanie, poprawione i rozszerzone (*Muzyczka* jest już prawie gotowy – doszło chyba ze sto stron; do „Pluty” dojdzie pewnie więcej). Gorąco was zachęcam do sięgnięcia po te książki. Myślę, że jak wiecie, o czym to jest i jak wielkie znaczenie mają ci ludzie dla naszego środowiska, to sięgniecie po te książki i docenicie ich znaczenie. Dziękuję!

DYSKUSJA

Dyskusję po referacie Mirosława Lewandowskiego prowadził Mariusz Olszewski.

Mariusz Olszewski:

Zacznę od cytatu, zanim udzielę pierwszego głosu: „Polskie wieczory na Grochowie kończyły czasem się o świcie, nie było nocy, były gwiazdy, jak słowa z wierszy Mickiewicza”. Tym sposobem już mi nikt nie powie, że jestem gorszy od Wyszyńskiego, ponieważ zacytowałem Urbankowskiego.

A głosu pozwolę sobie udzielić Piotrowi Wójcikowi. Bardzo proszę.

Piotr Wójcik:

Myślę, że na zasadzie impulsu, troszeczkę za wcześnie dorwałem się do tego głosu, ponieważ ciekawy jestem tej drugiej części. Ale chodzi mi o tych historyków i obraz Powstania Warszawskiego. Obraz Powstania Warszawskiego jako celowo wywołanej tragedii albo jako głupoty dowódców dominował w okresie komunistycznym, bo był to jedyny argument, który miał jakiekolwiek cechy wiarygodności w legitymizowaniu komuny. Do tego jeszcze dochodziło zagrożenie niemieckie, potem słynne historie Hupka, Czai i tak dalej. I dlaczego jest ważna ta rozmowa Bukojemskiego z Muzyczką na ławeczce na tyłach pałacyku PRON-u? Otóż dlatego, że komuniści stali, jeśli chodzi o Powstanie Warszawskie, o Polskie Państwo Podziemne i o rząd dusz w Polsce, na z góry straconej pozycji. Nawet przy założeniu (stawiam

taką tezę przeciwko temu co sam głoszę), gdyby nie było Powstania Warszawskiego w takim wymiarze, w jakim ono się zdarzyło. Jedynym elementem w miarę wiarygodnym, było eksploatowanie traumy po klęsce Powstania, w której to traumie tkwiło polskie społeczeństwo w sposób naturalny. Komuniści przedstawiali to w skrócie tak: „Banda skrajnie nieodpowiedzialnych facetów wywołała awanturę, wywołała ją celowo”. Oczywiście tam były te pomniejsze argumenty o braku porozumienia z Moskwą i tak dalej. Była to w związku z tym hekatomba. Oczywiście nie jest ważne z tego punktu widzenia, że Rola-Żymierski, który nie miał pojęcia o tym co się dzieje w Warszawie, mówił dziennikarzom, że jest 200 tysięcy ofiar, bo tyle mu pasowało. Jakiś wywiad kiedyś czytałem, że ktoś to opisywał, że on powiedział poza kadrem, że 100 tysięcy to jest za mało, dlatego on powiedział, że 200 tysięcy. Otóż ten obraz niejako legitymizował komunistów, bo oni jako ci realiści proponowali coś, co jest realne w tych warunkach. Po to była ta cała argumentacja, żeby uzmysłowić ludziom w traumie po przegranej przez nas wojnie, że nie ma innego wyjścia – trzeba iść na współpracę z komuną.

Prawdopodobnie w podobny sposób rozumował niejaki Piasecki, obiecując (w rozmowie z Sierowem) przyprowadzenie polskich katolików do komunizmu i nakłonienie ich do akceptacji systemu sowieckiego.

I teraz chcę się do ciebie przyczepić, do tego zdania, że dzisiejsi historycy malują obraz Powstania jako „celowej hekatombi”, „głupoty dowódców”? To nie jest aż tak. To jest bardziej złożone. Otóż po pierwsze, komuniści bardzo dbali o to, aby w książkach nawet Ciechanowskiego, nawet w książkach Romana Koraba-Żubryka o operacji wileńskiej Armii Krajowej, została celowo pocięta przez cenzurę i pokazywała, zarówno Krzyżanowskiego, jak i szefa jego sztabu, którego miałem zaszczyt poznać, pułkownika Teodora Cetysa, jako dyletantów, przerażonych facetów, którzy usiłowali prowadzić jakąś improwizację. I tak samo przedstawiano dowódców Armii Krajowej po to, aby uzasadnić tezę o jedynym wyjściu dla nas. Smutny realizm, zaakceptujmy to, co jest realne. I bardzo dbano o to, żeby w Polsce książki inne na

temat Powstania nie były wydawane. Otóż nie jest prawdą, że nikt inaczey o Powstaniu nie pisał. Piotr Wandycz, Tadeusz Żenczykowski, Jan Nowak-Jeziorański... Paru ważnych ludzi napisało uczciwe i prawdziwe książki o Powstaniu, o samej decyzji, o jej nieuchronności, o tym że była decyzją świadomą, a nie podjętą ad hoc. Cała argumentacja, powoływanie się na książki Ciechanowskiego, na jego krytykę Powstania Warszawskiego...

Głos z sali:

Wyszła jego książka w 1984 roku...

Piotr Wójcik:

Tak. Też zresztą ocenzurowana.

Głos z sali:

Kirchmayer, Przygoński...

Piotr Wójcik:

Ale trzeba odróżnić ludzi piszących o Powstaniu w Polsce i co mogli wydać w ich sytuacji, od tego co mogli mówić, pisać i wydawać na Zachodzie. Jeśli chodzi o Ciechanowskiego, to trzeba jeszcze jego książkę przefiltrować przez jego relacje powojenne: to, gdzie on pracował, to, kto mu płacił (nie odbierając mu prawa do jego poglądów i patriotyzmu – nie chcę go obrazić). On reprezentuje, w skrócie, brytyjski punkt widzenia, jeśli chodzi o Powstanie Warszawskie. Oficjalny brytyjski punkt widzenia z całym sztafażem wstydu za brak pomocy dla Powstania, która była możliwa, czego dowodzi wyprawa 18 września, która mogła się odbyć wcześniej. Anglicy bombardowali fabryki w Niemczech, lądowali na Ukrainie... Nie było żadnego problemu, żeby część ładunku zabrać dla Powstania Warszawskiego i po prostu zrzucić. Taby diametralnie zmieniło sytuację militarną w Warszawie! Ale nie chcę o tym mówić.

Chcę dojść do tego wątku decyzji i pomylenia pojęć, które w Polsce jest celowe. W Polsce jedyna uczciwa książka o Powstaniu, to jest

książka Borkiewicza – pierwsze wydanie tuż po 1956 roku, gdzie on przemycza to, co jest prawdą o tej decyzji. On tego nie pisze wprost. Ale skracać to, bo mamy późną porę, on mówi: „Nie mieliśmy innego wyjścia i podjęliśmy decyzję świadomą”. On tego nie napisał wprost, ale to wynika z tekstu.

I teraz to, co pisał Kirchmayer – trzeba pamiętać o jego osobistej tragedii. O córce, którą stracił w powstaniu, o jego kalectwie, o tym, że on zachował się niestety trochę podobnie jak „Prezes” – jak Rzepecki. On, Rzepecki, Szostak (oprócz Okulickiego) parli do walki w Warszawie. I to, co on w swojej książce pisze o decyzji powstańczej, jest skandaliczne po prostu. To jest jeszcze bardziej skandaliczne niż to, co pisał po 1956 roku Rzepecki!

I teraz dwa fakty: 27 lipca Hitler wydaje rozkaz o przekształceniu Warszawy w Festung Warschau. 18 i później 28 lipca – są dwa rozkazy podyktowane przez Stalina (są to dokumenty ujawnione) – gdzie Stalin wyznacza datę zajęcia Warszawy mniej więcej między 8 a 10 sierpnia.

Głos z sali:

Później mieli iść dalej na zachód...

Piotr Wójcik:

Tak. I teraz – operacja Bagration kończy się całkowitym rozgromieniem Grupy Armii Środek. Jeszcze 15 lipca, kiedy sytuacja nie jest jasna, wszyscy w Komendzie Głównej (łącznie z Okulickim) nie są zwolennikami walki o Warszawę. Czyli trzeba odróżnić pojęcie powstania powszechnego, jakie było w dokumentach Armii Krajowej od samego początku od Powstania Warszawskiego, które jest mutacją „Bury” ad hoc, decyzją podjętą na podstawie zmiany sytuacji wojennej.

Krótko mówiąc, kończąc ten wątek. Ja mam pretensje do polskich historyków, nie tych, którzy pisali za PRL-u. Mam pretensje do polskich historyków po 1989 roku, że są tchórzami i pozwalają ciągle opluwać przyzwoitych ludzi, którzy ryzykowali życie dla Polski, czyli Komendę Główną Armii Krajowej. Ponieważ Komenda Główna Armii Krajowej podjęła racjonalne decyzje na podstawie ówczesnej wiedzy

i prawidłowo oceniła sytuację militarną na froncie sowieckim, miała dobre dane wywiadowcze Oddziału II na temat rozwoju sytuacji.

Zmierzam do tego kluczowego momentu. Jest kompletne pomylenie pojęć co do tego, czy w ogóle walczyć o Warszawę po zmianie sytuacji wojennej, po zamachu na Hitlera, a momentem wybuchu walki. Całą argumentację przeciwko momentowi wybuchu przenosi się na sam fakt podjęcia decyzji o tej walce, która była absolutnie nieuchronna, bo oni wiedzieli, że Warszawa będzie wielkim polem bitwy. Musieli tak zakładać opierając się na wiedzy, która była im dostępna. Oni wiedzieli, że dowódca jedynej dywizji piechoty, która później we wrześniu broniła Pragi, został złapany przez Rosjan podczas odwrotu tuż pod Warszawą. Rosjanie doszli do Wisły, do Okuniewa, Radzymina i Wawra siłami jednostek pierwszorzutowych dwóch korpusów. Nie mieli żadnych szans, żeby się im przeciwstawić.

Krzysztof Laga:

Siedemdziesiąta piąta jeszcze walczyła...

Piotr Wójcik:

Proszę cię! Nie mieli żadnych szans. Są na to dokumenty opublikowane. Można to sprawdzić. Stosunek sił, nawet po ściągnięciu Dywizji „Herman Goering”, III dywizji pancerniej „Wikinga” itd. po tej słynnej bitwie pod Radzyminem, gdzie zatrzymali VIII Korpus, nawet po tej bitwie, cała armia pancerna Radziejewskiego miała trzykrotną przewagę czołgów i wszystkie środki przeprawowe do forsowania Wisły gotowe. Miała pułk pontonowy, pułk inżynieryjny. Mogli zająć Warszawę, jak chcieli.

Decyzja o Powstaniu i wybuchu walki jest decyzją w sytuacji, w której Komenda Główna Armii Krajowej wie, że będzie walka o Warszawę. Nie było żadnych planów operacyjnych innych niż plan powstania powszechnego. Dyskutowało się w zarysie o pomysle wycofania jednostek Kedywu Komendy Głównej i Kedywu warszawskiego do lasu i wystąpienia krótkotrwałego w obronie ludności deportowanej z miasta. Przy czym nikt nie był w stanie w sposób wojskowy podołać temu zadaniu,

bo taka operacja w warunkach armii ochotniczej konspiracyjnej jest niewykonalna. Bo najpierw, żeby w ogóle cokolwiek zrobić, trzeba zmobilizować okręg, czyli wywołać powstanie w Warszawie. Inaczej nie można w ogóle nikim dowodzić.

Więc jaką oni mieli przed sobą decyzję?

Oni mieli decyzję taką, że albo muszą walczyć o Warszawę w obronie ludności, w obronie zabytków i budynków itd. albo spierdolić z pola walki. Nie mieli żadnej innej dobrej decyzji!

I decyzję tę podjęli w uzgodnieniu ze wszystkimi czynnikami. Mało tego. Pchał ich do niej Mikołajczyk, który jechał na rozmowę ze Stalinem po akcji Roosevelta, kiedy Stalin mu odmówił (Roosevelt poprosił Churchilla, żeby to jeszcze raz nagrał, żeby wysłać Mikołajczyka do Moskwy).

Koncepcja Stalina co do Polski była oparta na rosyjskiej tradycji. Na koncepcji inkorporacyjnej Katarzyny Wielkiej albo koncepcji Piotra I – wasalizującej Polskę. I tu się niewiele zmieniło. Tam jest ciągłość w polityce zagranicznej po prostu. I obie wersje, czyli 17 republika i twór satelicki, do 25 września 1944 roku co najmniej były aktualne. I oni sobie z tego zdawali sprawę. I w takim kontekście podejmowali decyzję o walce.

Ostatnia kwestia: moment wybuchu, kwestie uzbrojenia itd. uważam, że są nieistotne z punktu widzenia politycznego. To znaczy – niepodjęcie walki zbrojnej oznaczało dla nich i dla rządu w Londynie klęskę. Ucieczkę z pola walki, oddanie ostatnich kart, które mają w rękach, które dają im szansę wpływu w ogóle na byt Państwa Polskiego. I cała krytyka tych ludzi jest kompletnie ahistoryczna i takiej decyzji – chyba, że byłby to Rola-Żymierski albo Bukojemski (bo oni już podpisali wcześniej) – od nikogo nie można było oczekiwać.

Ostatni argument – tzw. spowodowanie ich decyzją zniszczenia Warszawy. Otóż Warszawa miała szansę być tak samo dobrze zniszczona w wyniku bitwy niemiecko-rosyjskiej, na którą w ogóle nie mieliśmy żadnego wpływu. Mamy na to dowody w postaci Mińska białoruskiego... 650 tysięcy mieszkańców Wrocławia przy ograniczonym terenie walki. W ciągu kilku miesięcy zginęło 150 tysięcy cywili...

Krótką polemiką Piotra Wójcika i Krzysztofa Lagi dotyczącą kwestii szczegółowych.

Więc chodzi mi o to, że tego nie napisał nikt w Polsce w sposób rozwinięty po 1989 roku.

Mirosław Lewandowski:

Ze wszystkimi rzeczami, o których mówiłeś, zgadzam się. Jednej rzeczy tylko nie rozumiałem. Bo mówisz, że dzisiejsza polityka historyczna...

Piotr Wójcik:

Wiem o co ci chodzi. O to, że PiS opowiada o tym, (ja nie bronię PiS-u, broń Boże) że to była celowo wywołana hekatomba.

Mirosław Lewandowski:

PiS uważa, że mieli prawo to zrobić.

Piotr Wójcik:

Nie można myśleć w takich kategoriach, że ktoś wiedział, że wywołuje hekatombę.

Mirosław Lewandowski:

Moim zdaniem w PiS-ie występuje i narasta – zwłaszcza po roku 2010 – myślenie funeralne. Smoleńsk ciąży nad nimi. Kult śmierci, kult zagłady...

Jerzy Wawrowski:

Etos męczeństwa.

Piotr Wójcik:

Zgadzam się. Powinniśmy to inaczej powiedzieć. Tak jak Moczulski w dyskusji z Marią Janion o tym, że powstanie zostało potraktowane przez komunistów – i Janion to pięknie opisała – jako przykład romantycznej filozofii klęski. Takiego romantycznego, uczuciowego,

a nie intelektualnego zrywu, który poświęca wszystko w imię dania świadectwa. I tak to opisała Maria Janion i z tym polemizuje słusznie Moczulski. Oczywiście ja się z tego rodzaju krytyką zgadzam. To jest element tego samego mitu o powstaniu, który kształtują komuniści, że była to świadoma zbrodnia albo głupota.

Mirosław Lewandowski:

Ale PiS broni Powstania w ten sposób, że się zgadza z komunistami, że to był romantyczny zryw, tylko komuniści to potępiają, a PiS uważa, że mieli prawo to zrobić. Identycznie propaganda PiS-owska nie jest w stanie przetrwać Żołnierzy Wyklętych. To jest kult śmierci, który po Smoleńsku jest bardzo widoczny.

Piotr Wójcik:

O Powstaniu nie słyszałem takich wypowiedzi. Nie bronię PiS-u, ale...

Mirosław Lewandowski:

A widziałeś film „Miasto 44”?

Piotr Wójcik:

Ale co to ma z PiS-em wspólnego?

Mirosław Lewandowski:

Jest to wyraz pewnej polityki historycznej.

Piotr Wójcik:

Młody koleżka, który nie ma pojęcia o historii, jest pół wykorzeniony, chciał sobie zrobić wariację pseudo-artystyczną na temat wybuchu czołgu-pułapki w czasie Powstania. On to chyba tak chciał to pokazać, żeby to przeszło do historii kina. Ten film, to jest gniot nieprawdopodobny, w którym powstańcy cały czas spieprzają albo płaczą. To jest po prostu nie do wytrzymania.

Mirosław Lewandowski:

Ktoś mu dał kasę na to...

Piotr Wójcik:

Ale to nie jest PiS-owski film...

Mariusz Olszewski:

Zanim następną osobę dopuszczę do głosu... Zwrócę państwu uwagę, że temperatura na zewnątrz +14, jutro zaczynamy śniadaniem o godzinie 8.30...

Krzysztof Laga:

Ale myśmy jeszcze nie skończyli.

Głos z sali:

To kiedy my się położymy, jak o 8.30 śniadanie?

Maciej Gawlikowski:

Pojutrze.

Jerzy Wawrowski:

Wiele jest racji w tym, co ty powiedziałeś na temat Powstania i zarzucania im irracjonalności, bez uwzględniania tego, w jakiej sytuacji informacyjnej, emocjonalnej i politycznej byli ci ludzie, którzy podejmowali tę decyzję. Nie można do tego podchodzić w tak ahistoryczny sposób. My znamy koniec, oni końca nie znali. To jest jedna sprawa. Możemy oczywiście oceniać, że oni źle przewidywali. Poza tym ta deprecjacja Powstania przez komunistów miała jeszcze inne podłoże. Przede wszystkim ona doskonale zdejmowała z Rosjan odpowiedzialność za klęskę Powstania i hekatombę, która tutaj się dokonała. To jest jedna rzecz.

A druga rzecz – krytyka Powstania była elementem walki z wszelkimi dążeniami niepodległościowymi, które były deprecjonowane. Zresztą wydaje mi się, że wszystkie powstania były deprecjonowane,

gdyż były przegrane, natomiast o tych powstaniach, które były wygrane – mam tu na myśli Powstanie Wielkopolskie i Powstania Śląskie – jakoś niewiele w czasach komunistycznych mówiono (zwłaszcza o Powstaniu Wielkopolskim).

Poza tym wydaje mi się, że my mamy taką obsesję – tutaj padło to słowo – „żołnierze przegranych wojen”. Nie jesteśmy jedynym narodem, który ma pełno „żołnierzy przegranych wojen”. Bo chcąc ironizować, można by powiedzieć, że w ciągu stu lat wojny angielsko-francuskiej były trzy pokolenia żołnierzy angielskich, którzy byli żołnierzami przegranej wojny. Tak, że to nie jest nic wyjątkowego.

Poza tym mnie zastanawia jedna rzecz – my bardzo chętnie deprecjonujemy te nasze klęski. Kiedyś czytałem na temat Powstania Wielkanocnego w Irlandii, które w momencie, gdy wybuchło, zostało spostponowane nawet przez patriotycznie nastawionych Irlandczyków, a dziś to Powstanie Wielkanocne jest takim ich mitem, dumą narodową. Ono trwało jeden dzień. Oni opanowali kilka obiektów w Dublinie i to wszystko zostało przez Anglików stłumione. W tym czasie patriotyczni politycy irlandzcy negocjowali z Anglikami jakieś większe autonomiczne uprawnienia dla Irlandii...

Krótką przerwę w nagraniu.

Po 1956 roku propaganda komunistyczna się zmieniła w ten sposób, że są politykierzy z Londynu, ale i bohaterowie. Te wszystkie Maćki Chełmickie, które były fajne chłopaki, tak w ogóle, tylko...

Piotr Wójcik:

Tylko w głowie im zrobiono wodę z mózgu...

Jerzy Wawrowski:

I ten Maciek Chełmicki przez tych politykierów z Londynu czy ich pośredników dostaje zadanie zabić uczciwego komunistę? Tak naprawdę on by chciał się od tego wszystkiego oderwać, ale oni stosują wobec niego różne szantaże moralne. Właśnie to, że on przysięgał kiedyś. Więc on dokonuje zamachu na tego komunistę, po czym ucieka i ginie na śmietniku. Tu metafora jest jednoznaczna. Że ci politykierzy z Lon-

dynu wepchnęli to pokolenie młodych żołnierzy z Armii Krajowej na śmietnik historii.

Analogicznie czytelna jest dla mnie metafora *Kanału*. Wpuszczenie w kanał młodych dzielnych ludzi. Tak że Wajda był naprawdę bardzo utalentowanym reżyserem, ale potrafiącym też chyba bardzo ukrywać swoje zakłamanie.

Piotr Wójcik:

To nie jest tak, że to jest tylko film Wajdy Autorem scenariusza jest Stawiński. – dowódca kompanii łączności pułku „Baszta”. Cała historia dziejąca się w filmie, to jest jego relacja z przejścia przez kanał. To przejście kanałowe było dużo straszniejsze niż wyjście ze Starówki do Śródmieścia. Skończyło się dużo większą liczbą tragedii, gubienia, śmierci w kanałach, rozstrzeliwań. Było rzeczywiście czymś niezwykle traumatycznym. Więc ja myślę, że my temu *Kanałowi* Wajdy, zupełnie niesłusznie, przypisujemy dużo większy ładunek chęci zdeprecjonowania Powstania niż to było w rzeczywistości. Myślę, że było tam bardzo dużo autentycznych przeżyć i przesłania Stawińskiego, który był scenarzystą. I Wajda tego scenariusza nie zmienił.

Krzysztof Laga:

Zresztą Wajda trzy filmy Stawińskiego zrobił i wszystkie genialne.

Jerzy Wawrowski:

Dobra propaganda umiejętnie posługuje się faktami i wykorzystuje ludzi, którzy w swych intencjach nie mieli robienia propagandy. To nie jest taka prosta sprawa i dla mnie ostatnia scena *Kanału*, gdzie bohaterowie dochodzą do wyjścia i tam jest krata, to dla mnie ta scena brzmi fałszywie.

Mirosław Lewandowski:

Dwie krótkie kwestie. Najpierw pytanie – mówiłeś o trzech filmach Stawińskiego. Jakich?

Krzysztof Laga:

Kanał, Godzina W i Pamiętnik młodego warszawiaka.

Mirosław Lewandowski:

Jeszcze uwaga do tego, co mówił Piotrek. Mnie chodzi o to jak *Kanał* był odbierany w PRL. Odbierany był jako coś, co przedstawia Powstanie jako romantyczny zryw, czyli jest podstawą do snucia oskarżeń.

Piotr Wójcik:

To później napisano. Pierwsza reakcja była dobra na film.

Krzysztof Laga:

Moja ciotka, która szła w Powstaniu do Śródmieścia ze Starówki, wyszła z tego filmu. Powiedziała, że to zbyt traumatyczne i zbyt świeże. A szła w zupełnie innych warunkach. Bo byli przywiązani linami i był porządek.

Piotr Wójcik:

Ona wychodziła z Placu Kraińskich?

Krzysztof Laga:

Tak. Z Placu Krasińskich na Warecką.

Piotr Wójcik:

Tak, ale był jeszcze jeden kanał. To był kanał, który szedł z Dębowiczowskiej do Placu Napoleona, który na większości swojego kilometrowego przebiegu miał przekrój 1,90 – 1,40 cm. Był zapchany trupami i oni to musieli przepychać i tak przechodzili. Wspomnienia ludzi, którzy się ewakuowali z Ratusza, to jest coś niesamowitego!

Mirosław Lewandowski:

Mam pytanie – czy dyskusja o Powstaniu zdominuje nasze spotkanie?

Krzysztof Laga:

Wróćmy do książki. Bo ja obydwie te książki przeczytałem i chciałem ci podziękować za tę benedyktyńską pracę, bo to są rzeczywiście rzeczy, które nam pokazują lata 60. i 70. w perspektywie zupełnie przez nas niespotykanej. Pokazują tych ludzi, którzy są pewnym symbolem.

Ja się spotkałem w literaturze – nie jestem w stanie teraz powiedzieć, gdzie – że Pluta-Czachowski wziął pseudo od Dionizego Czachowskiego. Pamiętaj, że Pluta-Czachowski urodził się na terenach, gdzie najsłynniejszym dowódcą Powstania Styczniowego był właśnie Dionizy Czachowski. W Guberni Piotrkowskiej czy w Guberni Kieleckiej na początku XX wieku to był bardzo sławny bohater, ciągle wspominany.

Mirosław Lewandowski:

Krzysiek Król mi to samo powiedział.

Krzysztof Laga:

No więc właśnie. A pierwsza drużyna harcerska, która powstała w Królestwie Polskim, powstała w Dąbrowie Górniczej w 1911 roku, była imienia Dionizego Czachowskiego. I to była jeszcze tajna drużyna.

Powiedziałeś, że tylko jakaś smutna uliczka została nazwana imieniem pułkownika Muzyczki. A ja ci chciałem powiedzieć, że w Dąbrowie jest ulica Organizacji Orła Białego, całkiem sympatyczna. I jest pomnik Organizacji Orła Białego. Organizacja Orła Białego była pierwszą organizacją, która została założona na bazie Strzelca, Związku Strzeleckiego. Ci ludzie mieli widocznie jakiś związek z Krakowem, bo przyjechali z Krakowa. Tam mój wujek był w tej ekipie i został aresztowany w 1941 roku i skończył w Oświęcimiu. Natomiast ta ulica Związku Orła Białego nie jest, niestety, w eksponowanym miejscu, ale wynikało to z tego, że tam był magazyn broni tej organizacji i kiedy w 1941 roku była wyspa, to Niemcy właściciela i jego żonę rozstrzelali od razu i rodzina bardzo chciała, żeby ulica, przy której ten dom stoi do dzisiaj, była nazwana imieniem tej organizacji.

Natomiast wracając do meritum. Powiedziałeś, że po 1956 roku były trzy koncepcje. Wychodzą ludzie z pudła i jest tak: jest tylko kilku oficerów, którzy byli w ścisłym dowództwie Armii Krajowej, którzy zostali na terenie Polski. Reszta gdzieś się rozpierzchnęła. I teraz nawet, jeżeli Kuczaba czy Muzyczka, czy Sanojca, czy „Prezes” (Rzepecki) mieli różne poglądy na temat Powstania, to każdy z tych oficerów miał prawo, przy tej presji społecznej, która nastąpiła, żeby się bronić. Ja czytałem ten artykuł „Prezesa”, który się ukazał w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym” w 1997 roku. On jakby przerzucał się odpowiedzialnością. Wszyscy wiemy, że był zwolennikiem Powstania w Komendzie Głównej, a on głównie tę odpowiedzialność przerzucał na nieżyjącego „Niedźwiadka” (Okulickiego) i na Pełczyńskiego. Sanojca jakby się wycofał. Bał się wszystkiego, własnej żony się chyba też bał. Miał swoje problemy i w tym nie uczestniczył. Najłatwiej było, wbrew pozorom, „Radosławowi” (Mazurkiewiczowi). Bo „Radosław” był wysokim oficerem, ale nie był członkiem Komendy Głównej. Był szefem Kedywu Komendy Głównej. I jemu było łatwiej. Chodziło, moim zdaniem, tej grupie, o której mówimy o przekonanie „dołów” akowskich. Było to około 300 tysięcy ludzi zaprzysiężonych plus rodziny. Większość z nich tak naprawdę po 1945 roku nie podjęła żadnej działalności. Ani politycznej, ani zbrojnej. Ci ludzie rozjechali się po Polsce, zmienili miejsca zamieszkania, zmienili adresy. Ale też w pewnym momencie poczuli presję... Ileż lat możesz udawać, że w czasie wojny pasłeś świnie albo krowy? A w 1956 roku wiele rzeczy poluzowano, więc sporo ludzi się zgłaszało, żeby odnowić swoje członkostwo, pokazać, że są członkami. Mieli na to świadków. I ja myślę, że „Radosław” chciał to wykorzystać. Mógł powiedzieć tak: „Słuchaj stary, ja nie byłem w Komendzie Głównej, ja nie podejmowałem decyzji o Powstaniu. Ja byłem dowódcą zgrupowania, które poniosło największe straty. Przeprowadziłem to zgrupowanie przez największy ogień walk”. Tak to się budowało. Inaczej to działało w Warszawie. Sam miałem w rodzinie ciotkę (która już nie żyje). Ciotka moja do końca życia ręki nie podała „Radosławowi”, bo go oskarżała (nie bezpośrednio, była na tyle kulturalna, że mu ni-

gdy tego wprost nie powiedziała) – o śmierć swojego męża. Bo on się w 1945 roku ujawnił i za trzy dni dostał kulę od UB. I ciotka do końca życia była przeciwna „Radosławowi”. Ale to była Warszawa. Natomiast jak „Radosław” jechał w teren i spotykał się z ludźmi po 1956 roku, to szeregowi członkowie to łykali.

Taka myśl mi się nasunęła... Oczywiście to środowisko cały czas fajnie funkcjonowało. Natomiast na pewno nie reagowało na bieżąco na te wydarzenia polityczne, które się działy [...]. To środowisko zamknęło się w sobie. Być może musieli to zrobić, żeby odbudować relacje wewnątrz, żeby potem spróbować wyjść na zewnątrz. Natomiast – nie piszesz o tym – na pewno nie robili głębszych analiz politycznych dotyczących bieżącej polityki. Skupili się na historii i na tym, żeby odzyskać te doły akowskie, które były tak naprawdę kompletnie zdezorientowane, a ta dywersyjna robota „Prezesa”, a tak naprawdę „Radosława” („Radosław” dostał za to generała brygady), prowadziła do tego, że część akowców, byłych żołnierzy Armii Krajowej, mogła dojść do wniosku, że można się w tej peerelowskiej rzeczywistości fajnie odnaleźć i funkcjonować. I może się to stać dzięki pomocy „Radosława”. Trzeba pamiętać też, że „Agaton” – Stanisław Jankowski, cichociemny, wzorowy dowódca, zrobił karierę w PRL. Aczkolwiek zrobił ją dzięki swoim bezpośrednim talentom. On był architektem ze szkoły Pniewskiego. Z najlepszej polskiej szkoły architektonicznej. Ale wielu inżynierów, architektów czy prawników kończyło z kulą w głowie.

Tak też możemy dyskutować, ale powiedzmy sobie – to też był jakiś wzór, żeby pokazać żołnierzom Armii Krajowej: „Jesteś dobry, jesteś fachowiec, to w tych realiach też się znajdziesz. I wcale nie musisz uważać, że ci twoi byli przywódcy, którzy podjęli tragiczną, niezrozumiałą dla wszystkich decyzję o Powstaniu w Warszawie...”.

Piotr Wójcik:

Jak to niezrozumiałą?

Krzysztof Laga:

Niezrozumiałą dla większości żołnierzy Armii Krajowej z terenu.

Piotr Wójcik:

Decyzja o Powstaniu była powszechnie poparta przez warszawiaków! Przez całe miasto!

Krzysztof Laga:

Ale ja tłumaczę, że jeżeli ktoś był członkiem Armii Krajowej z Limanowej i pojechał do Warszawy w 1952 roku i zobaczył te ruiny...

Piotr Wójcik:

To w 1952 roku tak uważał, ale nie 1 sierpnia 1944 roku!

Krzysztof Laga:

Ale ja mówię tu o latach 50., 60. i 70. Rozmawiamy o książce. Nie o 1 sierpnia 1944 roku. Mówię, że jesteśmy wdzięczni i Muzycze, i Plucie za to, że spróbowali to środowisko ogarnąć w kierunku przez nich pożądanym. Ale trzeba też zdać sobie sprawę, że mieli wiele trudności po drodze, wynikających między innymi z dywersyjnej pracy „Radosława” i pokazania również innego modelu rozwoju czy awansu zawodowego w takich dziedzinach, w których komuniści żołnierzy Armii Krajowej nie wykluczali.

Mogli się żołnierze Armii Krajowej rozpuścić w tej masie w latach 60. i 70. i nie wracać do tej swojej przeszłości. Prosty przykład mogę powiedzieć z mojej rodziny. Mój wujek był oficerem Armii Krajowej, potem oficerem WiN-u. Jego córka przyszła do niego w latach 70. i zapytała: „Tato, czy mogę się zapisać do partii?”. On mówi: „Jeżeli ci to pomoże w karierze zawodowej, to się zapisz do partii”. Wstąpiła do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wujek zmarł 3 miesiące później i ona doznała szoku, kiedy na pogrzeb przyjechało 40 starców, wszyscy z opaskami Armii Krajowej. Ona nie wiedziała, że on był w AK, bo jej tego nie mówił. Po co? Miała wynosić z domu jakieś informacje albo w szkole coś głupiego powiedzieć? I ta książka mi pokazała – zresztą obydwie książki (czekam też na książkę o generale Abrahamie) – pokazała mi, że jeżeli są grupy, które czują tę wewnętrzną więź, to są w stanie wiele zrobić. My też jesteśmy taką grupą i też jesteśmy w stanie wiele rzeczy zrobić.

Ja bym miał do ciebie prośbę, jeśli to możliwe. Jakby się dało napisać książkę o „Mściławie”. Bo ja jestem fanem Władysława Liniarskiego, szefa okręgu Białystok. Niedawno się dopiero dowiedziałem z takiej publikacji w Wojskowym Przeglądzie Historycznym, że jest to jeden z nielicznych oficerów, który przed wojną, w czerwcu, lipcu i sierpniu 1939 roku został przeszkolony z ochrony kontrwywiadowczej. On służył w 15 dywizji piechoty w Bydgoszczy, a tam był major Żychoń, taki genialny szef kontrwywiadu i on szkolił kilkunastu oficerów. Poza pułkownikiem Liniarskim był tam, między innymi, Łukasz Ciepliński na tym kursie. To też wiele mówi.

Natomiast nie chcę mówić o Powstaniu Warszawskim. To jest odrębny temat i powiem tylko tak. Zgadzam się, co do operacji „Bagration”. Niemcy zostali zmasakrowani. Nic nie zostało z Niemców po drodze. Sowietci podeszli pod Warszawę. Tylko problem polegał na tym, że Stalin już wiedział wtedy – zgodnie z założeniami konferencji moskiewskiej – że Berlin będzie jego. Nie musiał się nigdzie spieszyć.

Piotr Wójcik:

Nie wiedział tego. To nieprawda.

Krzysztof Laga:

Wiedział. Dlatego Eisenhower hamował Pattona, żeby się nie pchał na Berlin, bo karty już były rozdane. Natomiast zobacz sobie na rozkaz Stawki [kierownictwo Najwyższego Naczelnego Dowództwa ZSRR] z 2 sierpnia, kiedy dywizje spod Warszawy zostały dwie przerzucone do Rumunii. Już Stalin realizował swój plan...

Piotr Wójcik:

Ale to już było po wybuchu Powstania!

Krzysztof Laga:

Dobrze. Ale mówisz tutaj, że Mińsk został zmasakrowany. Tyle tylko, że Mińsk też nie został zdobyty z marszu, ale został okrążony.

Piotr Wójcik:

A dlaczego Warszawa nie miała zostać okrążona?

Krzysztof Laga:

2 Korpus Pancerny Gwardii, który szedł na Warszawę i ze 175 dywizją stoczył bój pod Warszawą (fakt, że 175 dywizję Wehrmachtu Niemcy musieli na drugi dzień skreślić z rejestru, bo nic z niej nie zostało)... Gdyby Niemcy jeszcze w Nowym Dworze Mazowieckim wysadzili most, to tak by było. Drugi wariant taki by był, gdyby Powstańcy uchwycili choćby jeden most. Ale nie uchwycili.

Mirosław Lewandowski:

Chciałem się odnieść tylko do trzech kwestii, o których mówił Krzysiek Laga, bo to jest najsilniej związane z tematem książki.

Sprawa tak zwanego „Ruchu”. Wydaje mi się, że to jest bardzo ważna kwestia, o czym tam w książce pisałem, ale może niezbyt precyzyjnie. „Ruch” był organizacją, która działała bardzo niedojrzale. Moim zdaniem negatywna opinia Gołębiewskiego nie wynikała z tego, że on był inwigilowany, tylko tam są takie obszerne opinie Pluty, który miał bardzo złe zdanie o kwalifikacjach politycznych Gołębiewskiego. Uważał, że to jest facet, który mimo iż był bardzo dobrym oficerem... Co chciał „Ruch” zrobić? Chciał podpalić Muzeum Lenina. Przecież to była dziecinada, jakaś bzdura.

I jeżeli mówimy, że były bardzo dojrzałe koncepcje prowadzenia walki politycznej, bez rozlewu krwi, nawiązywały one do postanowień Jałty – to w którym momencie to się stało jasne? – W 1984 roku. Po pierwszym procesie KPN przywódcy organizacji wychodzą z więzienia. Szeremietiew i Jandziszak odchodzą. A w styczniu 1985 roku Rada Polityczna KPN wydaje Memorandum Jałtańskie, w którym nawiązuje bezpośrednio do Jałty. To samo robi Reagan. To było przypomnienie światu, że Wielka Trójka w Jałcie obiecała demokratyczne wybory w Polsce i pora to zrealizować. Ten postulat 40 lat wcześniej zgłaszał Muzyczka w deklaracji ideowej WiN-u. To znaczy: „Niech Stalin dotrzyma słowa, niech się tu odbędą wolne wybory”. I to się stało! Bo

zwracam uwagę, że my odzyskaliśmy niepodległość w latach 1989–1991 w toku procesu wyborczego.

Ta WiN-owska koncepcja, o której tu mówiliśmy, że na tej drodze, przez wybory, Polska odzyska niepodległość, okazała się trafna. „Ruch”, natomiast, miał jakieś koncepcje księżycowe i trudno się dziwić, że Muzyczka czy Pluta się wobec tego dystansowali. Oni – i to jest dokładnie opisane w aktach (kapitałny sposób rozegrania tej sprawy) – nawet nie gadali z Gołębiewskim, którego uważali za wariata, tylko ze Stolarzem, takim młodym działaczem „Ruchu”. Tam jest fajnie to opisane, bo robią z nim spotkanie, gadają o niczym i dopiero jak Muzyczka ze Stolarzem wychodzą na zewnątrz, to Muzyczka pyta Stolarza – „Miałeś mi przynieść jakiś materiał. Czy to masz?”. Ten mu daje. Potem, jak oni wszyscy wpadli, są kapitałne zeznania Muzyczki i Pluty. I widać, jak oni obaj profesjonalnie zeznają. Przyznają się do tego, o czym wiedzą, że bezpieka wie. Żadnych obciążających wobec Stolarza zeznań nie składają, natomiast Stolarz sypie na całego i Muzyczkę, i Plutę. Oni mają potem z tego powodu pewne problemy. Moim zdaniem „Ruch” jest koronnym dowodem na coś, co my dzisiaj uważamy za oczywiste.

Zresztą tak samo – Solidarność Walcząca. Programy niepodległościowe – jeżeli w ogóle istniały, bo większość środowiska opozycyjnego w ogóle nie rozumiała o co chodzi z tą niepodległością – ale ci, którzy mówili o niepodległości, jak „Ruch”, czy Solidarność Walcząca, mieli tak kosmiczne programy niepodległościowe... Pogadajcie z SW. I jeszcze oni uważają za swój wielki zaszczyt i chwalą się tym, że oni w 1989 roku byli przeciwko Okrągłemu Stołowi. To ja pytam, jak oni chcieli odzyskać niepodległość? Oni mówią: – „Myśmy chcieli walki zbrojnej”. To co stanęło na przeszkodzie, że tej walki nie rozpętali? Czy ktoś im przeszkadzał? Gdzie jest ta armia Solidarności Walczącej, która nie zebrała 100 tysięcy podpisów Kornelowi w wyborach w 1990 roku? Inaczej było z LDPN, który jednak ograniczył się tylko – nie wiem czy pamiętacie, ale chyba wszyscy czytaliśmy z wypiekami na twarzy ich „Niepodległość”, bo to było naprawdę świetne pismo...

Michał Janiszewski:

W najbliższej „Opinii” będzie wywiad z redaktorem naczelnym, Kotowskim.

Mirosław Lewandowski:

Moim zdaniem publicystykę LDPN należałoby przypomnieć. To były naprawdę bardzo dojrzałe prace, ale zwracam wam uwagę, z roku 1982. To co Kornel wypisywał w roku 1982 we Wrocławiu, to po prostu włosy dęba stają! On był pacyfistą. Domagał się wycofania rakiet SS-20, w ogóle jakiejś strefy denuklearnej w Europie Środkowej. Kosmiczne rzeczy. Nie dziwota, że nikt tego dzisiaj nie przypomina.

Głos z sali:

To jest porządny człowiek, tylko niestety intelektualnie...

Mirosław Lewandowski:

To się zgadza – oczywiście. Natomiast to, co mówił „Ruch” jest tak samo kosmiczne jak to, co mówił Kornel. Skrajnie niedojrzałe.

Druga sprawa – Liniarski. Pewnie mówię rzeczy, o których wiecie. On zeznał w procesie Fieldorfa. Odczytano jego zeznania ze śledztwa, w których obciążył Fieldorfa. Skatowany, przyniesiony na noszach na rozprawę, odwołał te zeznania. Oczywiście jestem najdalszy od obwiniania Liniarskiego. Zresztą stan, w jakim on odwoływał te zeznania, wskazywał, w jakich warunkach zostały przez niego złożone. Ale musimy być świadomi, że taki epizod był.

Notabene, chcę wam powiedzieć, że jak chodzi o Dziarmagę-Działyńskiego, o którym tutaj wspominałem, człowieka bardzo zasłużonego, wywodzącego się z PAX-u, to on zeznał w Procesie Szesnastu. I tu jest bardzo ciekawa historia, bo zachowało się notarialne potwierdzenie kilku osób, między innymi Pajdaka, że to, co jest w oficjalnych aktach z Procesu Szesnastu – zeznania Dziarmagi, z których wynika, że on obciążył tamtych ludzi – że to jest nieprawda. Pajdak, który nie był oskarżonym, ale uczestniczył w tym procesie, twierdził, że absolutnie

Dziarmaga nie powiedział tego, co jest w oficjalnych, wydanych przez Sowietów protokołach. Więc to też bardzo ciekawa historia.

Druga rzecz, którą musimy wiedzieć o Liniarskim, a i o Plucie... Jest bardzo dziwny maszynopis Pluty, na którym nie ma podpisu ręcznego, ale ktoś ołówkiem napisał: „Zeznania własne Pluty, wrzesień 1949”. Jest to jedyny zachowany dokument dotyczący struktury terenowej Armii Krajowej, który jest sygnowany przez Plutę. On pisał dużo więcej na ten temat już na wolności – wszystko znikło. Wiemy z akt SB, że Pluta napisał kilkusetstronicową historię Armii Krajowej, która się nie zachowała. O Orle Białym jest książka, a historia Armii Krajowej znikła. Natomiast jest ten maszynopis w aktach IPN, który jest bardzo ciekawy, bo zawiera bardzo wiele krótkich ocen o wszystkich okręgach AK (oprócz tego, że on to opisuje i wiele tych opisów jest nieprecyzyjnych, bo dzisiejsza nasza wiedza jest bardziej dokładna, ale są tam też jego opinie). Na przykład bardzo pozytywnie o Spychalskim i bardzo negatywne o Liniarskim. Ja się zastanawiałem, skąd się to wzięło.

Otóż prawdopodobnie wzięło się to stąd, że u Liniarskiego szefem obszaru był Fieldorf, który uznał, że działalność na tym obszarze, podobnie jak w Galicji Wschodniej, budowanie konspiracji jest niemożliwe albo bardzo trudne z uwagi na ciągłe wyspy. Zapewne tam sypali Białorusini. Tak jak Żydzi i Ukraińcy sypali w Galicji Wschodniej, tam tak sypali Białorusini. I teraz, Fieldorf wyjechał do Warszawy, stanął na czele Kedywu. Natomiast Liniarski miał w związku z tym straszne pretensje do Fieldorfa. Z kolei Fieldorf obrabiał tyły Liniarskiemu w Warszawie i śladem tego jest to, co Pluta napisał o Liniarskim w tych „Zeznaniach własnych – 1949 rok”. Pluta potem blisko współpracował z Liniarskim przez kilkanaście lat, co wynika z akt SB, ale w 1949 roku, w tym maszynopisie, pisał o Liniarskim krytycznie.

W 1948 czy w 1949 roku była taka sprawa, ja o tym czytałem (nie wiem, czy to nastąpiło, czy ktoś sobie radosną twórczość uprawiał), że Liniarskiego żona została zlikwidowana przez podziemie. Jej, jako żonie komendanta powierzono określone fundusze podziemia, a bezpieka ją zbajerowała, że ona jest w stanie wykupić męża z więzienia za te pieniądze i ona te pieniądze dała bezpiece. I chłopaki ją zastrzelili.

To by korespondowało z tym, co napisałeś że „Kuczaba” spotykał się z Liniarskim i jego żoną. Teraz nie wiem, czy to była druga żona po 1956 roku, czy tamta informacja z kolei, którą gdzieś przeczytałem jest fałszywa.

Jeszcze trzecia rzecz – powiedziałaś, że oni nie analizowali bieżącej sytuacji politycznej. Było dokładnie na odwrót. Wiemy to z akt SB, gdzie są ich analizy. Uważam, na przykład, że analiza Muzyczki z roku 1976 (po czerwcu) jest bardzo trafna. A kiedy zmarł Muzyczka?

W 1977 roku. Analiza Muzyczki przyczyn czerwca 1976 jest moim zdaniem genialna. A to dowodzi, że śledzili. A w tomie o Plucie są analizy Pluty, które się koncentrują bardzo wyraźnie na kwestii niemieckiej (tam jest chyba ze 4 czy 5 takich analiz). Na przykład w kontekście 1968 roku i interwencji Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. A Leszek Moczulski. Kilka jego książek to były analizy...

Bo Moczulski mówił tak: „Myśmy mieli kilka problemów, które trzeba było intelektualnie rozpatrzyć. Pierwszy problem – kiedy powstaną warunki, żeby w kraju zrobić powstanie, rewolucję bez rewolucji?”. I to jest ta słynna analiza oparta na metodzie generała Jagmina Sadowskiego.

Piotr Wójcik:

Dowódca grupy operacyjnej Armii Kraków.

Mirosław Lewandowski:

Właśnie. Otóż Jagmin-Sadowski miał taką metodę analizy – to znacie wszyscy, bo to bardzo znana rzecz, którą Moczulski wielokrotnie powtarzał – opartą na badaniach demograficznych. To jest kapitalna metoda! Ona tłumaczy, skąd jest problem z Muzułmanami dzisiaj i dlaczego tak się dzieje. Tu nie ma nic wspólnego Islam jako religia, tylko to wynika z analizy demograficznej zmian w Europie i w krajach islamu.

Drugą kwestią, którą oni się zajmowali to były analizy dotyczące Związku Sowieckiego – tym się zajmował Stefan Kurowski, członek założyciel KPN (pod pseudonimem „Ostaniec”). On przewidział bardzo trafnie katastrofę potencjałową Związku Sowieckiego.

A trzecia kwestia, którą analizował Moczulski właśnie, dotyczyła Niemiec. Chodziło o to, z czego sobie wszyscy zdajemy sprawę, że jednym z najważniejszych usprawiedliwień, dlaczego Polska musi być w orbicie sowieckiej, to jest kwestia granicy.

Krzysztof Laga:

Takie stanowisko to środowisko akowskie miało. Nawet to niezrozumienie listu biskupów z 1965 roku. Wstępne, bo potem orientacja się zmieniała. Ale z tego też widać, że gwarancja granicy zachodniej była istotna dla środowiska.

Mirosław Lewandowski:

Chcę tylko powiedzieć, nie wchodząc już w szczegóły, że oni analizowali wnikliwie bieżącą sytuację polityczną, międzynarodową. Bardzo uważnie analizowali te trzy kwestie: sytuację w Sowietach, kwestię Niemiec (na ile rewizjonizm niemiecki stanowi zagrożenie dla Polski) oraz kwestię – kiedy w Polsce będą przesłanki do rewolucji bez rewolucji?

Głos z sali:

I Chiny chyba też...

Zbigniew Jackiewicz:

Powstrzymuję się od dyskusji na temat Powstania, bo wierzę, że o tej sprawie przyjdzie nam jeszcze mówić nie raz. Chciałem powiedzieć kilka słów o bohaterze dzisiejszego wieczoru – o Ludwiku Muzyczce. Autor pytał, czy książka może mieć moc zarażania i takiej sugestywności, która sprawi, że będziemy sobie kreślić obraz bohatera. Chciałem powiedzieć, że dla mnie taką moc miała. Wybrałem się na cmentarz Powązkowski i znalazłem tam coś, co jest kapitalnym rysem tej postaci. Otóż inskrypcja na nagrobku Pluty-Czachowskiego jest taka: „Ukochałem cię, moja udręczona Ojczyzno i z tą miłością poszedłem do Boga”. Rzecz niesamowita. Naprawdę widziałem parę cmentarzy, wiele nagrobków zasłużonych ludzi, ale tak przejmującego, tak znakomitego napisu trudno mi sobie w pamięci uświadomić. Kto swoje życie

skwitował takimi słowami? Jeśli to nie sam Pluta-Czachowski, to może jego żona. Charakterystyczne, że o niej informacji jest strasznie mało. Wiemy tylko, że przeżyła do 1993 roku. Trochę wiadomo też o tej działalności po 1956 roku.

Drugą rzecz, którą zrobiłem, to wybrałem się na Filtrową 51 w Warszawie. Ten dom stoi. On jest dzisiaj w nie najlepszym stanie, ale jak się spróbuje wyobrazić to miejsce w Warszawie w latach 50., 60., 70., to jest to znakomite centrum łączności. I trzeba pamiętać właśnie o tym, że Pluta-Czachowski to szef służb łączności. Zresztą załącznikiem do książki o nim jest przedmowa Pluty-Czachowskiego do książki innego autora dotyczącej łączności walczącej Warszawy. Tekst sam w sobie jest genialnym wprowadzeniem do tego, jak komunikacja dyktuje działalność i potęgę w ogóle takiej organizacji, jaką było Państwo Podziemne. I jeśli było możliwe to, co było zrobione w latach okupacji, to można sobie wyobrazić, że ci sami ludzie w latach 50. potrafili stworzyć organizację o znakomitym kształcie, jeśli chodzi o kwestie komunikacji. Myślę, że to jest ważny ślad.

Chętnie bym się dowiedział, jak wyglądało to życie związane z tym, że ci, którzy przyjeżdżali do Warszawy, spotykali się na Filtrowej i to było rzeczywiście centrum komunikacyjne tego ruchu akowskiego od lat 50. do końca lat 70.

I jeszcze jedna rzecz. „Solidarność” w swojej działalności w latach 80. (przynajmniej niektóre struktury) działała w sposób, który bazował na tym dorobku przekazywanym na zasadzie przekazów rodzinnych, środowiskowych. I to były bardzo skomplikowane struktury. One są łatwiejsze do odtworzenia, bo ludzie, którzy działali w latach 80. jeszcze żyją i dokumentacja działalności „Solidarności” jest dość bogata. I ona jest kopią. Ci ludzie sami to mówią. Zam środowisko solidarnościowe Politechniki Warszawskiej. Znam takie osoby jak Sobieszczański, który jest chyba środowiskiem rozpoznawalnym, Mieszkowski, który też będzie środowiskiem rozpoznawalnym. To są rodziny wychowane w tym kulcie, tradycji, ale też przy doświadczeniach działalności z lat 50., 60., 70. Więc jest pewien trop, że odtworzenie tej działalności potem w latach 80. odbywało się wedle tej samej wiedzy i sposobów.

Mirosław Lewandowski:

Nie mówiłem o tym, ale chcę to podkreślić. Istniała łączność tego środowiska akowskiego z Zachodem, która była nieprzerwana i bardzo intensywna. To nie tylko Londyn, to także łączność np. z Kanadą. Pragnę wam uświadomić taką rzecz, z której my sobie nie do końca zdajemy sprawę. Jak to się stało, że w roku 1979 powstaje Konfederacja Polski Niepodległej i ma swoje filie w różnych miejscach, w tym w Kanadzie?

Maciej Gawlikowski:

Fejsbuk!

Mirosław Lewandowski:

W Kanadzie mieszkał i zmarł Sosnkowski, który prawdopodobnie był na emigracji najważniejszym człowiekiem, który współpracował z tym środowiskiem kombatanckim w kraju. W Kanadzie mieszkała rodzina generała Abrahama, od strony generała Stachewicza. I w Kanadzie mieszkał też syn Boruty. Więc Kanada dla tego środowiska niepodległościowego była za granicą najważniejszym ośrodkiem. Natomiast w Londynie trochę słabe były te wpływy. Wymagało to olbrzymiej dyscypliny, bo prawie w ogóle nie szła korespondencja pocztą. Wszystko szło przez kurierów. Jak w czasie wojny. Wyobraźcie sobie, że organizujemy dziś łączność, ale wykluczamy telefony.

Maciej Gawlikowski:

Jedno zdanie. W tych opracowaniach, czy pułkownika Sokoła, czy pułkownika Pudysza (wtedy jeszcze nie pułkownika), w tych opracowaniach MSW plus takiej analizie robionej na potrzeby procesu KPN, bardzo poważnej analizie, jakiś instytut to robił, w tym wszystkim właśnie sprawa biur zagranicznych i kontaktów jest podawana jako dowód na to, że jest to operacja służb specjalnych, oczywiście wrogich państw zachodnich. Że to nie może być przypadek, że nagle pojawia się taka sieć biur na całym świecie.

Mirosław Lewandowski:

Leszek Moczulski po raz pierwszy wyjechał na zachód w roku 1986, w grudniu. Więc jego kontakty międzynarodowe w sposób oczywisty zostały odziedziczone po środowisku kombatanckim. A teraz zadajmy sobie pytanie, kto w tym środowisku zbudował łączność z Zachodem? Oczywiście, że Pluta, który w czasie wojny zapewniał łączność Komendy Głównej AK z Londynem i problemem nie było, że trzeba było przejść przez strefę okupowaną przez Niemców. Oczywiście to była łączność poza jakąkolwiek kontrolą bezpieki. Nawet, jeżeli realizował ją TW „Mociński”, czyli Zygmunt Augustowski.

Sprawa ulicy Filtrowej. To jest bardzo ciekawe dla warszawiaków. Przeciwnieństwem mieszkania Pluty przy ulicy Filtrowej było mieszkanie generała Abrahama. Jest w Warszawie taki bardzo długi, dziesięciopiętrowy budynek w centrum miasta, pochodzący z tego okresu. Wybudowany w latach 60. na zapleczu Ogrodu Saskiego. W każdym razie Abraham tam mieszkał. I to jest bardzo ciekawe, jak unikał inwigilacji. Bezpieka w ogóle się żaliła, że w tym mrówkowcu jest niemożliwa inwigilacja. On miał bardzo małe mieszkanko i spotykał się z ludźmi, na przykład z Ziemińskim, albo na parterze (tam była taka świetlica – schodził na dół), albo wszystkie okoliczne kawiarnie zaliczały. Co też pokazuje na pewną skalę trudności.

Łączność telefoniczna odpadała. Akurat przy Abrahamie jest kapitalna sprawa, bo mamy nagrania z podsłuchów telefonicznych za okres 2 lat pod koniec jego życia. Abraham zachowywał się perfekcyjnie. Jak ktoś do niego telefonował, to on mówił krótko: „Umawiamy się w kawiarni. Do widzenia”. Żadnych innych rozmów przez telefon! Jak ktoś próbuje z nim rozmawiać, to Abraham natychmiast ucina. Kapitalny facet. I wszystkie spotkania w kawiarniach.

Tylko miejmy świadomość, co to oznaczało. Czasem trzeba było poświęcić cały dzień, żeby się z jednym człowiekiem spotkać. To nie było tak jak dzisiaj, czy na Filtrowej, gdzie do Pluty jednego dnia mogło przyjść wiele osób.

Gdy idzie o dom na Filtrowej, to zastanawiam się nad jednym – skąd Pluta wiedział, że tam nie ma podsłuchów? Bo on na tej Filtrowej

z mnóstwem ludzi się spotykał, rozmawiali, a nie było podsłuchu, bo w aktach SB nie ma śladu na ten temat. Prawdopodobnie – to wynika z akt Muzyczki – byli tacy ludzie, którzy potrafili sprawdzić, miernikiem prądu, czy jest podsłuch w domu. Po drugie, u Pluty w domu zawsze ktoś był. Bo Abrahamowi chcieli założyć podsłuch i w tym celu załatwili mu sanatorium, po powrocie z którego on zmarł...

Głos z sali:

To ładne sanatorium.

Mirosław Lewandowski:

Specjalnie załatwili mu sanatorium, żeby móc wejść do mieszkania i założyć podsłuch. A na Filtrowej, z jakiegoś powodu, Pluta miał pewność, że podsłuchu nie ma. Prawdopodobnie mieszkanie było przez kogoś sprawdzane. Nie wiem. Może miał takich ludzi z łączności z AK, bo tam przecież pracowali na radiostacjach... Ale myślę, że u Pluty ciągle ktoś w mieszkaniu był, co wykluczało założenie podsłuchu.

Bohdan Urbankowski:

Jest dosyć późno, więc tylko kilka najważniejszych punktów.

Tutaj padały słowa o tych strukturach akowskich. Coś podobnego było u generała Abrahama. To pamiętam ze względu na zwrot, którego używał: „Szrajbujcie, chłopcy, szrajbujcie, ale, broń Boże nie wybierajcie zarządów, żeby nie mieli za co złapać!”. To była jego wskazówka do stworzenia właśnie takiej sieciowej konspiracji.

Inna rzecz, o której już kiedyś pisałem, że w Warszawie w zasadzie rządziły trzy damy tym podziemiem. To była żyjąca do dziś pani Zofia Idziakowska, niestety nieżyjąca już Irena Rowecka – córka Grota i Elżbieta Prądyńska-Zboińska. I myślę, że sam fakt, że to były kobiety, a my próbowaliśmy być dżentelmenami, prowadził do tego, że one nami poganiały jak chciały, wyznaczały różne zadania, kontakty i tak dalej. A my byliśmy wręcz szczęśliwi z tego powodu. Do tych kontaktów należało między innymi organizowanie różnych spotkań.

Te tablice to się robiło dość często, zresztą szczegółów nie znam, bo

ja przychodziłem na gotowe, to znaczy jak już tę tablicę wmontowywali. Pracowaliśmy poza Warszawą wtedy.

Natomiast mieliśmy taki stały punkt kontaktów, oprócz mieszkań oczywiście. To był na przykład Klub Lekarza, który się mieścił w Alejach Ujazdowskich. To była częsta forma maskowania spotkań nielegalnych legalnymi. A zmierzam do tego, że chyba w ogóle u nas w pewnym momencie to działanie antykomunistyczne się rozdzieliło. Były grupy, które szły na zderzenie czołowe, ale po 1968 roku część ruchu młodzieżowego, studenckiego zwłaszcza, poszła na walkę podjazdową. Ironia, kabaret, chłopcy z „Hybryd” przede wszystkim, Janek Pietrzak ze swoim hymnem. Ale Marcin Wolski stał się przecież bardem 1968 roku. Ta piosenka *Pokolenie czapki studenckiej* to jest jego piosenka i myśmy to wyśpiewywali. Budowanie dystansu, ironii, pogardy w stosunku do komunistów było bardzo ważnym czynnikiem psychologicznym tamtych lat.

Sprawa druga. Zgadzam się z Jurkiem, że nie można tak abstrakcyjnie oceniać momentu wybuchu Powstania. Chcę tylko dorzucić inną rzecz. Po pierwsze – było oczywiste, że Powstanie musi wybuchnąć, bo czekano na to, szkolono młodzież, była taka presja psychiczna, a już gdzieś tam powstawały jakieś grupki lewicujące, jakieś ogłoszenia, że akowcy zdradzili i nie chcą. I ulotki radzieckie. To wszystko utwierdzało naszych dowódców, że oni na pewno wejdą. I trzeba być szybszymi. I potem dramatyczna sytuacja, że gdzieś tam pojawiły się już czołgi, harcerze to widzieli. Wpadają na zebranie Komendy Głównej i podejmują tę decyzję. Jest klęska Niemców na przedpolach Warszawy, jest plan sowiecki, który ma zająć obszar szerszy do Bydgoszczy do 8 sierpnia. Jest cały czas ten pęd i wiadomo, że Ruscy będą chcieli zająć jak największy teren, więc raczej będą się spieszyć. Zmiana tych warunków przez nikogo nie mogła być przewidziana. Więc z tamtego punktu widzenia nie był to żaden projekt hekatombi, wracając do twojego określenia, tylko racjonalna decyzja sztabowców dokonana wręcz na zimno. Musimy tak postąpić, bo inaczej komuniści zrobią nam powstanie. A nie było to podejrzenie nietrafne, bo pamiętajmy, że istniał wtedy już plan Skrypina. Zatwierdzony przez Armię Ludo-

wą, wcześniej już opracowany. Zakładał, że być może Armia Krajowa nawet opanuje Warszawę, ale oni opanują ratusz, pocztę, dworce. Na to mieli siły. Przywitać Armię Sowiecką jako ci, którzy rządzą. I w tym momencie Armia Krajowa idzie pod ścianę albo ucieka...

Jeszcze jedna uwaga. Powiedziałeś, że nie było traumy w Warszawie. W Warszawie nie mogło być traumy, bo nie było tego miejsca. Warszawa była rozpieprzona, nasze rodziny wyrzucono do Pruszkowa, część nie żyła. Nie było miejsca w Polsce, w sensie geograficznym, gdzie warszawiacy mogliby się spotkać, ponarzekać, coś postanowić, bo każdy gdzieś tam próbował się zamaskować. Pamiętam z dzieciństwa, jako koszmar tamtych lat, wizyty ubeka, który obchodził te rodziny podejrzane i zbierał daniny. W postaci biżuterii czy co tam rodzina miała, no i dzięki temu nie wsadzał nas do pierdła wszystkich, bo nie zarzyna się kury, która te złote jaja ubecji wręcza. Myślę, że w innych miastach to wyglądało podobnie.

Jeszcze inna rzecz. Bo mówi się o sensie tego Powstania. Trzeba pamiętać, że słowo sens jest wielowymiarowe. Chodzi nie tylko o sens militarny, ale także moralny, historyczny. O sens, jakim było także z punktu widzenia militarnego zatrzymanie na jakiś czas frontu na Wiśle, to w sensie strategicznym był to sukces, bo dzięki temu Ruscy nie doszli do Francji. Ale był jeszcze inny sens tego wszystkiego. Pamiętam, jak rozmawiałem z matką i też zadawałem jej pytanie, czy tego nie żałują. Matka odpowiedziała mi jedno „Czuliśmy się szczęśliwi!”. To były 63 dni wolności. To było odbierane, jakby na tym terenie powstało wolne państwo. Oczywiście małe, jak jakiś Liechtenstein, inne San Marino, ale państwo, które było wolne, miało armię na odciinkach frontu, służby, prasę, wesela się odbywały, defilada na ulicy Długiej. To była namiastka niepodległej Rzeczypospolitej. Tam była właśnie ta Trzecia Rzeczpospolita. Myślę, że to był najważniejszy sens Powstania.

Na zakończenie jedna uwaga. Z „Ruchem” było trochę dziwnie. Ja z nimi miałem kontakty, bo przenikały się personalnie struktury „Ruchu” ze strukturą Konfederacji Nowego Romantyzmu, przynajmniej 2 czy 3 poetów, którzy byli w „Ruchu” – między innymi Jacek Bierezin

czy Witek Sułkowski – jednocześnie byli w tej mojej Konfederacji, podpisywali to. Potem zresztą Witek Sułkowski na nas wszystkich sypał. Tam padło kilka nazwisk, które mogą ci się przydać. Przede wszystkim Elżbieta Nawrocka, czyli dzisiejsza Królikowska-Avis, na którą z kolei donosił jej ukochany Niesiołowski.

Maciej Gawlikowski:

Sypnął. Nie tyle donosił, co sypnął.

Bohdan Urbankowski:

Sypnął – przeglądałem akta.

Broniłbym tego pomysłu z wysadzaniem pomnika Lenina. Czynności symboliczne mają cholernie ważne znaczenie.

Głos z sali:

A co dalej?

Bohdan Urbankowski:

No nic. Trzeba wysadzić i uciec. Ja uczestniczyłem w akcji, gdzie nie było nas stać na wysadzanie całego pomnika, ale utraciliśmy nos generałowi Karolowi Świerczewskiemu w bytomskim parku. Tak że ja ich rozumiem. Oni mnie przebili nawet: ja utraciłem, a oni nie wysadzili.

Piotr Wójcik:

W Warszawie była taka akcja: do butelek po „Mazowszance” nalano benzyny i obrzucono tymi butelkami pomnik krwawego Felka i go podpalamo. Wszystkich złapali...

Andrzej Anusz:

Chciałbym bardzo krótko się odnieść. Przede wszystkim przeczytałem dwie książki i chciałem ci Mirku pogratulować, bo wykonałeś wielką pracę. Te książki wypełniają białą plamę najnowszej historii. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Jeśli chodzi o twoją analizę, zresztą już rok temu to przenikało –

kwestia gry ze służbami naszych bohaterów i późniejszych bohaterów z opozycji, którzy walczyli z komunizmem. To jest jeden z ważnych elementów.

Przed wszystkim jednak chcę zwrócić uwagę na jeden fakt. Ta ciągłość żołnierzy Armii Krajowej. I Czachowski, i Muzyczka, i inni, których opisujesz, oni wyszli bezpośrednio z gorącej wojny. I te służby, które wyszły z nimi, też wyszły z gorącej wojny. Tam była permanentna walka o życie. W związku z tym te techniki i nawet psychologiczna gra, którą oni podejmowali, była w moim przekonaniu w pełni zrozumiała. To trzeba jasno rozróżnić. Teraz mamy drugą falę opozycji (tutaj będę się bezpośrednio odwoływał do Moczulskiego, ale podobny przypadek dotyczy choćby Najdera – jest dokładnie taki sam jak Moczulskiego; tak samo Herbert). To są ludzie, którzy w jakimś stopniu chcieli się zaliczyć do pokolenia Armii Krajowej. Moczulski, Najder korzystali z rad swoich starszych kolegów już bezpośrednio z Armii Krajowej. Rozpoczęły się działania opozycyjne i w moim przekonaniu ich zachowania, i Moczulskiego, który jest tak a nie inaczej zarejestrowany, i Najdera, który jest tak a nie inaczej zarejestrowany, a w latach 80. dostał wyrok śmierci...

Głos z sali:

I Chrzanowski...

Andrzej Anusz:

Dokładnie. Nie chcę już mnożyć, ale Najdera chciałem wrzucić, bo o nim się często zapomina. Oni są w moim przekonaniu takim elementem pośrednim w relacjach z bezpieczeństwem. To znaczy, mamy wyjście z gorącej wojny i grę z służbami. Potem mamy kolejne pokolenie, które symbolizuje Najder, Moczulski. Którzy są bezpośrednio łącznikami. Oni się uczą od akowców. Nazwałbym ich młodszymi braćmi tamtych. A potem mamy zupełnie nową jakościowo trzecią falę opozycji. Jakościowo się zupełnie zmienia po 1976 roku, po słynnej broszurze Olszewskiego *Obywatel a służba bezpieczeństwu...* Oczywiście taka a nie inna gra była bezpośrednio związana z warunkami zewnętrznymi, którym poszczególni nasi bohaterowie byli poddani.

Następny element – Żołnierze Wyklęci. Widzę tu bezpośredni związek między legendą i działalnością Armii Krajowej a „Solidarnością” i KPN-em też (czyli tą opozycją, która doprowadziła bezpośrednio do przełomu, do zmiany politycznej po 1989 roku). I kompleksem bardziej radykalnych grup, jak Solidarność Walcząca i inne, które też próbują wytworzyć swój własny mit. Tak jak my mamy mit ciągłości AK – „Solidarność”, tak oni starają się wytworzyć mit „niezlomni” – Solidarność Walcząca. To próba znalezienia sztafety. Ale w moim przekonaniu tak zwana moda na Żołnierzy Wyklętych powoli się uspokaja. To naturalne, bo to był zakazany owoc, o tym się do pewnego momentu nie mówiło. Tak jak myśmy przerabiali Armię Krajową po 1956 roku, tak samo to musimy przerobić. Ja uważam, że po takiej naturalnej erupcji zachwyty, odkrycia tego, to znajdzie swoje należne miejsce w historii, ale to nie będzie głównym nurtem. Moim zdaniem obroni się Armia Krajowa i Państwo Podziemne.

Bardzo ważnym elementem tych książek jest (mówię to także na podstawie mojego osobistego doświadczenia), teza o ciągłości personalnej pewnych postaw. I ja to mogę powiedzieć. Nawet tutaj w „Opinii” najnowszej macie gazetkę „Żeby Polska była Polską”, którą redagował mój ojciec, żołnierz Armii Krajowej, ze mną jako pomocnikiem. To jest dla mnie dowód fizyczny. Miałem 9 lat, jak tę gazetkę redagował. Nie ma co dyskutować. Jest ta ciągłość w takim czy innym wymiarze. Jak pamiętam, dla ojca Pluta-Czachowski to był zawsze punkt odniesienia. Ważny gość, do którego się ojciec odwoływał.

Na koniec o Kościele w tych relacjach. W moim przekonaniu jest to trochę inaczej niż ty to zinterpretowałeś. Reakcje na przykład Wyszyńskiego do Armii Krajowej były naturalne. Pamiętajmy, jaki był Wyszyński. Wyszyński to jest gość, który przed wojną pisze książkę *Inteligencja wobec bolszewizmu*. To jest ksiądz, który opowiada się za pewną reformą państwa, nawet już tego sanacyjnego, idącego w stronę pewnych reform społecznych. To nie jest jakiś ksiądz endek, zakapior (nazwijmy to umownie). Tylko to jest ksiądz raczej bardziej społecznego nurtu. Drugim elementem jest to, że on był kapłanem Armii Krajowej w Kampinosie.

Maciej Gawlikowski:

Szeregowy kapelan Armii Krajowej, jak sam o sobie pisał.

Andrzej Anusz:

Tak jest. Więc dla niego Armia Krajowa jest ważnym elementem życiorysu. To samo dotyczy Wojtyły. Pamiętajmy, że Wojtyła jeszcze zanim poszedł do seminarium jest bezpośrednio związany z grupą podziemną „Unia”. To jest taka, powiedzmy, chadecja. Przed wojną to był nurt opozycji, ale w państwie podziemnym to jest jedna z czterech podstawowych partii. Wojskiem tych czterech partii była Armia Krajowa. To jest bezpośrednie przełożenie. Tu nie ma żadnych sztucznych reakcji. Ta reakcja jest naturalna i ta ciągłość jest tu oczywista.

Piotr Wójcik:

Waga tych książek i zagospodarowania tego całego obszaru jest absolutnie nie do przecenienia. To co Mirek zrobił, mam nadzieję, że będzie kontynuowane. To jest działanie pionierskie, pokazujące genezę polskiej opozycji demokratycznej. Bardzo wiele w Polsce zrobiono już po 1989 roku, przez deprecjonowanie Powstania Warszawskiego, żeby tej ciągłości między Armią Krajową a opozycją demokratyczną nie było widać. W powszechnej świadomości ta ciągłość może jest ideowa, symboliczna, ale nie jest faktyczna i polityczna. Ludzie tego nie dostrzegają. I dlatego to ma kapitalne znaczenie. Wykazanie tej bezpośredniej ciągłości, praktycznego działania politycznego, ideowego... Po Armii Krajowej nie została tylko legenda Powstania i testament Polski Walczącej, ale została działalność oficerów Armii Krajowej, którzy tworzyli intelektualną i praktyczną infrastrukturę, podglebie dla opozycji.

I to zmienia całkowicie, po 1989 roku, optykę widzenia polskiej opozycji, która się nagle *deus ex machina* zjawiała w związku z grudniem 1970 roku. O grupie „Głosu” też się właściwie nie mówiło. Po prostu nagle się ta opozycja stała. Był kryzys gospodarczy, ludzie chcieli jeść i był protest na tle gospodarczym. Dla mnie jest absolutnie symboliczną obecność generała Boruty-Spiechowicza na pierwszych zjazdach „Solidarności”. To jest taki symbol. I to zostało po 1980 roku... To

znaczy – „Opozycja zaczęła się w 1980 roku i nic wcześniej nie było”. „Był październik 1956 roku i nic potem nie było”.

Uważam, że deprecjonowanie także kwestii Powstania Warszawskiego i sprowadzanie go tylko do szacunku dla ofiar i żołnierzy, to jest element tego myślenia, że tak naprawdę rząd dusz, jeśli chodzi o tworzenie opozycji demokratycznej w Polsce miała lewica laicka. Tym większa rola jest tego, co Mirek zrobił i tego całego pomysłu. Bo ja rozumiem, że to szerszy pomysł na pokazanie tej ciągłości.

Bohdan mówił o tych fantastycznych kobietach warszawskiej konspiracji. Przecież pani Prądyńska-Zboińska to była ostatnia łączniczka Grota-Roweckiego!

Bohdan Urbankowski:

Ale jaka była piękna!

Michał Janiszewski

Trzy oderwane od siebie rzeczy. Po pierwsze, mówiłeś o klimacie. Zadam ci takie pytanie. Ile lat Waldka Polczyńskiego nie widziałeś?

Mirosław Lewandowski:

Liczyłem to dzisiaj. 25 lat.

Głos z sali:

A jak jeden dzień.

Mirek Lewandowski:

Ja obserwowałem wasze przywitania. I to jest czasem tak, że ludzie czasami krótko, czasami długo oddaleni od siebie w tym nurcie się znajdują. I to jest właśnie ten klimat. I czy jesteśmy w stanie to odbudować?

Głos z sali:

Za rok zapraszamy Adama Słomkę!

Mirosław Lewandowski:

Przepraszam, wpadnę ci słowo. Chcę podkreślić, bo są z nami Andrzej i Piotrek. Bardzo fajne jest to, że nie jesteśmy środowiskiem, które się ogranicza tylko do kombatanów KPN-owskich...

Michał Janiszewski:

Oni przez pomyłkę trafili kiedyś gdzie indziej...

Andrzej Anusz:

Nie martwcie się, jeszcze was wszystkich do PiSu zapiszemy!

Mirosław Lewandowski:

Myszę, że jestem wyrazicielem woli nas wszystkich, że szkoda, że jest tak mało osób spoza naszego środowiska, a Piotrek z Andrzejem są dowodem na to, że świetnie możemy współpracować.

Andrzej Chyłek:

Byliśmy przecież razem w jednym klubie parlamentarnym (w Sejmie III Kadencji).

Michał Janiszewski:

Drugie, to do ciebie już przytyk. Musimy opisać ideę naszego Instytutu Historycznego, i umieścić na stronie. Tam też trzeba pokazać tę ciągłość.

Mirosław Lewandowski:

Bo mówiliście po referacie ministra Kasprzyka o różnych instytucjach. Ja postrzegam nas jako coś, co może się stać odpowiednikiem instytutu, który piłsudzczyki mieli w latach 20., 30, a który później się nazywał imieniem Józefa Piłsudskiego. Czyli oni mieli świadomość, że są depozytariuszami pewnych wartości, idei i chcieli ten depozyt przekazać dalej. Mnie się wydaje, że dzisiaj w sposób naturalny Instytut nurtu niepodległościowego powinien pretendować do odegrania podobnej roli. Myszę, że i nasz instytut historyczny powinien iść w tym

kierunku. Jesteśmy kolejną zmianą w sztafecie pokoleń także i pod tym względem. Jesteśmy dzisiaj jedynymi chyba w Polsce depozytariuszami w Polsce tych wartości piłsudczykowskich. Zinstytucjonalizowanego środowiska, które prowadziłyby badania intelektualne, naukowe, związane z myślą piłsudczykowską to chyba nie ma.

Michał Janiszewski:

Nie, no jest Instytut Józefa Piłsudskiego.

Mirosław Lewandowski:

Rozumiem, że uda nam się kiedyś doprowadzić do jakiejś fuzji.

Michał Janiszewski:

Najważniejsze jest przejmowanie ludzi, a nie rzeczy.

Mirosław Lewandowski:

Padły tutaj takie słowa, że w roku 1968 lewacy na Zachodzie przegrali. Pamiętam taką dyskusję w „Trzecim Punkcie Widzenia” (Marek Cichocki – Dariusz Karłowicz – Dariusz Gawin). Oni powiedzieli coś zupełnie innego. Tamto środowisko 68 roku przegrało politycznie. Oni chcieli zrobić rewolucję, zmienić świat. Nie udało się. I część tej grupy poszła w politykę, a część w kulturę. I dzisiaj ci, którzy poszli w kulturę, rządzą – gender, feminizm, pacyfizm... Większość lewackiej dzisiejszej ideologii wywodzi się wprost z 1968 roku.

Głos z sali:

Oni mają rząd dusz w Europie. Nawet chadecy się im podlizują.

Mirosław Lewandowski:

PiS dzisiaj ma władzę polityczną. Ale pytanie, czy z tego zostanie coś trwałego? PiS postawił, bardzo wyraźnie to widać, na budowę swojej potęgi w oparciu o kasę. Ma swoich ludzi, daje im kasę. Moim zdaniem nie tędy droga. Trzeba budować w sferze idei. Boję się, że po PiS-ie zostanie cała masa dobrze materialnie ustawionych ludzi, ale ideowo oni

będą jałowi. I z tego powodu nie będzie to trwały dorobek. Natomiast to, co myśmy powinni robić, to wejść w sferę idei. I to jest zadanie Instytutu.

Michał Janiszewski:

W przyszłym roku mamy czterdziestolecie powstania KPN-u oraz dziesięciolecie powstania naszego Instytutu. Czy my jesteśmy już na tyle obiektywni, żeby po prostu usiąść sobie i porozmawiać o naszych grzechach? No bo nurt rozbiła wojna, a myśmy się sami porozbijali...

Maciej Gawlikowski:

Przy pewnym udziale Urzędu Ochrony Państwa...

Michał Janiszewski

To by było warto, bo wcześniej czy później musimy to przejść.

Andrzej Chyłek:

To znaczy problem polega na tym, że my jeszcze dostępu do tych teczek nie mamy, żeby zrobić prawdziwe rozliczenie z przeszłością.

Michał Janiszewski

Na zakończenie opowieść trochę anegdotyczna. Ja tak naprawdę wróciłem do KPN-u na mojej sprawie, gdzie w mojej sprawie przytoczyłem słowa Kanta. Majka Moczulska siedziała z moją żoną. Zresztą jest taka scena, że moją córkę podaje mi matka Leszka Moczulskiego. Po raz pierwszy widzę dziecko, siedząc na ławie oskarżonych. No i Majka już mnie wtedy wpisała do KPN-u. Gdzie tam „Solidarność”? Jaka „Solidarność”? Oczywiście już moją Żabę wzięła pod opiekę i jak wyszedłem, to nie miałem już wiele do powiedzenia. Kant mnie tak naprawdę zapisał do KPN-u.

Mirosław Lewandowski:

W takim razie zostały nam dwie rzeczy na przyszły rok. Maciek nic

nie powiedział o tych sprawach, a to nie da się w pięciu minutach. To jest bardzo ciekawe, nad czym on pracuje.

Głos z sali:

Chociaż nas wprowadź.

Maciej Gawlikowski:

Robię kwerendę o całej tej prasie opozycyjnej lat 70. do Sierpnia 1980 roku. Cała ta ówczesna debata polityczna, która była dość bogata. Z ciekawych rzeczy których nie znałem... Bo wszyscy oczywiście jadą po tym nieszczęsnym Janie Walcu, który miał świetne pióro. Pióro u niego wyprzedzało myśl. Pisał świetnie, ale jechał po całości. Natomiast bardzo dużym zaskoczeniem był dla mnie tekst Barańczaka o Moczulskim. Dość perfidnie zrobiony, ponieważ tam w ogóle nie pada nazwisko Moczulski, natomiast jest to czytelne w sposób oczywisty. To taki paszkwil. Dobrze napisany, ale straszliwy paszkwil. To w „Zapisie” zdaje się wyszło. No i takich rzeczy trochę ciekawych. Przebijam się przez cały „Biuletyn Dolnośląski”...

Głos z sali:

Kornel?

Maciej Gawlikowski:

Tak. Bardzo ciepło i sympatycznie o KPN-ie, wywiady z Moczulskim, bardzo w porządku. Ale żadnej myśli politycznej. To, co widzimy do dziś u Kornela. Serce jak najbardziej po właściwej stronie, natomiast z głową gorzej.

Przebijam się przez tę prasę KOR-owską. Dla mnie najciekawsze jest to, co się mówi ostatnio – kreuje się pojęcie niepodległościowego KOR-u. To kompletna fikcja. Nawet ukazała się książka pod tytułem *Głos Niepodległości* o „Głosie”. Ta cała operacja jest porównywalna z kreowaniem nieistniejących oddziałów Gwardii Ludowej. Coś niebywałego! Nawet w tej dętej książce są działy tematyczne. Jeden jest „Niepodległość”. Cały rozdział składa się z dwóch stron. Tytułowej

i drugiej, gdzie są trzy zacytowane króciutkie teksty. Na przykład rocznicowe – „Mamy sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości, Piłsudski” itd. I to ma świadczyć o niepodległościowym programie części KOR-u? Kompletny idiotyzm.

Natomiast w tej prasie widać bardzo ciekawy spór z lewicą KOR-owską. Co do tradycji i genezy. Ta część KOR-u („Głosu”) odwołuje się bardziej do tradycji patriotycznej, narodowej, ostro w opozycji do tej części rewizjonistycznej wywodzącej się z Marksa. I tu jest ostry spór. Natomiast osią sporu nie jest tu kwestia niepodległości. To jest dęta sprawa. Te książki Justyny Błazejowskiej, która za pieniądze publicznej w większości Polskiej Grupy Zbrojeniowej, stworzyła coś tak dętego i zupełnie fałszywego...

Prasa KPN-owska na tym tle wypada oczywiście znakomicie.

I świetnie wypada Ruch Młodej Polski, z „Bratniakiem” przede wszystkim. I tu i Bartyzel, i Hall wypadają bardzo dojrzałe. Z tym, że w kwestii niepodległości oni akurat byli po stronie Moczulskiego, więc to jest jeden nurt. Natomiast wypada to bardzo dojrzałe intelektualnie.

Znacznie lepiej niż na przykład prasa KPN-owska. Pismak lewicy KOR-owskiej obśmiewał, że w jednym numerze „Opinii” Moczulski zrobił sam ze sobą dyskusję redakcyjną, w której bierze udział Natalia Naruszewicz a jej oponentem jest Leszek Moczulski. Pewnie tak było. Natomiast ja dziś nie widzę w tym nic złego. Świadczyło to o tym, że nie było wielu ludzi do tej roboty i umiejących to zrobić. Ważny jest efekt później na papierze. Te gazety były dobrze zredagowane, bo to byli fachowcy, jak Moczulski czy Szomański. Natomiast widać, że tam nie było tylu piór, i tylu ludzi intelektualnie przygotowanych, tak jak w wypadku pism KOR-owskich.

Mirosław Lewandowski:

Ale pamiętam, jak mi mówiłeś, że ta lewica laicka w ogóle kwestii niepodległości nie rozumiała. Oni uważali, że jak Moczulski pisze o niepodległości, to traktuje to jako narzędzie, żeby walić w nich jak cepem. Uważali, że w czym problem? Przecież Polska jest niepodległa.

Maciej Gawlikowski:

Właśnie wręcz przeciwnie. To, że Polska jest niepodległa to mówiła część ROPCiO. Oni bronili jakiejś swojej chorej tezy, że Polska jest niepodległa, tylko nie jest niezawisła. Natomiast KOR-owcy mówili, że Polska niepodległa nie jest niepodległa, natomiast w jakiegokolwiek przewidywanej perspektywie czasu jest to sytuacja, której nie można zmienić. A jakiegokolwiek próby gwałtownej zmiany spowodują wkroczenie Sowietów, zalanie krwią wszystkiego i cofnięcie tych procesów demokratyzacyjnych, które się dzieją. Natomiast rzeczywiście jest dużo takich tekstów, gdzie pojęcie niepodległości państwa jest w ogóle dla nich jakby abstrakcją. Niepodległość człowieka jest ważniejsza, niepodległość myśli. Tu jest akurat jednogłośnie brzmiący chór. Czy to Kuroń, czy Macierewicz... Ciekawa lektura i sporo dobrych tekstów.

Mirosław Lewandowski:

Nie wiem, czy macie świadomość, że pojęcie II i III RP jest wykreowane przez środowisko kombatanckie, środowisko akowskie. Wszyscy wtedy mówili o „Polsce międzywojennej” i dopiero to środowisko wprowadziło tę numerację... A potem to przejęła KPN. Dlatego z przykrością słuchałem dzisiaj Jurka Wawrowskiego, który zaczął wybrzydząć na III RP. Przecież myśmy cały czas walczyli o III RP. Ten zabieg był potrzebny do tego, żeby podkreślić, że PRL nie była państwem niepodległym. Mamy 50 lat przerwy.

Jerzy Wawrowski:

Nie tak łatwo tę III RP, którą stworzono po Okrągłym Stole, przyjąć.

Mirosław Lewandowski:

Ale III RP to był nasz cel! Nie możemy dzisiaj – PiS to robi nagminnie i mnie się to bardzo nie podoba – deprecjonować niepodległego państwa. To państwo ma całą masę wad, ale myśmy walczyli o Polskę niepodległą i Polska niepodległa jest. A to, że nie potrafimy sobie tej Polski urządzić, że ona jest pełna niesprawiedliwości – to zmienmy to! Jest Polska niepodległa. Nie możemy czegoś, co było celem naszej

działalności przez wiele lat teraz niszczyć. To mogą robić tacy ludzie jak Kaczor, którzy w tym czasie (przed 1989 rokiem) nie mają silnej karty kombatanckiej. On dziś mówi: „To co tamci wywalczyli, jest do piachu. IV Rzeczpospolita, którą ja zbuduję, będzie miała wartość”. Ja uważam, że nie możemy tak robić! Ta, która jest obecnie, to jest nasz sukces. A że ona trochę jest słabo urządzona... Popytajcie Ukraińców, co sądzą o naszych drogach, o naszym państwie, jak jest urządzone. Jak nam zazdroszcza...

Mariusz Olszewski:

Jest druga rano. Kończymy!

II DZIEŃ (26 MAJA 2018 R.)

DR MACIEJ ZAKRZEWSKI

KONCEPCJE POLITYCZNE WiN-U



Dziękuję za to, że ponownie zostałem zaproszony do państwa zacnego grona, żeby podzielić się pewnymi uwagami. Tym razem nie będzie to kwestia myśli politycznej Leszka Moczulskiego, ale coś, co wydaje się bardzo pokrewne, czyli kwestie myśli politycznej Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Te uwagi, które tutaj wygłoszę są pokłosiem – jeśli ktoś chce sięgnąć i zapoznać się z głębszym uzasadnieniem,

a przede wszystkim od strony bibliograficznej – artykułu, który się ukazał w „Zeszytach Historycznych WiN” w numerze 44. Jest to jedyna próba analizy myśli politycznej Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość nie pod kątem historycznym, nie pod kątem referowania i streszczania głównych argumentów, ale pod kątem pewnego zakorzenienia w tradycji i ukazania nie tyle konkretnych postulatów ideowych, co przede wszystkim zrekonstruowanie pewnego schematu i sposobu myślenia.

Wolność i Niezawisłość, tak samo jak później Konfederacja Polski Niepodległej i Leszek Moczulski, i tak samo ci wszyscy, którzy ich niejako poprzedzali w tej tradycji niepodległościowej wieku XIX mieścili się w jednym nurcie. Polska na skutek zaborów i pewnej specyficznej drogi rozwojowej przedzaborowej wykształciła sobie pewne unikalne na skalę europejską sposoby myślenia i argumentowania. Można wyróżnić coś takiego, jak myśl niepodległościową, która będzie nie tylko zbiorem pewnych argumentów, jaka ta Polska ma być, ale przede wszystkim będzie pewnym sposobem myślenia, w jaki sposób osiągnąć niepodległość. Polska jest krajem, który przez ponad 100 lat był w sytuacji ciągłego dobijania się o niepodległość. W związku z tym utarły się pewne schematy, które później były kontynuowane.

Pierwszym, fundamentalnym hasłem było – i tu odwołam się do księcia Adama Jerzego Czartoryskiego i hotelu Lambert – hasło, że najpierw Polska ma być, a potem koncentrujemy się, jaka ma być treść tej Polski. Myślenie w kategoriach niepodległościowych jest myśleniem nie w kategorii zwyczajnej myśli politycznej, że dyskutujemy o argumentach, odwołujemy się do jakichś kategorii sprawiedliwości, do norm moralnych, ale nosi ona znamiona pewnej formy instrumentu walki. Tworzymy sobie program nie po to, żeby urzeczywistniać jakąś określoną formę ładu, ale żeby mobilizować jak największy potencjał, żeby niepodległość nie była tylko i wyłącznie postulatem, ale żeby stała się faktem.

Przytoczę tytuł tego artykułu z „Zeszytów Historycznych WiN” – „Tradycja niepodległościowa a nowa forma oporu. Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość i ideowy wymiar walki”. To niesie za sobą pewne konsekwencje dla samej konstrukcji sposobu myślenia. Zazwyczaj myślenie

mieszczące się w tym nurcie niepodległościowym będzie pragmatyczne, czyli niezwykle również elastyczne. Po drugie – będzie szerokie, czyli raczej nakierowane, żeby pozyskiwać sojuszników niż wykluczać. W związku z tym, w ramach nurtu niepodległościowego, bardzo często w sposobie praktyki politycznej – bo jest to obszar bardziej praktyki niż myśli politycznej – będziemy widzieli wiele momentów i zaskakujących sojuszy, z punktu widzenia podziału na prawicę i lewicę, konserwatystów i rewolucjonistów. W czasie Wielkiej Emigracji książe Czartoryski będzie mógł się porozumieć i spotka się z dawnym rewolucjonistą i radykałem – Maurycym Mochnackim. Następnie, mimo pewnych sporów i napięć, w ramach Powstania Styczniowego, dochodzi do spotkania się i przynajmniej strategicznej próby współdziałania Czerwonych i Białych. I później mamy nurt, który wychodzi na powierzchnię w 1914 roku, kiedy to „eksterrorysta” Józef Piłsudski podaje rękę krakowskim Stańczykom. Mało kto pamięta bądź wie, że Michał Bobrzyński, jeszcze w roku 1916, musiał się mocno tłumaczyć przed innymi konserwatystami, że oni w Krakowie podejmują współpracę z kimś takim jak socjalista Piłsudski. Pisał elaboraty, gdzie tłumaczył, że to ma sens i do czegoś prowadzi.

I widzimy jeszcze jeden element, który mocno wpisuje się w polską tradycję i jest nie tylko związany ze specyficznym okresem 123-letniej niewoli, ale również z pewną formą myślenia konfederackiego. Bo na czym polegało myślenie w kategoriach konfederacji? Na tym, że istnieje taki moment, kiedy my zawieszamy swój wewnętrzny spór, w którym my zawieszamy liberum veto i działamy dlatego, że istnieje pewien stan wyższości koniecznej w postaci obrony Ojczyzny bądź obrony innych imponderabiliów. To myślenie konfederackie w wieku XIX również polegało na tym, że jest stan wyjątkowy, więc potrafimy się zmobilizować i zawieszamy wszystkie inne spory. Tu jest jedno kluczowe pytanie – na ile myślenie w kategoriach konfederackich jest myśleniem propaństwowym i na ile jest myśleniem twórczym w warunkach istnienia niepodległego państwa? To jest pytanie otwarte. Z jednej strony pomaga w jakiś sposób mobilizować społeczeństwo, ale to jest zawsze moment zjednoczenia przeciwko państwu.

Zauważcie, że Polacy najlepiej się organizowali przez ostatnie 200 lat, właśnie w momentach, jeśli nie anty-, to apañstwowych. Mamy Polskie Państwo Podziemne, mamy „Solidarność”, mamy kwestie powstań, konspiracji. Wielu z państwa pamięta pewnie ten moment zjednoczenia. Ja nie, nie było mi to dane, urodziłem się miesiąc po powstaniu „Solidarności”. To wychodzi we wspomnieniach: jak to było, że wróciliśmy? To jest ten moment, do którego wszyscy tęsknią. I jak to się stało w 1989 roku, że ten kapitał został zmarnowany?

To jest właśnie myślenie w kierunku schematów konfederackich. Znakomite w momentach walki i niewoli, kiedy jest skuteczne. Natomiast pojawia się pytanie – jak to wygląda w chwili, kiedy trzeba stworzyć własne państwo? Kiedy już nie trzeba odpowiadać na pytanie „Czy ta Polska ma być?”, tylko „Jaka ta Polska ma być?”. Wtedy wychodzą różnice. Te różnice trzeba tolerować.

To nie są schematy popularne w innych narodach. Nie każdy naród ma skłonność do tego, żeby w momencie klęski sięgać po pewne formy konspiracyjne. Popatrzmy jak Francuzi zbierali się do tak zwanego *Résistance* w roku 1940. Najbardziej to się zebrali w roku 1944... To był naród, który przyzwyczaiał się do działania w pewnej strukturze państwowej, dla którego działania konspiracyjne były obce. Burzliwy wiek XIX w historii Francji jest oczywiście znany, ale ostatnie wydarzenia rewolucyjne i konspiracyjne tam to była Komuna Paryska i przez 70 lat po niej był tam czas względnego spokoju. Francuzi do *Résistance* ani się nie garnęli, ani nie czuli instynktownej potrzeby jego istnienia. Dla nich normalnym stanem była kolaboracja w ramach istniejącego stanu rzeczy. W Polsce natomiast widzimy stan odwrotny. U nas wszelkiego rodzaju formy lojalnościowe, ugodowe, są traktowane często jako element zdrady i nie są moralnie akceptowane.

Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość również wpisywało się w ten nurt sposobu myślenia niepodległościowego. Dlatego, że jeśli typowy historyk doktryn politycznych, który bada konserwatyzm, liberalizm, narodową demokrację, weźmie do ręki materiały programowe Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, to powie, że tam nic nie ma. Tam jest zbiór haseł propagandowych, które mają być zrozumiałe dla każdego.

Pod względem logicznej konstrukcji nie ma tam nic wartościowego. I takie standardowe podejście, próbujące lokować dorobek Zrzeszenia na linii prawica – lewica, bądź w tradycyjnych, akademickich dziedzinach i systematyce, całkowicie będzie skutkowało utraceniem specyfiki i wartości tego dorobku. Musimy sobie uzmysłowić, że intelektualne zaplecze Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość miało charakter pewnego instrumentu i formy walki.

Jaka była sytuacja? Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość powstaje we wrześniu 1945 roku, kiedy już jest po konferencji jałtańskiej, czyli jeden główny i kluczowy determinant jest już określony. Drugi moment, to jest powstanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. I de facto, mamy sierpień–lipiec, i tworzenie się niezależnych struktur – partii politycznych opozycyjnych wobec komunistów, jak Polskie Stronnictwo Ludowe, jak Stronnictwo Pracy. Istnieje pewna otwarta gra również na polu międzynarodowym. Widać, że to co spajało dawną koalicję antyhitlerowską, czyli Niemcy, odchodzi już w przeszłość. Ten czynnik spajający zanika. I zaczyna się tworzyć nowa nadzieja, że w tych geopolitycznych płytach tektonicznych coś zacznie trzeszczeć i w związku z tym Polska będzie mogła ponownie zawalczyć o swój byt polityczny, mimo dość nieciekawej sytuacji międzynarodowej. Jest jeszcze jeden problem. Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość tworzyli dawni żołnierze Armii Krajowej. To byli ludzie, którzy przez 5 lat, po pierwsze – posługiwali się jedną formą. To była forma zbrojna bądź przygotowywanie się do czynu zbrojnego. Natomiast ten okres miał jeszcze jeden fundamentalny element. Był scentralizowany zarząd polityczny. Był rząd w Londynie. Mimo pewnych różnic, sporów i tarć między krajem a Londynem, był tą ostateczną instancją. Był w Londynie delegat do spraw kraju. I tak naprawdę cała linia polityczna była ustalana przez rząd na uchodźstwie. Natomiast po powstaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, po cofnięciu uznania rządowi londyńskiemu przez większość liczących się w tym czasie państw, dochodzi do sytuacji kompletnego zamętu.

Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość przede wszystkim koncentrowało się na tym, żeby spróbować Polakom wyjaśnić, na czym sytu-

acja polega. Oni doskonale definiowali swoje cele. To definiowanie celów nie jest widoczne w prasie WiN-owskiej, bądź w tych dokumentach programowych skierowanych do opinii publicznej, ale one są widoczne w wewnętrznych instrukcjach. Należy też zaznaczyć, że istnieje duża różnica pomiędzy tym komunikatem, który ze strony WiN-u był kierowany do opinii publicznej, a tym, jak między sobą oceniano, analizowano pewne sprawy. Wiedzano, że społeczeństwu pewnych rzeczy nie można powiedzieć. Tą rzeczą na przykład była zdrada aliantów. W żadnym dokumencie programowym nie będzie mowy o tym, że alianci, Anglosasi zdradzili Polskę. A pojawia się to w dokumentach wewnętrznych. Dlaczego? Bo mówienie Polakom tego faktu oczywistego, skutkowałoby tym, że wszelkie działania oporu tylko i wyłącznie mogłyby zostać podcięte. Widać tutaj strategiczny dobór argumentów.

W związku z tym w WiN-ie, w pierwszym okresie działalności istnieją nadzieje, że Jałta będzie zrealizowana. Bo Jałta dla większości liczących się działaczy politycznych była punktem odniesienia, nie okłamujmy się. To była kwestia utraty granic, ale przede wszystkim była nadzieja, że zostaną zorganizowane wolne wybory i że Zachód dopilnuje, że te wybory będą momentem, który pozwoli nam zawalczyć o podmiotowość. Dlatego w pierwszych dokumentach WiN-u z 1945 roku nie znajdziemy wprost wypowiedzianego postulatu niepodległości. Tam będzie walka o kwestie demokracji. Oni pisali, że przede wszystkim walczymy o to, żeby Polska była państwem demokratycznym. Dlaczego? Dlatego, że wiedzano, że komuniści nie mają zaplecza społecznego i walka na uczciwych zasadach demokratycznych będzie skutkowałą pokonaniem komunistów. Więc koncentrowano się na tym, że należy walczyć o demokrację. Demokracja, która tak samo, jak w przypadku tradycji niepodległościowej jest traktowana, w dużej mierze, jak element taktyczny.

Spójrzmy na Józefa Piłsudskiego na przełomie XIX i XX wieku – socjalizm jest dla niego pewnym programem taktycznym, który ma zadanie przede wszystkim zmobilizować masy. I dlatego, że on też nawiązuje do pewnych nurtów współczesnych.

Tak samo w doktrynie WiN-owskiej widzimy, że demokracja jest w pierwszym momencie taranem, za pomocą którego będziemy wносить inne treści. Natomiast w związku z zaostrzaniem się sytuacji w kraju, z podejmowaniem przez komunistów metod bardziej uwidaczniających ich prawdziwe cele, jak i również z coraz bardziej stagnacyjną albo niepewną sytuacją międzynarodową, WiN-owcy zaczynają już w roku 1946 głosić coraz głośniejszy postulat niepodległości. Tu już jest ten moment, że nie walczymy o demokrację, ale walczymy o niepodległość, bo ona jest zagrożona.

Głównym determinantem dla sprawy polskiej – z czego WiN-owcy sobie zdawali sprawę – była oczywiście przestrzeń międzynarodowa. Jeśli chodzi o Związek Radziecki, postulowano przede wszystkim to, co było po linii rządu emigracyjnego – przyjazne stosunki z Sowietami, ale pod warunkiem, że będą to stosunki na zasadach równych i że punktem wyjścia, jeśli chodzi o stosunki z Sowietami nie jest Jałta, nie jest 1945 rok, ale przede wszystkim 17 września 1939 roku. Jeśli ja mówiłem o zaakceptowaniu Jałty, to było to zaakceptowanie strategiczne, ale nigdy nie zaakceptowano jednego punktu! Nigdy nie napisano, że akceptujemy kwestie granic. To był punkt otwarty. Dlatego, że jeśli w memoriale Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość do Organizacji Narodów Zjednoczonych jest poruszana kwestia relacji z Sowietami, to ona odnosi się do całej relacji od 17 września 1939 roku.

Kilkukrotnie przynajmniej spotkałem się, że w latach 1945–1946 istnieje przekonanie, że oto mamy czas, że małe państwa przestają mieć znaczenie, bo wchodzimy w obszar kształtowania się wielkich bloków. Z jednej strony blok sowiecki, wielki, uniwersalistyczny, a z drugiej strony – różnie to definiowano – ale Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość wyraźnie wiązało ten drugi blok z Ameryką i ONZ. To znaczy, że ten przyszły ustrój rywalizacyjny opierałby się na dwóch strukturach. Z jednej strony federacja sowiecka, a z drugiej strony federacja ogólnosiwiatowa pod przywództwem amerykańskim. Pytanie kluczowe, z punktu widzenia sprawy polskiej, jest oczywiste: W którym bloku ma się Polska znaleźć? Zdecydowanie optowano, że Polska powinna zrobić wszystko, żeby się z naleźć w tym bloku anglo-amerykańskim. Anali-

zowano oczywiście kwestie sił i możliwości – która z tych stron wygra? I dość trzeźwo zauważano, że obóz anglosaski przynajmniej przez pewien czas ma przewagę w związku z posiadaniem broni atomowej. Natomiast siłą komunizmu, która miała równoważyć broń atomową, była ideologia komunistyczna. Oni uważali, że ideologia ma tak silne znaczenie, dlatego że jest w stanie nie tyle niszczyć kraj, co go przejmować od środka. W związku z tym, wskazywano bardzo często na rolę Kościoła, jako tego elementu, który miałby niwelować ideologiczne wpływy komunistów. Natomiast to co jest charakterystyczne, niezbyt optymistycznie spoglądano na przyszłość. Uznawano, że ta przewaga związana z atomem bloku anglosaskiego, będzie trwać gdzieś do roku 1950. Nie myłono się, bo w roku 1949 Związek Radziecki wyprodukował swoją własną broń atomową. Następnie, pomiędzy rokiem 1950 a 1955, zakładano, że nastąpi moment równowagi, a natomiast po roku 1955 zakładano, że jeżeli nie dojdzie do rozstrzygnięcia zbrojnego, to Sowiety w tym wyścigu zbrojeń będą posiadały fundamentalną przewagę. W którym kierunku to pójdzie? Nie wiadomo. I w związku z tym zakładano, że trzeba dostosować taktykę do poszczególnych etapów.

Jaka jest strategia WiN-u? Oni zdawali sobie sprawę, że Polska nie leży na przecięciu strategicznych interesów państw zachodnich. Wiedzieli, że nikt o Polskę nie będzie walczył.

Tak na marginesie, to jest również główna konstatacja takiego dokumentu, który Aleksander Bocheński – przeciwna strona i odmienny sposób myślenia niż Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość – sformułował w swoim sławnym i kontrowersyjnym memoriale z kwietnia 1945 roku, czyli kilka miesięcy przed powstaniem WiN. Mówił to samo – nikt nie będzie się bił o Polskę. Natomiast jego konstatacja była inna. Nie będzie konfliktu między dwoma blokami. O Polskę czy nie o Polskę, ten konflikt nie wybuchnie. W związku z tym przyjmował opcję ugodową. WiN-owcy szli w przeciwnym kierunku. To, co możemy zrobić, to działać na rzecz przyspieszenia wybuchu konfliktu międzynarodowego. Czy on wybuchnie o cokolwiek, ale musimy działać i być przygotowani, że on wybuchnie. I on musi wybuchnąć jak najszybciej.

Jeżeli do 1955 roku nic się nie stanie – i w tych wewnętrznych dokumentach WiN-owskich otwarcie się pisze o tym – to trzeba przybrać barwy ochronne. W momencie, kiedy nie ma żadnej realnej szansy na odzyskanie niepodległości, trzeba przybrać barwy ochronne. Co to znaczy? Myślę, że każdy tutaj z słuchających jest w stanie sobie dopowiedzieć.

Wskazywano na trzy główne cele w przestrzeni międzynarodowej. Po pierwsze – działanie na rzecz przyspieszenia konfliktu międzynarodowego. Co przez to rozumiano? Przede wszystkim, informowanie Zachodu o niebezpieczeństwie ze strony Sowietów. Pokazujemy, kim jest naprawdę Związek Radziecki. Drugi element, to kwestia w współpracy z krajami Międzymorza. Tego nie udało się jakoś specjalnie rozwinąć, poza pewnymi kontaktami z Ukraińcami, co też było wyciągnięte w procesach WiN-owskich, jako współpraca z Ukraińską Armią Powstańczą. I kolejnym punktem było podjęcie współpracy ze Stolicą Apostolską, w celu tworzenia najsilniejszego ośrodka ideologicznego, który jest w stanie zniwelować możliwości ideologii komunistycznej.

W 1948 roku, po wyborach i po procesie zjednoczeniowym PPS i PPR, podjęto decyzję, że należy minimalizować działania w kraju, natomiast należy maksymalizować działania za granicą. To świadczyło o tym, że ta cała kalkulacja WIN łączyła w sobie pewne elementy. Był pewien idealny cel, który należało osiągnąć i to był cel kluczowy, ale z drugiej strony dostrzegano jednak pragmatyzm środków. Działamy, ale nie walimy głową w mur i oceniamy sensowność tego działania. W przestrzeni krajowej, pod względem strategicznym, identyfikowano wrogów i przyjaciół sprawy niepodległości. Przede wszystkim należy zacząć od Polskiej Partii Robotniczej. I tu ocena była jednoznacznie negatywna. Komuniści nie stanowią w ogóle rdzennej partii polskiej. Nie mają żadnego zaplecza w społeczeństwie. Jedyną racją ich bytu są wojska sowieckie. W związku z tym, jest to główny, naczelny wróg.

Natomiast z punktu widzenia innych partii politycznych, zaczęto elastycznie podkreślać ich wagę bądź ich nieistotność czy nawet szkodliwość dla sprawy niepodległości. Oczywiście, mimo nieprzychylności do Rządu Jedności Narodowej, który był etapem do tego, żeby Polska

straciła niepodległość, akceptowano Mikołajczyka. Uważano go za najsilniejszy polski oddolny ruch i siłę, która jest w stanie przeciwstawić się komunistom. Do momentu wyborów automatycznie, przez cały czas, grano na PSL i starano się od tej strony organizacyjnej, jak i propagandowej, zabezpieczyć działanie Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Ze Stronnictwem Pracy, do momentu, kiedy to było Stronnictwo Pracy Karola Popiela. Potem całkowicie wykreślono je ze strategii.

Duży problem był z Polską Partią Socjalistyczną, która przecież weszła z komunistami do jednego bloku i była partią, która w dużym stopniu legitymizowała działania rządu. I w zależności od czasu widzimy różne podejścia. Pierwsze podejście – „gramy na PSL”. Natomiast w momencie, kiedy PSL wypada z gry, jest próba grania na sentymentach polskich socjalistów i próby pokazania im, że istnieje inna tradycja. Że prawdziwy polski socjalizm polega na czymś innym. Nie tylko na służebnym podejściu i wykonywaniu poleceń. Widzimy, że wraz z pogarszaniem się sytuacji w kraju jest zmiana sojuszników. Wypada PSL, jest gra na PPS, przede wszystkim po to, żeby spróbować zachować, czy wspierać, te tendencje przeciw zjednoczeniu. Zresztą w 1948 roku jest wydany ten słynny list do polskich socjalistów, który mówi, że prawdziwą tradycją PPS jest tradycja niepokory, konspiracji i walki, a nie wykonywanie poleceń z innych ośrodków decyzyjnych.

W stosunku do podziemia widzimy dwa zjawiska. Jest duża chęć współpracy ze Stronnictwem Narodowym, która w szczególności ujawnia się w momencie prezesury Kwiecińskiego.

Na marginesie – widzimy, że każdy zarząd WiN-u był pod kątem orientacji politycznej nieco inny. Pierwszy zarząd, w który działał Rzepecki jest zarządem lewicującym. Następnie zarząd Kwiecińskiego ma tendencje, żeby współpracować z narodowcami, natomiast zarząd Niepokólczyckiego ma jednak bardziej proveniencję ludową. Ale nie ma to większego znaczenia, bo tutaj nie tymi kryteriami się kierowano.

Więc jest chęć współpracy ze Stronnictwem Narodowym, natomiast krytycznie się odnoszono do działań Narodowych Sił Zbrojnych. Było to związane z dwoma elementami.

Pierwszy element był taki, że przynajmniej w obszarze teoretycz-

nym negowano szanse, sensowność prowadzenia walki zbrojnej. WiN w pewnym momencie podejmował pewną koordynację działań zbrojnych na zasadzie samoobrony, bądź też na zasadzie konieczności. Pojawiały się pewne oddziały i większe zgrupowania partyzanckie, które potrzebowały jakiegoś patronatu politycznego. Więc ta współpraca była, natomiast była współpracą wymuszoną, wbrew założeniom ideowym WiN-u. Bo WiN od samego początku mówił, że walka zbrojna się skończyła na ten moment. Należy podjąć przede wszystkim działania na przestrzeni polityczno-propagandowej. I tu jest element napięcia z NZS. Mówiono też, że walka zbrojna w tym momencie jest niewłaściwa, bo uzasadnia w oczach Zachodu interwencję i działania Sowietów, jako działania na zapleczu frontu. Politycznie walka zbrojna jest kontrskuteczna dla naszego celu.

I drugi element, który jest dla nas ważny, to kwestia rywalizacji WiN-u i NZS o uznanie ze strony ośrodków emigracyjnych. Należy pamiętać, że została przecięta ta więź, która była pomiędzy Londynem a krajem do roku 1945. Nie było jednolitej koordynacji i była pewna dezorientacja w Londynie, i w kraju też. Poszczególne ośrodki zaczynały szukać partnera, z którym mogłyby się porozumieć. Na tym tle nastąpiła rywalizacja. WiN ma swoją delegaturę zagraniczną i przez cały czas próbuje zyskać ze strony rządu londyńskiego uznanie, dlatego że WiN jest kontynuatorką Armii Krajowej i istnieje pewien stan polityczny, tak jak istniał podczas okupacji niemieckiej: jest jedno przedstawicielstwo krajowe i jedno przedstawicielstwo zagraniczne i one działają ze sobą w porozumieniu. Tutaj to nie następuje. W związku z tym występuje duży krytycyzm w ramach WiN-u – w szczególności w zarządzie Cieplińskiego – w stosunku do Rządu Londyńskiego. Uznaje się go za reakcyjną strukturę, która jest kompletnie odrealniona od sytuacji międzynarodowych i nie rozumie warunków, które określają sytuację polityczną. W WiN-ie pojawia się pomysł, że teraz my sobie stworzymy własną reprezentację autentycznej sprawy polskiej na Zachodzie. Poza Rządem Londyńskim. To się nie udaje, w związku z rozbiem emigracji. Natomiast dochodzi do prób współdziałania z ruchem Niepodległość i Demokracja niejakiego Rowmunda Piłsudskiego, który

właśnie też próbował stworzyć coś obok rządu londyńskiego. W późniejszym czasie przyjęto tezę, że rząd londyński jest ważny, ale tylko jako element symboliczny. Natomiast całkowicie nie ma żadnej mocy decyzyjnej w stosunku do strategii kraju. Uznawano sensowność istnienia tych dawnych struktur, ale tylko i wyłącznie jako pewnego koordynatora. W ostatniej fazie Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, dochodzi do prób zbliżenia z ośrodkiem prezydenckim w 1947, przyjmując zasadę bardziej subsydiarności, a nie decyzyjności Rządu Londyńskiego. Natomiast nigdy nie zostało to spożytkowane ani nie przekuło się na jakieś konkretne decyzje, dlatego że Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość z końcem 1947 roku prawie w ogóle zamarło.

Skoncentrujmy się na ostatnim elemencie, to znaczy na pewnych instrumentach i sposobach działania politycznego. Jak już sobie powiedzieliśmy, przede wszystkim – odrzucenie walki zbrojnej. Ona była podejmowana tylko i wyłącznie z konieczności. Głównym instrumentem była akcja propagandowa i uświadamiania społeczeństwu właściwego obrazu sytuacji. Dlatego, że jeśli sobie zobaczymy, jak wyglądała sprawa w latach 40., to kwestia propagandy jest tu kluczowa. Dopóki nie była rozstrzygnięta sprawa niemiecka, to taktyka komunistów była kombinowaniem terroru i wszystkich instrumentów przymusu bezpośredniego, łącznie z elementami politycznymi. Wiedzieli, że nie można przeprowadzać od razu kolektywizacji, czy to w przestrzeni przemysłu, czy rolnictwa. Już nie mówiąc o całej sferze symboliki. Przytoczę tutaj fakt, zapewne znany, że członkowie Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, bili skazywani przed sądem, a na stole był krzyż. Komuniści przybierali skuteczną strategię maskowania swoich realnych działań. Pokazywali, że oni są ruchem autentycznie polskim. Że oni będą odbudowywać kraj, w przeciwieństwie do sanacji, która miała zgubić Rzeczpospolitą. WiN, przede wszystkim, koncentrował się na tym, żeby uświadamiać społeczeństwo, jak sprawa wygląda. Miano w perspektywie jednak kwestię wyborów. Nikt nie mógł przewidzieć, jak naprawdę te wybory będą wyglądać. Więc cały czas grano, przede wszystkim, na świadomość zagrożenia.

Podjmowano trzy kierunki. Przede wszystkim stwierdzano, że

należy omawiać – i to jest widoczne w prasie WiN-owskiej – sytuację strategiczną i wskazywać, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. To jest moment wielkiego zamętu. Powstaje jedno Stronnictwo Pracy, potem drugie Stronnictwo Pracy. Komuniści stosują szereg metod podszywania się pod stare szyldy. Więc taka działalność orientacyjna była tu niezwykle ważna. Drugim elementem było demaskowanie rozbieżności między teorią a praktyką komunistów. Duża część artykułów pokazuje, że komuniści mówią co innego, a robią co innego. Trzeci element związany był z pokazywaniem swojego alternatywnego programu materialnego, innego niż komunistyczna wizja Polski. Dość sprytnie kombinowano różne elementy ideologiczne i, na dobrą sprawę, ten program jest mocno propagandowy, syntetyczny i ogólnikowy. Padają stwierdzenia, że będziemy czerpać ze wszystkich polskich nurtów ideowych: z socjalizmu PPS, z agraryzmu PSL, z nacjonalizmu Stronnictwa Narodowego i oczywiście z chrześcijańskiej perspektywy Stronnictwa Pracy. W momencie walki jest to konieczny element. Nie daj Bóg, żeby to trzeba było realizować w rzeczywistości! Jest to coś nie do osiągnięcia! W całym tym programie widać, że to jest kombinowanie różnych elementów, które mają tworzyć ładną wizję, ale nie do końca skuteczną. Proponowano z jednej strony silny ustrój demokratyczny, w wersji, bądź co bądź, prezydenckiej. Natomiast to, co jest również charakterystyczne dla tamtych czasów, uważano, że jest konieczne zachowanie własności prywatnej, ale pod warunkiem centralnego planowania. To są pomysły, które pojawiały się w koncepcji Stronnictwa Pracy i u niejakiego Kazimierza Studentowicza. Postulowano również zrealizowanie pewnych elementów socjalistycznych: dopuszczenie robotników do udziałów w zyskach przedsiębiorstwa i oczywiście, z automatu niejako, brano za swoje wszystkie postulaty programowe PSL. Jeśli uzmysłowimy sobie specyfikę tej myśli, to możemy odpowiednio spojrzeć na ten program materialny – nie oceniać go, że nie jest prze-myślany, nieskoordynowany. On taki nie ma być. Jego funkcje są inne.

W temacie podnoszonym przez Mirka Lewandowskiego – kwestii WiN-KPN – są przynajmniej dwie opcje wskazania wzajemnych powiązań. Jedna to jest opcja bardzo ścisła. Wskazanie opcji, że istnieje

pewien personalny przekaz. Pewna kontynuacja. Na zasadzie po prostu pewnych spotkań i przekazywania pewnego sposobu myślenia. I to jest kwestia Muzyczki, przede wszystkim. A druga możliwość, to że obie formacje płyną w tym samym nurcie i niezależnie od tego, w którym momencie się pojawiają, będą zawsze powielały pewne schematy. Szczególnie w pewnych okolicznościach historycznych w Polsce. W warunkach niewoli będzie się odnawiał pewien sposób myślenia i on będzie kluczowy i fundamentalny.

To tyle. Przede wszystkim odsyłam do głębszego uzasadnienia i bardziej szczegółowej analizy mojego artykułu. Jeśli są jakieś pytania, to postaram się wyjaśnić na tyle, na ile będzie to możliwe. Zaznaczam jednak, że jestem historykiem myśli politycznej, a nie historykiem. Więc to spojrzenie na WiN jest związane z tą perspektywą.

DYSKUSJA

Dyskusję po referacie dr Macieja Zakrzewskiego prowadził Michał Janiszewski.



Mirosław Lewandowski:

Przed wszystkim chcę podziękować Maciejowi Zakrzewskiemu za ten, dla mnie, fascynujący referat. Słuchałem tego z wielką uwagą i notowałem, gdyż próbowałem to konfrontować z tymi ustaleniami, które wyszły mi przy analizie działań Ludwika Muzyczki i Kazimierza Pluty-Czachowskiego. W wielu miejscach zauważyłem bardzo ciekawe zbieżności. Przy drugim wydaniu książki chciałbym wykorzystać niektóre rzeczy, o których Maciek mówił. Będę trochę komentował, ale potem będę też mieć do pytania.

Pierwsza rzecz, na którą chciałbym zwrócić uwagę, że działalność WiN-u przez te kilka lat od września 1945 roku, to był przede wszystkim ogromny wysiłek intelektualny. Tu można by powiedzieć, że mamy znów te dwie drogi. Mamy tak zwanych Żołnierzy Wyklętych (to często się przenikało, mam świadomość, że upraszczam), a więc – wysiłek zbrojny i osobiste poświęcenie, zaangażowanie na granicy życia i śmierci. A z drugiej strony mamy ludzi, którzy wywodzą się z kierownictwa Armii Krajowej – mówię tu o pierwszym zarządzie WiN-u zwłaszcza, bo myślę, że on w ogóle nadał całe piętno tej organizacji. A pierwszy zarząd WiN-u to Rzepecki, ale również, a z naszego punktu widzenia przede wszystkim, Ludwik Muzyczka – z punktu widzenia ideowego jego rola była tam bardzo istotna, zarówno w pierwszym zarządzie WiN-u, jak i w tym nurcie niepodległościowym, który funkcjonował po roku 1956. Po tej stronie mamy olbrzymi wysiłek intelektualny, żeby znaleźć jakieś sposoby prowadzenia walki o niepodległość w tej arcytrudnej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska. „Nie chcemy oddać życia dla Polski, ale chcemy, żeby Polska w tych skomplikowanych warunkach mogła odzyskać niepodległość. Chcemy znaleźć jakąś drogę ku temu”.

Z wielką przyjemnością słuchałem tego, co mówiłeś, że Polska przez 120 lat niewoli wykształciła ten unikalny na skalę europejską sposób myślenia i argumentowania, co wiąże się z działalnością nurtu niepodległościowego. To bardzo ładnie koresponduje z tym, co mówił Leszek Moczulski w książce Marcina Furdyny i Marka Rodzika, że nasz oryginalny polski wkład w dzieło myśli europejskiej to są te dwie rzeczy. To znaczy koncepcja liberalnego, wolnościowego, demokratycznego państwa, Rzeczypospolitej wielu narodów oraz nasza myśl niepodległościowa. Bardzo ważne moim zdaniem, na co zwróciłeś uwagę, jest to, co my uważamy w naszej historii za oczywiste. Że Polacy mają pewną skłonność do konspirowania i działań na rzecz niepodległości, a w historii innych narodów wcale ta skłonność nie jest widoczna i te działania, które dla nas są oczywiste, dla nich tak oczywiste nie są.

Teraz kwestia walki zbrojnej. To bardzo ciekawe, o czym mówiłeś, że to już na początkowym etapie WiN-u zostało odrzucone. Tu widać

jeszcze mocniej tę opozycję do Żołnierzy Wyklętych. Jeżeli byśmy traktowali, że jakaś część Żołnierzy Wyklętych prowadziła walkę zbrojną, bo uważała że walka zbrojna jest jakimś rozwiązaniem, to – moim zdaniem – główny nurt Żołnierzy Wyklętych, to byli ci, którzy traktowali walkę zbrojną jedynie jako formę samoobrony. Jako konieczność, wymuszoną przez okoliczności zewnętrzne a nie jako wybór pewnego narzędzia działania politycznego, niepodległościowego (a tak to niestety teraz jest postrzegane).

Z tego punktu widzenia – nawiązuję do tego, co mówił Leszek Moczulski – ten problem walki zbrojnej wrócił w latach 60. w środowisku góry akowskiej. I wtedy Pluta został przekonany do rezygnacji z tej koncepcji.

Będziemy mieli potem kontynuację tego w dokumentach KPN. Tam jest takie stwierdzenie, przed Sierpniem, że na obecnym etapie nie wyrzekamy się żadnej formy walki, ale uważamy, że walka bez przemocy ma priorytet. Więc tutaj KPN przejął ten sposób myślenia, ale pozostawił sobie pewną furtkę, że być może będzie trzeba inaczej.

Chciałbym bardzo mocno tu podkreślić, w kontekście działań „Ruchu”, o których mówiliśmy wczoraj (czy dzisiaj nad ranem), tj. w kontekście próby wysadzenia muzeum w Poroninie, czy też w kontekście myślenia insurekcyjnego, które bardziej hasłowo niż jako koncepcja jest widoczne w myśli Solidarności Walczącej (oni twierdzą, że jeszcze w roku 1989 o tym myśleli).

WiN a KPN. Mówiłeś, że jest możliwe, że KPN wchodzi w te same koleiny myślenia, że to nie musi wynikać z kontynuacji personalnej czy świadomego wyboru, tylko po prostu może być konsekwencją tego, że jesteśmy w tym samym nurcie. Myślę, że tych zależności między KPN a WiN-em jest tak dużo i one są tak głębokie, że nie mamy powodu nie wierzyć – nie mówię już o aktach SB, które poniekąd na to wskazują – ale żeby nie wierzyć świadectwu Leszka Moczulskiego. On mówi: „Ja z nimi rozmawiałem i w toku wieloletnich rozmów z nimi, moje koncepcje się kształtowały” (przy czym chodziło bardziej o rozmowy z Plutą, a nie z Muzyczką).

Maciej Zakrzewski:

Ja może wejdę w słowo. To o wiele wyraźniej jest widoczne, nie tyle w przypadku KPN, co w przypadku Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Dlatego że wtedy widzimy, że jest zagranie na kwestie ideologiczne, które są chwytliwe na Zachodzie. Działamy niejako ze względu na międzynarodową opinię publiczną. Na krajową też, ale ten kontekst międzynarodowy jest tutaj kluczowy. Wyrzekamy się pewnych instrumentów i gramy pewną rolę tylko po to, żeby móc za jej pomocą coś przetransportować. W Ruchu Obrony to jest bardzo widoczne – takie strategiczne wkomponowanie się w kontekst międzynarodowy i wykorzystanie instrumentalnie pewnych haseł (bo przecież zawsze chodziło o niepodległość). Konfederacja Polski Niepodległej także szła takim nurtem, że kontekst międzynarodowy jest rozpatrywany, natomiast już nie próbuje się do niego dopasować. Tu jest takie ewidentnie podejsście, że jest pewna fala, na którą można wskoczyć.

Mirosław Lewandowski:

To jest bardzo ciekawe, o czym mówisz, że w Ruchu Obrony jest to mocniej widoczne, z tego względu, że koncepcja Ruchu Obrony – co też jest chyba jest mało znane – to jest koncepcja, którą moim zdaniem wymyślił przede wszystkim Rybicki. To był jego pomysł. On od co najmniej połowy 1975 roku myślał, żeby stworzyć Komitet Obrony Praw Człowieka. To było zresztą bardzo zaawansowane myślenie. I gdyby nie to, że Macierewicz wywinął im numer, gdy Michnik był za granicą a Kuroń został powołany do wojska, to nie byłoby KOR-u, ale KOPC. Jak wiemy, Macierewicz pod wpływem pewnego impulsu założył KOR, ale cały czas oni przygotowywali KOPCiA. I potem jak już działał Ruch Obrony, to Rybicki miał pretensje, że to jego dziecko zostało mu zabrane. A Rybicki to jest także WiN. Więc on nam trochę ginie w tym naszym myśleniu, bo nie będzie temu poświęconego Rybickiemu.

Piotr Wójcik:

Nie wiadomo.

Mirosław Lewandowski:

Wydaje mi się, że nie.

Piotr Wójcik:

Zgódźmy się co do tego, że powinien być.

Mirosław Lewandowski:

Zgódźmy się co do tego, że nie należy nie doceniać roli Rybickiego w całym tym sposobie myślenia. Obok – oczywiście – Muzyczki. Z Plutą Rybicki był skłócony, natomiast z Muzyczką to byli bliscy przyjaciele. To był, można powiedzieć, brat bliźniak Muzyczki. Tyle samo dostali w pierwszym procesie WiN-u (więcej niż Rzepecki), tyle samo siedzieli. Bardzo podobna była droga i sposób myślenia Rybickiego i Muzyczki. Więc ta walka zbrojna i przejście do Ruchu Obrony, to rzeczywiście jest niesłychanie ciekawe.

Kwestia granic. Jeśli dobrze zrozumiałem, WiN nie wypowiadał się akceptująco o nowych granicach...

Maciej Zakrzewski:

... wschodnich.

Mirosław Lewandowski:

To jest bardzo ciekawe, bo tu widać że Konfederacja poszła dalej. Jest taki dokument Rady Politycznej (i to już z 1980 roku) dotyczący niepodległości Ukrainy i tam jest bardzo wyraźnie powiedziane, że Lwów jest ich, a nie nasz. Także tutaj, można powiedzieć, jest też ciągłość, bo też jest dostrzeżony ten problem. Jednym słowem, to co mówiłeś, uświadomiło mi, że o ile kwestii granic, to poza jakimiś narodowymi środowiskami, teraz nikt poważny nie próbuje podnosić, o tyle w 1945, w 1946, czy w 1947 roku, to była kwestia otwarta.

Maciej Zakrzewski:

Ja może przytoczę. To jest ujęte w ten sposób, że „nie zgadzamy się na ustalenie granicy wschodniej w taki sposób, w jaki została ustalona”.

Bo istniała świadomość, że coś trzeba będzie dać, że istnieje ograniczone pole manewru. Natomiast odrzucano sposób taki, że bez nas coś ustalono, de facto negując te ustalenia.

Bohdan Urbankowski:

Proponuję, żeby referent notował nasze pytania i pomijał nasze wyznania wiary i opowieści o własnej twórczości, a potem syntetycznie odpowiadał. Bo w niektórych naszych wypowiedziach będą się powtarzały problemy bądź opowieści o własnej młodości, która przecież jest wspólna.

Mirosław Lewandowski:

Jeszcze trzy rzeczy. Cały czas, nie ukrywam, od wielu lat – Maciek Gawlikowski nie może już tego słuchać – podkreślam, że kopernikańskim zwrotem w myśleniu niepodległościowym, które teoretycznie zaczyna się od Tadeusza Kościuszki, jest odejście od koncepcji walki zbrojnej. Jeszcze proszę zwrócić uwagę, jak myśmy działali w KPN w latach 80. Chociaż był przecież program „Rewolucja bez rewolucji”, to dla każdego, kto nas słuchał, gdy mówiliśmy o niepodległości, odpowiedź była jedna – „oni chcą walki zbrojnej”. Myślę, że kwestia odzyskania niepodległości i walka zbrojna były postrzegane jako jedność. W którymś momencie nastąpiło odejście. Wymyślono, w ramach tego olbrzymiego wysiłku intelektualnego, że można prowadzić walkę o niepodległość, ale odejść od walki zbrojnej. Nie dlatego, że się boimy, ale dlatego, że technika wojskowa poszła tak daleko, że nie mamy żadnych szans. Zwracam uwagę, że już w czasie drugiej wojny światowej to myślenie było bardzo silne i z tego powodu zakładano, że żadne powszechne powstanie na ziemiach polskich nie wybuchnie, póki tutaj front nie przyjdzie. Była ta koncepcja, którą potem komuniści zwulgaryzowali, stania z bronią u nogi. Armia Krajowa nie zakładała podejmowania działań zbrojnych w okresie, kiedy front był daleko, bo nie miałaby żadnych szans w tej konfrontacji. To była podobna sytuacja jak w roku 1945. I wydawało mi się cały czas, że ten kopernikański zwrot zawdzięczamy Moczulskiemu. Ale teraz, zwłaszcza po wysłuchaniu twojego

referatu, mam świadomość, że to jest bardzo istotny zwrot myśli niepodległościowej, który został dokonany, ale za sprawą WiN-u. Bo to oni na to wpadli! Oni to bardzo mocno podkreślili; sądzę, że tutaj rola Muzyczki była istotna – „rezygnujemy z walki zbrojnej, prowadzimy działania metodą polityczną”. To jest również krytyka oddziałów, które podejmują walkę zbrojną. „Szukamy takiej płaszczyzny walki, na której mamy szansę odnieść zwycięstwo”. Myślę, że ten sposób myślenia pojawił się po raz pierwszy w WiN-ie, potem był kontynuowany w KPN-ie i taką płaszczyznę walki WiN wskazał, chociaż na tej płaszczyźnie zwycięstwa nie odniósł. Natomiast potem KPN tą drogą poszedł i ta droga okazała się skuteczna.

Teraz chcę się odnieść do kwestii Jałty. WiN bardzo mocno podkreślał, że trzeba zrealizować postulaty postawione w Jałcie. Jakby nie dostrzegał, że Jałta miała to drugie dno. To, co mówimy, że tam była milcząca zgoda Zachodu na sowietyzację Polski. Nie bez kozery układ po drugiej wojnie nazywa się systemem jałtańskim. Jałta jest symbolem podziału świata i zgody Zachodu na ten podział. Ale w WiN-ie widzimy takie myślenie, że próbujemy udawać, że nie rozumiemy, na co się Zachód zgodził w Jałcie, traktujemy te oficjalne deklaracje za dobrą monetę i żądamy, żeby świat – bo pewnie adresatem byli nie tylko Sowietci, ale także Zachód – dotrzymał nie ducha, a litery Jałty. Żeby doszło w Polsce do demokratycznych wyborów. I potem KPN tę ideę podejmuje. Bardzo wyraźnie to jest w 1985 roku, kiedy Rada Polityczna uchwaliła Memorandum Jałtańskie. Przy czym, zwracam uwagę, że po uchwaleniu tego dokumentu oni wszyscy poszli siedzieć (stąd drugi proces KPN), poza Pęgielem i Łenykiem. Podchwycił to – nie wiem na ile było to skoordynowane – Reagan, który również mówił do Gorbaczowa: „Niech pan dotrzyma tego, do czego zobowiązał się Stalin w Jałcie”. I nagle okazało się, że Jałta, która cały czas uchodziła za symbol podziału Europy i zdrady Zachodu, stała się w polityce międzynarodowej narzędziem walki politycznej o odzyskanie przez Polskę niepodległości. Zresztą, ciągle podkreślam za Leszkiem Moczulskim, że właśnie w ten sposób Polska niepodległość odzyskała. Były częściowo wolne wybory w roku 1989, potem wolne wybory prezydenckie

w 1990 roku i parlamentarne w 1991 roku. To, do czego się Stalin i Zachód zobowiązali w Jałcie, prawie 50 lat później zostało zrealizowane. I tą drogą Polska odzyskała niepodległość. W ten sposób koncepcja WiN-u – odrzucenia walki zbrojnej i wyboru tej drogi politycznej – okazała się skuteczna. Choć był to długi marsz.

Przedostatnia rzecz, na którą chciałbym zwrócić uwagę, to stosunek do rządu londyńskiego. Bardzo ciekawie opowiadałeś, że WiN próbował, kombinował, potem się cofali... W środowisku Muzyczki i Pluty po 1956 roku nie było wątpliwości, że rząd londyński się nie liczy. Muzyczka i Pluta bardzo mocno akcentują, że sprawy kraju rozstrzygają się w kraju. Pamiętajmy, że w 1945 roku oni wszyscy siedzą w oflagu, który wyzwalają Amerykanie. I mają dylemat: „Wracać, czy wybrać emigrację?”. Bór, Pełczyński, Iranek wybrali emigrację. Muzyczka cały czas – zdaje się, że tam traktowano to jako zarzut wobec niego – namawiał, aby wracać. Ale potem, jak znalazłem różne jego wypowiedzi, on podkreślał, że tego nie żałuje. „Wróciłem, odsiedziałem, jestem tu. I ja współdecyduję. A oni zostali tam i się nie liczą”. „Warto było siedzieć, bo dzięki temu, że odsiedziałem, mam prawo teraz decydować. A oni zostali wypchnięci na margines historii. Oni się nie liczą”. I to również jest widoczne w myśleniu KPN-owskim. KPN rozmawiała z tymi ośrodkami emigracyjnymi. Były jakieś próby, niespecjalnie udane, bo środowisko w Londynie było KPN-owi niechętnie. Lepsze relacje mieli z Kanadą. Ale do samego końca KPN podkreślała, że w ogóle nie wywoziła swojej legitymacji do Londynu. To było widoczne w roku 1990, gdzie powstał spór z Szeremietiewem, z PPN-em i z Federacją Młodzieży Walczącej, gdyż oni próbowali ten rząd londyński reaktywować. W KPN-ie była świadoma, celowa kontynuacja tego, co głosił WiN, a potem Muzyczka i Pluta – „Sprawy kraju decydują się w kraju. Ich autorytet odrzucamy. Nie mamy powodu ich słuchać. Oni nie mają prawa nam rozkazywać. My decydujemy sami”.

I ostatnia rzecz. Prośba o rozwinięcie tej kwestii. Pamiętam naszą zeszłoroczną dyskusję w kuluarach o republikańskości i o demokracji. Powiedziałeś, o tym, że postulat demokratyczny był w myśleniu WiN-u postulatem taktycznym. Zapewne tak było. Ja myślę, że

i w KPN-ie na II Kongresie w 1985 roku jakieś postulaty demokratyczne, które zgłosił Rysiek Bocian (potem się z tego wytworzyła frakcja demokratyczna KPN), to to chyba też było trochę taktyczne. Natomiast to, co jest nietaktyczne, ale jest jakby jądrem tego nurtu, poczynając od Kościuszki (bo przecież Kościuszko wziął to z wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych o co walczy cały naród) to duch republikańskości. Duch, zresztą widoczny w historii USA i rodzącej się tradycji amerykańskiej, ale duch pasujący także do naszej tradycji Rzeczypospolitej, która formalnie była monarchią, a w istocie była dobrem wspólnym całego narodu szlacheckiego. Otóż jest to bardzo widoczne w tekście Muzyczki i Pluty *Prawda i nieprawda o Armii Krajowej*. Oni nie posługują się pojęciem „republikańskość”, ale według mnie pojęciem tożsamym, czyli „obywatelskość”. Oni mówią tak: Armia Krajowa była ruchem obywatelskim, czyli ruchem całego narodu, który traktuje państwo jako dobro wspólne i dlatego jednoczy się i podejmuje pewne działania, żeby odzyskać niepodległość. To zresztą nam uświadamia, że czymś takim była także KPN. Kiedy pisaliśmy z Maćkiem książkę *Gaz na ulicach*, zauważyliśmy następującą rzecz. Analizowaliśmy strukturę społeczną krakowskiej Konfederacji w roku 1982. I była ona zupełnie inna niż jakiegokolwiek innej organizacji opozycyjnej. Nawet „Solidarność”, gdzie jednak ten komponent robotniczy był dominujący, a inteligenci byli raczej na zasadzie doradców niż kierujących. Natomiast w krakowskiej KPN, co jest charakterystyczne, mamy wszystkie grupy i klasy społeczne. Mamy uczniów, studentów, inteligencję, ludzi wywodzących się z AK, z PZPR, a czasami z jednego i drugiego. Rzeczywiście ta konfederackość, obywatelskość to nie jest element taktyczny, tylko jest to jądro tego sposobu myślenia, który wykształciła Polska na przestrzeni tych 123 lat niewoli. Właśnie konfederackość, republikańskość, obywatelskość, z tego ducha to się wywodzi. I potem ma to pewne znaczenie programowe. Muzyczka mówił, że skoro jesteśmy ruchem obywatelskim, to ma to pewne przełożenie na nasz program. Nasz program nie może być w interesie jednej grupy czy klasy społecznej, tylko jest takie myślenie, żeby interesy wszystkich obywateli, którzy troszczą się

o dobro wspólne, w ramach tego państwa zostały potem zrealizowane. Pamiętam naszą rozmowę i chciałbym cię prosić, żebyś rozwinął tę koncepcję republikańskości. Różnice między duchem republikańskim a demokracją. Czy zgadzasz się, że duch republikański jest solą tego myślenia niepodległościowego, wypracowanego przez te nie tylko 123 lata, ale i później.

Bohdan Urbankowski:

Mój przedmówca wybrał wspinałą taktykę pochwały. Mianowicie dzielił każdy człon swojej wypowiedzi na wyrazy szacunku, a potem już mówił swoje. W następnym punkcie znów powielał tę taktykę. Chcę to jeszcze usprawnić. Więc proszę przyjąć wszystkie wyrazy szacunku i podziwu dla pana referatu, zdolności, wiedzy jako wstęp do wszystkiego, co potem będę mówił na ten temat.

Pierwsza sprawa to takie dwa drobiazgi. Chyba nie Macierewicz wywinął ten numer w 1976 roku, a robotnicy. Potem dołączyli do tego harcerze zupełnie spontanicznie, a także i część inteligencji, aktorzy...

Sprawa Kościuszki. Proszę pamiętać, że w pewnym momencie dochodzi nieomal do jakiegoś wewnętrznego, może nie puczu, ale porozumienia między Kościuszką a generałem Dąbrowskim, które to porozumienie ma w gruncie rzeczy charakter antynapoleoński. Dlatego Kościuszko nie włącza się w te wszystkie prace i uważa – zresztą to samo uważał Dąbrowski – że mianowanie księcia Poniatowskiego to jest wręcz policzek, bo każdy uważał się do tego bardziej predestynowany.

Tyle drobiazgów.

Natomiast pytanie do pana, które za chwilę podeprę argumentami. WiN, a oddziały wojskowe, które wtedy walczyły. Jakie są? Kto walczy? Skąd się wywodzą? Bo wydaje mi się, że robimy tu uproszczenie. Mianowicie przeciwstawiamy, zupełnie niepotrzebnie, Armię Krajową czy też oddziały poakowskie Narodowym Siłom Zbrojnym, czy też jak się powszechnie ostatnio mówi, Żołnierzom Wyklętym. Dlatego, że większość tych Żołnierzy Wyklętych to są akowcy. Akowcy, którzy przetrwali w lesie i walczą dalej. A moje pytanie jest o zweryfikowanie tej sugestii.

Jeszcze z jedną rzeczą bym się nie zgadzał. Mianowicie, wysiłek intelektualny WiN-u. Tu myślę, że nie było tego wysiłku, bo nie było intelektualistów. Po prostu intelektualisci byli albo wymordowani, albo byli na emigracji, albo część z nich, nawet tej klasy jak Dobraczyński, Gołubiew, Bocheński, jeszcze paru innych... Oni wszyscy znaleźli się w „Dziś i Jutro”, czyli późniejszym PAX-ie. I tam coś próbowali robić. Próbuje robić coś Partia Pracy, tylko co chwilę ich, jak nie jednych to drugich, aresztują. I po tej stronie, moim zdaniem, niczego nowatorskiego nie ma. Ale jeżeli są jakieś nowatorskie koncepcje, a ja je przeczyłem, to bardzo proszę o przypomnienie.

Kwestia ostatnia. Tutaj znów zostało powiedziane, że nastąpił w pewnym momencie zwrot myślenia. To często pojawia się w formie sloganu. Nie chcemy życia, tylko chcemy pracować. Nie sztuka umrzeć dla ojczyzny, tylko sztuka fabrykę wybudować czy szkołę na tysiąclecie. I chcę tu wskazać na pewne niebezpieczeństwo. Otóż w czasie procesu Eichmanna był ten wątek zdrady Żydów. Że byli kapo, że byli w żydowskim Gestapo. I postanowiono nie robić dalej rozrachunku. Uznano, że jeżeli oni to robią dla ocalenia własnego życia, to mają rację. I w tym momencie się usprawiedliwia właściwie wszystko. Że ktoś zostaje kapo, że jest Sonderkommando i jeden Żyd pali drugiego Żyda. Inaczej mówiąc, jest to bardzo duże niebezpieczeństwo. A przypominę, że sukcesy naszej cywilizacji łacińskiej, naszej religii chrześcijańskiej, wtedy były odnoszone, gdy wartość samego życia, przeżycia, stała niżej niż te wartości kulturowe. To w tej chwili jest siłą napędu islamu. Dla nich nie jest ważne „umrę – nie umrę”. To jest dżihad. A to samo myśmy robili, idąc krucjatami na Jerozolimę. Tyle.

Maciej Gawlikowski:

Jeżeli można, jedno zdanie odnośnie do 1976 roku. Oczywiście, czerwiec 1976 przyspieszył tę sprawę, ale wcale nie jest powiedziane, że pomoc, nawet świetnie zorganizowana, dla robotników, musi skończyć się na zinstytucjonalizowanej opozycji, zwłaszcza w formie takiego ruchu. Wewnątrz samego KOR-u była bardzo mocna opcja, żeby tego nie formalizować. A jeśli formalizować to ograniczać się wyłącznie do...

Bohdan Urbankowski:

Ale mówisz o KOR-ze przed KOR-em.

Maciej Gawlikowski:

Tak. Mówiąc o ludziach KOR-u.

Bohdan Urbankowski:

Ale wcześniej byli aktorzy teatru kieleckiego, którzy jeździli do Radomia, wcześniej byli harcerze z Warszawy, którzy jeździli do Radomia. To są jeszcze struktury przedkorowskie.

Maciej Gawlikowski:

Tak, tylko te wszystkie wydarzenia, ta pomoc, niekoniecznie musiała skończyć się powstaniem Komitetu.

Bohdan Urbankowski:

Mogła się i zakończyć powstaniem.

Maciej Gawlikowski:

Raczej nie, właśnie.

Bohdan Urbankowski:

Bo zaczynamy gdybać...

Maciej Gawlikowski:

Nie. Bo jeżeli mówisz, że te wydarzenia spowodowały... To był ruch Macierewicza, który przymusił tamtą drugą – część późniejszego KOR-u – do stworzenia zorganizowanej opozycji. Tak samo, jak przymuszał do drukowania bibuły, podczas gdy tamta część była bardziej zwolennikami samizdatu i podobnych działań jak rosyjscy dysydenci.

Bohdan Urbankowski:

Znowu mówimy o środkach i próbujemy je przeciwstawiać celom. Wydaje mi się, że my źle rozumiemy formułę Piłsudskiego „Ro-

mantyzm celów. Pozytywizm środków”. Dlatego że, ten pozytywizm środków dla osiągnięcia jakiegoś celu oznaczał napad terrorystów na pociąg, dla osiągnięcia innego, próbę zorganizowania PPS, dla innego, nawet dogadywanie się z Austriakami i przemianę ruchu strzeleckiego na legionowy. Jeżeli uznamy walkę zbrojną czy ataki terrorystyczne za środki poświęcone romantycznemu celowi, to z takich naprawdę romantycznych środków zostaje nam tylko modlitwa. Bo wszystko inne, atak zbrojny, wymaga pozytywistycznego postępowania. Zaplanować miejsce akcji, uzbrojenie, sąsiedzi, pomoc, drogi odwrotu. Walka zbrojna, nawet ta powstańcza, jest cholernie pozytywistyczną pracą myślową.

Andrzej Anusz:

Chciałbym pociągnąć ten wątek, który Bohdan podniósł, opozycji między Żołnierzami Niezłomnymi a WiN-em. To, moim zdaniem, jest ciekawa sprawa. Na ile formuła i program WiN-u był próbą wyciągnięcia tych, których się dało, z lasu i prowadzenia ich, w cudzysłowie do cywilnego życia i prowadzenia działalności politycznej? Jak się czyta różne opracowania, to w pewnym stopniu, na ile WiN, chcąc nie chcąc (a oczywiście nie chciał, bo w jego dokumentach jest napisane, że walka zbrojna jest niepotrzebna), stawał się czapką polityczną dla tych żołnierzy, którzy pozostawali w lesie. Prosiłbym o doprecyzowanie, bo ja nie czuję tutaj opozycji. Oczywiście w sensie werbalnym ona jest, bo tak to trzeba było pisać, ale myślę, że związki między tymi środowiskami były bardzo silne jednak.

Bohdan Urbankowski:

Ad vocem. Myślę, że przeciwstawianie dzisiaj to próba rozbijania prawicy.

Mirosław Lewandowski:

Co do sprawy tych Żołnierzy Niezłomnych, to ja widzę opozycję pomiędzy pewną koncepcją polityczną, którą głosił WiN, świadomego odrzucania walki zbrojnej, a z drugiej strony działaniem Żołnierzy

Niezlomnych (bo moim zdaniem ono nie było wynikiem świadomego wyboru politycznego, a formą samoobrony). Opozycję widzę między koncepcją WiN-u, a tym, jak dzisiaj próbuje się przedstawiać działalność Żołnierzy Wyklętych. Z tym polemizuję. Bo to jest wielkie kłamstwo obecnej polityki historycznej. Próbuje nam się wmówić, że Żołnierze Wyklęci, mogąc wrócić do domu, wybrali walkę zbrojną. Jeżeli byłaby to prawda, to byłiby idiotami. A to się próbuje przedstawiać, jako dowód mądrości politycznej.

Bohdan Urbankowski:

Większość partyzantów wróciła do domów. Z wyjątkiem tych, których czerwoni wymordowali.

Mirosław Lewandowski:

I to było rozsądne. Tak mówiło kierownictwo Armii Krajowej.

Maciej Zakrzewski:

Zacznijmy od kwestii pracy intelektualnej. To rzeczywiście była praca programowa. Natomiast, gdy idzie o wysiłek intelektualny... Jeśli czytamy te programy, to tam nie ma fajerwerków. To była praca programowa o charakterze propagandowym, a natura propagandy jest taka a nie inna. Poza tym była rzeczywiście tworzona bardziej przez oficerów, a nie przez intelektualistów. Tutaj jest Bocheński, Studentowicz. Ludzie, którzy rzeczywiście przed wojną pracowali intelektem i mają głęboką refleksję. Natomiast w WiN-ie są wojskowi, którzy stwierdzają, że zamiast karabinów trzeba podjąć pracę programową, która będzie skuteczna. A do mas nie przemówi się jakimś wysublimowanymi argumentami. Trzeba prosto, szeroko. Bo to jest przede wszystkim instrument walki.

Jeśli popatrzymy na postać Józefa Ostafina – to jest człowiek, który został skazany na karę śmierci. Ten wyrok wydano za to, że pisał analizy i artykuły. Nie ma odpowiedzi na pytanie – dlaczego akurat wykonano wyrok na Ostafinie, a nie na kimś innym? On nie był z wierchuszki, z żadnego kręgu decyzyjnego. On był bardziej współpracownikiem niż

jakimś decydem, a znalazł się w tej trójce, na której wykonano wyrok śmierci.

Maciej Gawlikowski:

Tu też jest wątek KPN-owski – córka Ostafina bardzo pomagała w krakowskim KPN-ie. Udostępniała mieszkanie. Była przez całe lata 80. zaangażowana.

Maciej Zakrzewski:

Druga sprawa. Kwestia walki zbrojnej. Trzeba wyjść od wagi doświadczenia Powstania Warszawskiego. Bo bez tego nie zrozumie się tego całego odwrotu. Nieważne, czy bronili tej decyzji, czy nie, to konsekwencje Powstania Warszawskiego, pod względem biologicznym i realnej naszej sytuacji wobec Sowietów, były czytelne dla wszystkich. I to był moment, który zadecydował, że kierownictwo polityczne podjęło decyzję, że nie stać nas na to.

Kwestia Żołnierzy Wyklętych. Jasno powiedziałem – ze strony WiN-u była dość mocna opozycja. Bardziej ze względu na pozycję polityczną, podejmowane działania i reprezentowanie pewnego sposobu działania w stosunku do Narodowych Sił Zbrojnych. I w prasie, a przynajmniej w dokumentach wewnętrznych, pojawia się ważny element, który chyba po dziś dzień nie jest zbadany. Kwestia – jak duży był udział w tak zwanych „bandach” prowokacji Urzędu Bezpieczeństwa? W tych analizach WiN-u wielokrotnie pojawia się ostrzeżenie przed tym, że to komuniści robią oddziały, tylko po to, żeby tworzyć pewną sytuację, która pozwoli im uzasadniać wobec Zachodu podejmowanie środków nadzwyczajnych. Oczywiście, Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość w teorii tworzyło dokumenty, które starano się przekazywać opinii publicznej i Zachodowi, że walki zbrojnej należy zaniechać. Ale praktyka była inna. Istniały oddziały, które weszły we współpracę z WiN-em i były uważane za oddziały WiN-u. Rzeczywiście tak to było. Była część oddziałów, która była powiązana, ale w sposób niejawni. To była bardziej kwestia konieczności niż zrealizowania uprzednich założeń. Coś trzeba było robić. W jakiś sposób trzeba było się bronić i w jakiś sposób trzeba było pomóc

ludziom, którzy zostali w lesie. Więc tu jest sprawa bardzo wielowątkowa, skomplikowana i trzeba mieć rozróżnienie na obszar praktyki i teorii.

Bohdan Urbankowski:

Przepraszam, że rozwinę swoje pytanie. Przecież większość tych oddziałów, które przechodziły do walczących, to byli akowcy. Jak popatrzymy, to „Łupaszka”, Brygada Wileńska... Mamy „Zaporę”, „Orlika”, Ruch Oporu Armii Krajowej. Tutaj tych Wyklętych jako WiN-owców, których ty tak bardzo nie lubisz, bo oni są NSZ-owcy, to prawie że nie ma. Ich główna siła odchodzi z Brygadą Świętokrzyską. Zostają mniejsze oddziały. Natomiast część oddziałów – bo Armia Krajowa została przecież rozwiązana – więc oni próbują robić jakieś struktury. Narodowe Zjednoczenie Wojskowe (tarnobrzeskie, Lipsko – tamten teren). W pewnym momencie mówi się o Republice Tarnobrzeskiej nawet. Stryjek jednego z moich kolegów tam walczył. Tu nie ma konfliktu między jakimikolwiek oddziałami AK jako AK, NSZ jako NSZ. Po prostu było przede wszystkim samo AK. Natomiast ten konflikt w tej chwili służy zniszczeniu legendy Żołnierzy Wyklętych, niezależnie od ich proveniencji. Młodzież się do tego zapaliła, to będziemy mówić, że to bandyci, że „Bury”... Przecież to są bzdury.

Andrzej Chyłek:

Ale komuniści stworzyli cały repertuar tej propagandy, który dzisiaj jest po prostu powtarzany.

Maciej Gawlikowski:

Ale nie można budować fałszywej legendy. Mówmy prawdę. Legenda musi być oparta na faktach.

Jerzy Wawrowski:

Jest oparta na faktach.

Michał Janiszewski:

Chwileczkę. Przerwaliście panu doktorowi. Proszę kontynuować.

Maciej Zakrzewski:

Teraz kwestie Jałty. Myślę, że tu jest analogia z Kongresem Wiedeńskim. Polacy przez XIX wiek mają dylemat, czy odwołują się do Kongresu Wiedeńskiego, czy do czegoś, co było przed. W Noc Listopadową, w czasie Powstania Listopadowego to jest kluczowy dylemat. W którym kierunku idziemy? I tak samo, oczywiście już w innej formie, bo nie jest to taka sama sytuacja pod względem rozłożenia sił, komponentów tego obozu politycznego, ale Jałta również stanowi ten jedyny punkt odniesienia, o który możemy zaczepić Zachód. Bo potem już tylko możemy apelować do sumień, co było jeszcze mniej skuteczne niż apelowanie do przepisów i ustaleń. Jałta – tak. Tonący brzytwy się chwyta. To był jedyny element, do którego można było się odwołać.

Jeszcze kwestia republikanizmu. Jeśli chodzi o kwestie KPN a „Solidarność”. „Solidarność” była związkiem zawodowym. Była strukturą u swego rdzenia korporacyjną i partykularną. Natomiast KPN już w samej nazwie odwoływała się do wzorców najstarszej tradycji polskiej. Tylko, jeśli mówiłem o elementach programowych, które są instrumentalne, to też nie chodziło o to, żeby je do końca zdeprecjonować. OK – my tu będziemy demokratami, a jak będzie trzeba, to będziemy inni. Nie. Chodzi bardziej o kwestie pewnych akcentów. Że jak jest instrument, to nie znaczy, że on nie ma swojej autonomicznej wartości. Natomiast w tym a nie innym momencie, musimy dokonywać pewnego złagodzenia, pewnego niedoukonkretnienia. Bo to też jest ważne, żeby w pewnym momencie pewne rzeczy nie były konkretne, żeby każdy z wyborców mógł sobie tam wpisać, co mu będzie odpowiadało. Ale tak. Duch republikański jest chyba czymś, co nas fundamentuje. Czy to dobrze, czy źle? To jest jeszcze inna dyskusja.

Bo mamy jeszcze poważne argumenty ze strony krakowskiej szkoły historycznej. I to jest ten element, który zdaje mi się najbardziej kluczowy z tego wszystkiego. To jest kwestia „Myślenie niepodległościowe a państwo”. I to jest odrębne zagadnienie. Spójrzmy na sanację w dwudziestoleciu międzywojennym. Na jej działania, na jej próby poszukiwania programowego i pewną koncepcję... Nie wiem właściwie, czy ona wypracowała jakąkolwiek koncepcję i czy ostatecznie udźwignęła

to zadanie myślenia państwowego. Bo wydaje mi się, że ona właśnie chciała myśleć państwowo, po konfederacku. Czyli bardziej zapalem i słowami, a nie zawsze konkretną pracą. I to trochę też jest widoczne teraz. Ale to jest odrębne zagadnienie.

Ten republikanizm polski idzie od samego początku w kontrze albo obok państwa. I to jest dość duży problem. Ten schemat chyba wciąż aktualny. Więc jest dobro wspólne, ale chodzi o to, żeby to dobro wspólne było w ramach pewnego trwałego porządku. Tyle.

Mariusz Olszewski:

Dziękuję bardzo. Piotr Wójcik. Podsumowuje Michał Janiszewski. Potem przerwa kawowa, czeka nas bardzo dobre ciasto. Po półgodzinnej przerwie wracamy i zaczynamy kolejny temat.

Piotr Wójcik:

Kiedy mówimy o tej koncepcji WiN-owskiej, walki politycznej i wyrzeczenia się walki zbrojnej, to trudno to negocjować, bo jest to w dokumentach. Ale przeciwstawianie Żołnierzy Niezłomnych... tego, że w ogóle były te oddziały. Przecież nie samozwańcze. To były oddziały WiN-owskie, Ruchu Obrony Armii Krajowej, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. To nie tylko Niezłomni. My zaczynamy się wikłać w pewnych nieporozumieniach i w spłycaaniu tematyki w propagandzie PiS-owskiej, dotyczącej użycia tego całego zjawiska na własny użytek.

Przeciwstawianie oddziałów WiN-u oddziałom NZW czy oddziałom NSZ nie ma kompletnie żadnego sensu. Mówienie, że fakt, iż oni zostali w lesie i walczyli był sprzeczny z koncepcją polityczną i ideową kierownictwa WiN-u też jest pewnym uproszczeniem. Trzeba pamiętać, że sytuacja ewoluowała. Najpierw była to kontynuacja przysięgi złożonej w Armii Krajowej. Rozwiązanie Armii Krajowej było wymuszone okolicznościami i było działaniem również taktycznym. Ale to nie oznaczało, że ktokolwiek zwolnił tych żołnierzy z przysięgi i obrony polskiej niepodległości. W związku z tym, dla nich kontynuacja tej walki – zwłaszcza tak jak to robił „Orlik” – Bernaciak i inni od 1944 roku do 1947 roku – była czymś naturalnym i nie stała w sprzecz-

ności z żadną koncepcją polityczną WiN-u. Trzeba pamiętać, że oni zareagowali na to – i w tym sensie można by się doszukiwać pewnej łączności między praktyką a założeniami politycznymi – że mają się ujawnić w 1947 roku i skorzystać z amnestii. Bo już bardzo duża część oddziałów WiN-owskich tak zrobiła. Mam w rodzinie taki przykład. Więc ten okres do 1947 roku, do wyborów, nie było żadnej sprzeczności między walką oddziałów leśnych a koncepcjami politycznymi. Bo jeżeli WiN domagał się realizacji Jałty, w rozumieniu wolnych wyborów, to walka podziemia i powstanie antykomunistyczne w Polsce, które trwało od 1944 roku, wspierało tę koncepcję wymuszenia wolnych wyborów, wspierało PSL itd. Ten okres od 1944 roku do 1947 roku, to tutaj nie widzę żadnego przeciwstawienia koncepcji politycznej WiN-u. Łącznie z tezą o długofalowym odrzuceniu walki zbrojnej, bo nas na to nie stać i trzeba zmienić metodę. Nie ma tej sprzeczności między praktyką, która się działa a teorią. Bo ona ma związek również z kwestią, że walczono o wybory. Trzeba też pamiętać, że to był okres ogromnego chaosu i niepewności. Okres rozpadu Wielkiej Koalicji, która się ułożyła w Jałcie i Poczdamie. Narastał już konflikt Zachodu z Sowietami. I to liczenie na białego konia Andersa i III wojnę światową nie było tak infantylne i irracjonalne, jakby można było dzisiaj sądzić, oceniając to z perspektywy kilkudziesięciu lat i tego co działo się później. W związku z tym uważam, że przynajmniej w tym pierwszym okresie, nie ma żadnej sprzeczności między praktyką funkcjonowania i walki oddziałów leśnych a deklaracjami politycznymi.

Zgoda jest tu z Mirkiem co do tego, że bardzo istotnym elementem – oprócz wierności i konieczności wzmacniania oporu społeczeństwa przeciwko sowietyzacji, co było celem Żołnierzy Wyklętych – że bardzo istotnym elementem tego wszystkiego była po prostu smutna konieczność. Oni przeszli to doświadczenie ujawnienia. Zobaczyli, że bardzo wielu rozwalono lub wsadzono do więzień. I rzeczywiście, od 1947 roku i dalej, dla wielu z nich nie było innego wyjścia. Ale to, że nie było dla nich innego wyjścia, to nie znaczy, że oni tylko dlatego byli w lesie. Oni uważali tę walkę za niemożliwą do wygrania w kategoriach militarnych – w tym sensie nie byli idiotami – tylko uważali tę wal-

kę za danie świadectwa. Za umacnianie oporu przeciwko sowietyzacji. A dla niektórych to była rzeczywiście konieczność, bo powrót do domu oznaczał kulę w łeb bądź wywiezienie na Syberię.

Głos z sali:

Już lepiej zginąć w walce niż od kuli w łeb. Taka kalkulacja.

Mirosław Lewandowski:

To jest myśleniem Herbertem. Bardzo szkodliwe i niebezpieczne. To nie jest myślenie polityczne.

Piotr Wójcik:

Ale ja nie mówię, że mamy się pod czymś podpisywać, tylko próbuję zinterpretować ich decyzję – dlaczego tak a nie inaczej postępowali? Jest to bardziej złożone niż taki prosty wybór. Trwamy, bo nie mamy innego wyjścia, a tak naprawdę powinniśmy pójść do domu. To było dużo bardziej skomplikowane i zniuansowane. Nie było takich zero-jedynkowych wyborów.

Michał Janiszewski:

Panie doktorze, wspomniał pan na początku, że jest tu drugi raz, za co bardzo dziękujemy, ale nie mamy nic przeciwko temu, żeby się pan z nami zasiedział i dzielił pracę między oba instytuty.

Maciej Zakrzewski:

Myślę, że w miarę możliwości czasowych, jak najbardziej.

Michał Janiszewski:

Publicznie pan złożył deklarację!

Maciej Zakrzewski:

Wyjaśnię. Bo tu się ten wątek wkradł. Po pierwsze – zazwyczaj praktyka idzie w przeciwnym kierunku niż wszystkie programy. Taka jest natura ludzka, że możemy sobie tworzyć programy, a praktyka jest

inna. W dokumentach WiN-owskich są dwa elementy. Jest zanegowanie walki zbrojnej, ale to są dokumenty propagandowe. To jest pierwsza sprawa. One mają być instrumentem politycznym, uzasadniającym przed opinią publiczną... itd. Czyli – „To nie my za to odpowiadamy”. I drugi element – to jest po prostu praktyka. To są ludzie, którzy się znali, walczyli razem. I w pewnym momencie kwestia samoobrony, kwestia wspierania PSL... Bo skoro komuniści atakują metodami nie-wyborczymi, ale metodami terrorystycznymi, to oczywiście tak.

Były oddziały WiN-owskie – ale nie poprzez deklaracje i chodzenie ze znaczkiem WiN-u – tylko to były oddziały WiN-owskie, które działały wedle pewnej strategii, a często z konieczności, bo w pewnym momencie ta konieczność się wkradła. Natomiast nie zmienia to faktu, że taką a nie inną koncepcję przyjmowano i starano się realizować.

Co miało sens po wyborach? W 1947 roku, po wyborach, piszą, że wszelką działalność w kraju należy minimalizować. Całą siłę trzeba przerzucić na kwestie zagraniczne. Natomiast rzeczywiście takim chłopcem do bicia w tych dokumentach wewnętrznych są Narodowe Siły Zbrojne. Jest mocne odcięcie się od Narodowych Sił Zbrojnych, jako czegoś, co szkodzi. Ale to jest ich wewnętrzna ocena. I nie była to sprawa, którą chcieli na zewnątrz wynosić.

Mariusz Olszewski:

Bardzo dziękuję. Zapraszam na kawę i ciasto. Spotykamy się z powrotem o godzinie 12.00.

**PRÓBA DOPROWADZENIA DO TRWAŁSZEGO POROZUMIENIA
PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWEJ W LATACH 30. UB. WIEKU**



Koncepcje integracyjne towarzyszyły polityce zagranicznej II Rzeczypospolitej w zasadzie od zarania niepodległego państwa. Łączyły się one przede wszystkim z nazwiskiem Józefa Piłsudskiego i jego programem utworzenia na terenach byłej Rzeczypospolitej federacji nowo powstałych czy dopiero powstających państw. Rachunek był prosty: chodziło o stworzenie bardziej lub mniej spójnego podmiotu o wystarczającym dla przeciwstawienia się imperialnym Niemcom i Rosji potencjale demograficznym i terytorialnym¹. Plany federacyjne nie do-

¹ Zob. M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego. Rozmowy z Leszkiem Moczulskim*, Warszawa 2016, s. 34. Według spisów ludności na terenach byłej

szy jednak do skutku. Przede wszystkim w wyniku wojny polsko-bolszewickiej nie powstały niepodległe Ukraina i Białoruś, z kolei Litwa wolała wybrać całkowitą niezależność, zamiast wiązać się w jakikolwiek sposób z Polską².

Niepodległe państwo polskie od początku starało się nawiązywać jak najbliższe relacje z sąsiadami. W 1921 r. minister spraw zagranicznych Konstanty Skirmunt³ w okólniku z wytycznymi dla polskiej polityki zagranicznej podkreślał szczególną rolę Europy Środkowej dla Warszawy, zwłaszcza Rumunii. Kładł przy tym nacisk na potrzebę znalezienie modus vivendi z Czechosłowacją, jednak z zastrzeżeniem, że dobre stosunki z tymi dwoma krajami i ewentualnie z Jugosławią nie mogą równać się przystąpieniu Polski do Małej Ententy, która miała charakter antywęgierski, co byłoby sprzeczne z polskimi interesami⁴. Warszawa miała również szukać porozumienia z państwami bałtyckimi – i to właśnie Bałtyk był świadkiem intensywnych zabiegów integracyjnych polskiej dyplomacji na początku lat dwudziestych. W marcu 1922 r. odbyła się w Warszawie konferencja państw bałtyckich (Polska, Finlandia, Łotwa, Estonia; brak delegacji litewskiej, z wiadomych przyczyn), w rezultacie której doszło do powołania Związku Bałtyckiego – porozumienia obronnego wymierzonego w Rosję Sowiecką. Nie weszło ono jednak w życie wskutek braku ratyfikacji umowy przez parlament fiński⁵. Choć wysiłki w celu zawarcia jakiegoś bałtyckiego porozumienia

Rzeczpospolitej mieszkało ok. 50 mln osób, czyli o nieco ponad 10 mln mniej niż w Republice Weimarskiej (wg spisu ludności z 1925 r.).

² Nie pomogła tu kwestia Wilna, które miało być kartą przetargową do nakłonienia Litwinów do porozumienia. Ostatecznie nowo powstała Litwa Środkowa znalazła się w granicach Polski w wyniku decyzji Sejmu RP z 1922 r. Zob. K. Świtalski, *Diariusz 1919–1935*, Warszawa 1992, 3 XII 1921.

³ Kierownik dyplomacji najpierw w rządzie Wincentego Witosa, a następnie Antoniego Ponikowskiego.

⁴ J. Lewandowski, *Instrukcja K. Skirmunta*, „Zeszyty Historyczne”, nr 22/1972.

⁵ W. Balcerak, *Koncepcje integracyjne w polskiej polityce zagranicznej* (1918–1939), „Dzieje Najnowsze”, nr 1/1970, s. 41. Powodem była obawa Finów przed reakcją zarówno Berlina, jak i niechęć angażowania się przeciw Moskwie. Jak pi-

były czynione w kolejnych latach, to jednak dopiero w 1934 r. doszło do zawiązania tzw. Ententy Bałtyckiej między Litwą, Łotwą i Estonią, ale bez udziału Polski⁶.

Równolegle podejmowano w Warszawie próby zbliżenia z państwami położonymi na południe od Karpat. W 1922 r. ówczesny minister spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński sformułował koncepcję zbliżenia Polski z krajami tworzącymi tzw. Małą Ententę, czyli Czechosłowacją, Rumunią i Jugosławią. Zamierzeniem Skrzyńskiego było przekształcenie tego sojuszu w czwórprzymierze, a tym samym stępienie jego antywęgierskiego ostrza. W wizji ministra Polska miała być pożądanym partnerem dla każdego z tych państw: dla Czechosłowacji ze względu na zagrożenie niemieckie, dla Rumunii ze względu na zagrożenie sowieckie (Besarabia), a dla Jugosławii ze względu na zagrożenie włoskie⁷. Polskim działaniom skutecznie przeciwdziałała Praga w osobie ministra spraw zagranicznych Edvarda Beneša. Po pierwsze, uważał on, że przy umiejętnej polityce uda się Czechosłowacji uniknąć rewizjonistycznych zagrożeń ze strony Niemiec, po drugie, widział Pragę jako lidera tej części kontynentu i głównego partnera Francji w Europie Wschodniej. Dlatego trwałe wiązanie się z Polską postrzegał jako zagrożenie dla czechosłowackich interesów, zabiegając o to, aby Warszawa pozostawała poza strukturami Małej Ententy⁸.

Z tego właśnie okresu pochodzi ciekawy dokument, który Marek Kornat opublikował przed kilkoma laty na łamach „Zeszytów Historycznych”. W 1925 r. w polskim MSZ powstało *aide-mémoire*, za-

sze Balcerak, ewentualne powstanie Związku Bałtyckiego mogło wywierać presję na Litwę w kwestii porozumienia z Polską. Tekst układu: A. Skrzypek, *Związek Bałtycki*, Warszawa 1972, zał. 1.

⁶ W. Balcerak, *op. cit.*, s. 43.

⁷ *Ibidem*. Polska była od 1921 r. związana sojuszem obronnym z Rumunią przeciwko Rosji Sowieckiej. Zob. H. Bułhak, *Początki sojuszu polsko-rumuńskiego i przebieg rokowań o konwencję wojskową w latach 1919–1921*, „Dzieje Najnowsze”, t. 5/1973, z. 3.

⁸ W. Balcerak, *op. cit.*, s. 44–45.

wierające zarys polskiej polityki zagranicznej⁹. Dokument ów został przygotowany przez grupę młodych, ale doświadczonych już dyplomatów dla Jana Ciechanowskiego, wówczas dyrektora Wydziału Organizacji Międzynarodowych, jednego z najbardziej zaufanych ludzi ministra Skrzyńskiego¹⁰. Jest on poświęcony w głównej mierze zadaniom polskiej dyplomacji, jakie przedsięwziąć powinna w obliczu niemieckich żądań rewizji traktatu wersalskiego i podejmowanych przez Berlin dla osiągnięcia tego celu akcji. W części poświęconej stosunkom w Europie Środkowej autorzy dokumentu dowodzą, że niemieckie żądania rewizji granic padają na podatny grunt na Zachodzie, z racji panującego tam przekonania o „niestałości stosunków” w tej części Europy. Wobec tego „rzucenie w świat i rozpropagowanie tezy, że Europa Środkowa nie jest chaosem lecz ukonstytuowaną konstelacją solidarnych państw, może mieć i dla zagadnienia naszych granic doniosłe znaczenie, bo próby nawracania do chaosu nie będą na Zachodzie mile widziane”. W tym celu Polska powinna zabiegać o związanie się sojuszem z Rumunią, Jugosławią, Czechosłowacją, a także państwami bałtyckimi, co w oczach autorów opracowania było realne, a co boleśnie zweryfikowała historia, zwłaszcza w stosunku do relacji na linii Warszawa-Praga¹¹. Mimo tego przytoczony dokument jest ciekawym dowodem na to, że zarówno przed przewrotem majowym, jak i po nim jakieś formy środkowoeuropejskiej współpracy były w MSZ cały czas rozważane, choć w różnych konstelacjach. Nie da się bowiem ukryć, że memorandum Ciechanowskiego w znacznym stopniu odbiegało od koncepcji Józefa Becka z drugiej połowy lat trzydziestych.

Po przewrocie majowym polska polityka zagraniczna bardziej niż na jakieś scenariusze integracyjne stawiała raczej na dwustronne sojusze reasekuracyjne przeciwko Niemcom i Związkowi Sowieckiemu.

⁹ M. Kornat, *Memorandum programowe polskiego MSZ z 1925 r. (w związku z rokowaniami lokarneńskimi)*, „Zeszyty Historyczne”, nr 168/2009.

¹⁰ Byli to: Jan Łoś, Juliusz Łukasiewicz, Tadeusz Romer, Andrzej Tarnowski oraz Tadeusz Skowroński.

¹¹ M. Kornat, *Memorandum programowe...*

W pierwszym wypadku był to przede wszystkim sojusz z Francją, w drugim – z Rumunią. Próby zbliżenia z Czechosłowacją były podejmowane do 1934 r., jednak bezskutecznie. Po podpisaniu polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934 r. Praga zeszła na dalszy plan w polityce Warszawy¹². Jednak jeszcze w drugiej połowie tego roku w polskim MSZ powstał dokument poświęcony zadaniom polskiej polityki zagranicznej w Europie Środkowej i na Bałkanach, który kilkadziesiąt lat temu odszukał i opublikował Jerzy Tomaszewski¹³. Nie posiada on podpisu, ale wiadomo, że powstał w MSZ w drugiej połowie 1934 r., czyli już za urzędowania Józefa Becka, który został ministrem dwa lata wcześniej. Jest to analiza położenia Polski i innych krajów Europy Środkowej i Bałkanów między dwoma mocarstwami – Niemcami i Związkiem Sowieckim. Celem wynikającym z tego położenia powinno być – według autora opracowania – aktywizacja polityki polskiej na kierunku południowym, unormowanie stosunków i zacieśnienie współpracy między państwami na tym terenie. Chodziło przede wszystkim o takie kraje jak Rumunia, wspomniana Czechosłowacja, Węgry, Jugosławia oraz Turcja, ale także Bułgaria i Grecja. Choć autor dostrzegł, że takie porozumienie (nie tylko polityczne, ale również gospodarcze) powinno być korzystne dla wszystkich stron, to jednocześnie zauważał szereg przeszkód, jakie najpierw należałoby pokonać w dwustronnych stosunkach pomiędzy poszczególnymi państwami. Przede wszystkim chodziło tu o wyrównanie relacji polsko-czechosłowackich: Warszawa nie popierała antywęgierskiej polityki Małej Ententy, miała poważne zastrzeżenia do Pragi w sprawie traktowania polskiej mniejszości na Śląsku Cieszyńskim, a także o działania czeskie, mające na celu blokowanie obecności gospodarczej Polski w basenie Dunaju. Mimo trudności pacyfikacja stosunków w tej części Europy miała być możliwa, a Polska powinna odgrywać rolę mediatora między

¹² M. Kornat, *Polityka zagraniczna Polski 1938–1939. Cztery decyzje Józefa Becka*, Gdańsk 2012, s.150.

¹³ J. Tomaszewski, *Dokument z 1934 r. o zasadach polskiej polityki w Europie środkowej i na Bałkanach*, „Przegląd Historyczny”, t. 76/1985, z. 1.

stronami, tak jak w przypadku pośrednictwa w kontaktach rumuńsko-sowieckich, nad którymi ciążyła sprawa Besarabii¹⁴.

Przytoczony dokument z 1934 r., mimo że powstał w MSZ już za urzędowania Becka, nie odzwierciedla do końca tego, co zwykło się nazywać koncepcją „Trzeciej Europy” lub Międzymorza w wydaniu polskiego ministra spraw zagranicznych. Główną rozbieżnością jest tutaj stosunek do Czechosłowacji, którą wcześniej uwzględniano w polskich koncepcjach integracyjnych. Beck natomiast chciał realizować swój plan nie tylko bez Pragi, ale wręcz na jej gruzach¹⁵.

Na wstępie należy jednak odróżnić Międzymorze od idei federacyjnej, która była żywa na początku lat 20., a która przewidywała stworzenie jakiegoś bardziej zwartego organizmu (federacji czy konfederacji) w wyniku ścisłej współpracy państw Europy Środkowej. Również nie należy mylić „Trzeciej Europy” z prometeizmem, który zakładał rozpad Związku Sowieckiego i uwolnienie pozostających w jego składzie narodów. W największym skrócie, Beckowskie Międzymorze było koncepcją, która zakładała współpracę państw Europy Środkowej już istniejących, w takiej rzeczywistości, jaka była w połowie lat 30., bez tworzenia nowych organizmów¹⁶. Chodziło o polityczne zorganizowanie państw Europy Środkowej, położonych między hitlerowskimi Niemcami a Związkiem Sowieckim, które skutecznie broniłyby swojej neutralności. Jak pisał Jan Szembek, wiceminister spraw zagranicznych, do posła polskiego w Belgradzie, Romana Dębickiego, chodziło o „utworzenie pewnej grupy zaprzyjaźnionych ze sobą państw mówiących tym samym językiem, którego głównym leitmotivem jest konieczność asekurowania się przed zbytnią ekspansją niemiecką”¹⁷.

Jako początek krystalizowania się planu „Trzeciej Europy” Marek

¹⁴ Por. S. Żerko, *Kryzys w stosunkach między Polską a Rumunią w latach 1934–1936 w świetle polskich dokumentów dyplomatycznych*, „Dzieje Najnowsze”, t. 48/2016, s. 5–7.

¹⁵ M. Kornat, *Polityka zagraniczna Polski*, s. 104.

¹⁶ O tych rozważaniach zob. *ibidem*, s. 103–104.

¹⁷ *Ibidem*, s. 110.

Kornat wskazuje wiosnę 1935 r., kiedy Beck miał wypowiedzieć do Giuseppe Bastianiniego, włoskiego ambasadora w Warszawie, słowa: „Rząd Polski idzie na koncepcję paktu środkowoeuropejskiego bez oglądania się na Niemcy”¹⁸. Równolegle widać aktywne działanie polskiego ministra spraw zagranicznych w Europie: zarówno na południu, jak i na północy. Na przełomie 1934 i 1935 r. Beck odwiedził Kopenhagę i Sztokholm¹⁹, a w maju 1936 r. udał się z wizytą do Belgradu. Głównym jednak zadaniem było doprowadzenie do odprężenia w stosunkach Rumunii i Węgier, które obok Polski miały być podstawą planowanego bloku. Nie było to zadanie łatwe, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Rumunia (wraz z Jugosławią i Czechosłowacją) była połączona antywęgierskim sojuszem, a na przeszkodzie porozumienia Bukaresztu z Budapesztem stała sprawa Siedmiogrodu (Transylwanii), który po I wojnie światowej znalazł się w granicach Rumunii. Po okresie przewodzenia rumuńskiej dyplomacji przez niechętnego Polsce ministra Nicolae Titulescu (1934–1936) i wraz z objęciem urzędu przez Victora Antonescu, Beck miał nadzieję, że porozumienie między Bukaresztem a Budapesztem jest osiągalne. Rzeczywiście, w grudniu 1937 r. trwały rozmowy na temat paktu o nieagresji, które popierały i Polska, i Włochy, a które ostatecznie zakończyły się fiaskiem. W kolejnych miesiącach okazało się, że szanse na konsensus są dalsze niż bliższe: Węgrzy oczekiwali znacznego poprawienia sytuacji mniejszości węgierskiej w Rumunii, z kolei Bukareszt cały czas obawiał się węgierskiego rewizjonizmu. Nie pomogły próby mediacji ze strony polskiej, które napotkały opór ministra spraw zagranicznych Rumunii Nicolae

¹⁸ *Ibidem*, s. 107. Choć nie zachował się żaden dokument, gdzie plan „Trzeciej Europy” byłby kompleksowo wyłożony, to jednak historycy – jak zaznacza Kornat – mogą go zrekonstruować. Brak takiego dokumentu jeszcze o niczym nie świadczy. Por. *ibidem*, s. 109.

¹⁹ O próbach przyciągnięcia państw skandynawskich przez Becka zob. m.in.: P. Jaworski, *Państwa bałtyckie i skandynawskie w dyplomacji Józefa Becka*, [w:] „Płk Józef Beck (1894–1944). Żołnierz, dyplomata, polityk”, red. S.M. Nowinowski, Łódź–Warszawa 2017; B.K. Zyśk, *Norwegia wobec „Trzeciej Europy” Józefa Becka*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny”, nr 2/2003.

Petrescu-Comnena, a także były negatywnie postrzegane w Berlinie, który z uwagą śledził wysiłki polskie²⁰.

Kluczowym zagadnieniem była również sprawa Czechosłowacji. Przez całe dwudziestolecie nie udało się wypracować bliższego porozumienia między Warszawą a Pragą, choć próby takie, zwłaszcza ze strony polskiej, były podejmowane. Prezydent Tomáš Masaryk i minister spraw zagranicznych (a potem następca Masaryka w fotelu prezydenta) Edvard Beneš nie postrzegali państwa polskiego jako organizmu trwałego, skazując go na zostanie jedną z pierwszych ofiar niemieckiego rewizjonizmu. Ponadto należy zauważyć, że Praga chciała odgrywać pierwszoplanową rolę w tej części Europy, również jako najważniejszy sojusznik Francji, z którą od 1924 r. była związana układem sojuszniczym. Dochodziły do tego stosunek do mniejszości polskiej, aktywne wspieranie antypolskiej emigracji ukraińskiej czy w końcu niezagojona do końca rana w postaci zagarnięcia Śląska Cieszyńskiego w 1920 r. Mimo tego Warszawa podejmowała próby ustanowienia trwalszego porozumienia z Pragą, które jednak kończyły się rozczarowaniami. Tak było na przykład w 1933 r., kiedy oba państwa z początku sprzeciwiły się próbie stworzenia nowego koncernu mocarstw w postaci paktu czterech. Jednak po zapewnieniach Paryża, Praga ostatecznie swój sprzeciw wycofała. W roku następnym Polska podpisała deklarację o niestosowaniu przemocy i przestała zabiegać o względy południowego sąsiada²¹. Zwłaszcza, że Piłsudski, a za nim Beck, postrzegali Czechosłowację jako państwo sztuczne, które nie przetrwa zbliżających się przetasowań w Europie i jako jedno z pierwszych (obok Austrii) stanie się łupem Niemiec. Beck postanowił więc wykorzystać nieuchronny – w jego mniemaniu – upadek południowego sąsiada (ale, co trzeba

²⁰ Jak zauważa Kornat, wytworzyła się paradoksalna sytuacja, kiedy w Europie mówiono o jakimś porozumieniu polsko-niemieckim, podczas gdy w rzeczywistości Polska próbowała prowadzić samodzielną politykę w Europie Środkowej i Południowej, na co Niemcy zgodzić się nie mogli. *Ibidem*, s. 112–117.

²¹ Później jeszcze, w 1937 r., Praga była gotowa zawrzeć z Polską „pakt o przyjaźni”, co jednak nie wychodziło naprzeciw oczekiwaniom Warszawy, która szukała jakichś realnych i mocnych porozumień. Na te Czesi zgodzić się nie chcieli.

zaznaczyć, w żadnym wypadku nie być jego inicjatorem) dla swoich planów bloku środkowoeuropejskiego²². Rozpad Czechosłowacji miał przede wszystkim doprowadzić do ustanowienia wspólnej granicy polsko-węgierskiej, choć polityka węgierska w tamtym okresie, tzn. w 1938 r., była bardzo bierna²³, a na aneksję Rusi Zakarpackiej przez Węgry nie godziła się Rumunia²⁴. W każdym razie akcja Polska przeciwko Czechosłowacji w postaci ultimatum wystosowanego 30 września 1938 r. nie była motywowana prostym rewizjonizmem i nienawiścią Becka do Czechosłowacji, ale wpisywała się w szerszy plan kierownictwa polskiej dyplomacji²⁵. W rzeczywistości Beckowi chodziło o przemodelowanie obszaru Europy Środkowo-Wschodniej i stworzenie neutralnego bloku, który mógłby postawić tamę naporowi Niemiec. Słowem akcja polska na Zaolziu w 1938 r. była w gruncie rzeczy akcją antyniemiecką, a nie – jak to widziała na przykład zachodnia opinia publiczna wówczas, czy jak to dziś próbuje przedstawiać rosyjska historiografia – działaniem pro-niemieckim. W gruncie rzeczy była to zarówno akcja antyniemiecka, jak i antysowiecka, bowiem cały plan „Trzeciej Europy” miał za zadanie obronę suwerenności Europy Środkowo-Wschodniej przed ewentualnymi zakusami dwóch mocarstw, zachodniego i wschodniego.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że podobne, a chronologicznie wcześniejsze nawet kroki integracyjne w Europie Środkowej i Południowej podejmowało państwo włoskie. Było to wynikiem z jednej strony izolacji, w jakiej znalazł się Rzym po ataku na Abisynię w 1935 r., z drugiej zaś szukaniem przeciwwagi dla porozumienia z Niemcami, w połowie lat 30. jeszcze nie tak ścisłego, ale w miarę postępu czasu coraz bardziej Włochom ciężącego. Początkowo Rzym zamierzał

²² Według L. Moczulskiego Polska była jak najbardziej skłonna zawrzeć sojusz z Czechosłowacją jeszcze w 1938 r., aby powstrzymać rewizjonistyczne zapędy Niemiec, a w razie konieczności – w przypadku podpisania takiego sojuszu – wystąpić zbrojnie po stronie Pragi. Zob. M. Furdyna, M. Rodzik, *op. cit.*, s. 153-163.

²³ Do tego dochodziły rozbieżności zdań co do przyszłości Słowacji. Por. M. Kornat, *Polityka zagraniczna Polski...*, s. 120-121.

²⁴ *Ibidem*, s. 124-125.

²⁵ *Ibidem*, s. 101.

okiełznać niemiecki rewizjonizm przez wciągnięcie Berlina (razem z Warszawą) w ramy tzw. protokołów rzymskich²⁶. Kiedy okazało się to niemożliwe, a nad Tybrem pogodzano się de facto z Anshlussem Austrii²⁷, w Palazzo Chigi przystąpiono do prób pacyfikacji stosunków w Europie Południowej w celu stworzenia antyniemieckiej zapory w tej części Europy. Scenariusz ten brał pod uwagę dużą presję niemiecką na Jugosławię, Węgry i Rumunię, jaka wytworzy się po przyszłym wchłonięciu Austrii. Próba zorganizowania tych państw wobec nadchodzącego zagrożenia niemieckiego miała polegać na wyrównaniu stosunków na linii Rzym–Belgrad, a przede wszystkim Budapeszt–Bukareszt, oraz osłabieniu powiązań w ramach Małej Ententy, w celu umożliwienia przeprowadzenia Węgrom rewindykacji terytorialnych kosztem Czechosłowacji²⁸. Plan ten pokrzyżował Anschluss, po którym stanowisko Niemiec było decydujące. Przewaga Berlina nad podejmującymi kroki integracyjne Rzymem i Warszawą, brak porozumienia między Budapesztem a Bukaresztem, proniemiecka polityka Belgradu spowodowała ostateczny upadek planów integracyjnych²⁹.

Według Marka Kornata, który bardzo skrupulatnie analizował koncepcję Międzymorza autorstwa Józefa Becka (i na którego prace się tutaj powoływaaliśmy), „Trzecia Europa” okazała się wizją nierealistyczną. Historyk dodawał jednocześnie: „Sama koncepcja budowania strefy neutralnej w Europie Środkowej świadczy jednak o posiadaniu

²⁶ Protokoły rzymskie zostały podpisane przez Włochy, Węgry i Austrię w 1934 r. Choć formalnie było to porozumienie handlowe, to de facto było wymierzone w Jugosławię i rewizjonistyczne hitlerowskie Niemcy. Ostatecznie Węgry i Austria nie chciały podejmować jakichkolwiek kroków antagonizujących Berlin, który z rok na rok umacniał się nad Dunajem. Zob. W. Rojek, *Poczynania dyplomacji polskiej na tle polityki mocarstw w środkowej i południowej Europie w latach 1936–1938*, [w:] „Z dziejów polityki i dyplomacji polskiej. Studia poświęcone pamięci Edwarda hr. Raczyńskiego, Prezydenta Rzeczypospolitej na wychodźstwie”, red. H. Bułhak i in., Warszawa 1994, s. 302–303.

²⁷ W zasadzie już w 1936 r.

²⁸ Węgry jednak przyjęli bierną, wyczekującą postawę.

²⁹ W. Rojek, *op. cit.*, s. 313–314.

trafnej wizji przyszłości, gdyż późniejsze wydarzenia dowiodły właśnie, że skłócone i niewspółpracujące ze sobą kraje tego regionu pojedynczo ulegały ekspansji Niemiec i Sowietów³⁰. Kornat zauważa ponadto, że „rezygnacja z samostanowienia i bierność nigdy nie mogą być żadnym rozwiązaniem”³¹.

Można powiedzieć, że „Trzecia Europa” była ukoronowaniem polskich myśli integracyjnych w dwudziestoleciu międzywojennym. Koncepcja ta, to przede wszystkim plan obronny przed imperialnymi zakusami niemieckimi, ale też sowieckimi. Nie doszedł do skutku przede wszystkim wobec niemożności przezwyciężenia antagonizmu rumuńsko-węgierskiego, do czego dążyła Polska (a także do pewnego momentu i Włochy), a co starał się pokrzyżować Berlin. Szybka zmiana potencjałów na korzyść tego ostatniego sprawiła, że koncepcja Becka zakończyła się niepowodzeniem. Po upadku Czechosłowacji Niemcy zyskały dominację w Europie Środkowo-Wschodniej – wówczas szukanie partnerów do antyniemieckiego bloku, nawet obronnego, nie mogło się udać.

Same jednak koncepcje integracyjne powracały uparcie, czy to w latach drugiej wojny światowej, czy nawet po jej zakończeniu³². Również dzisiaj coraz częściej mówi się o potrzebie bliższego współdziałania państw Europy Środkowej, Wschodniej i Południowej. Dowodzi to tylko tego, że choć idea ulega przekształceniom dostosowując się do czasów i warunków, to jednak cały czas żyje.

³⁰ M. Kornat, „Trzecia Europa”. *Polska koncepcja Międzymorza (1937–1938)*, [w:] „Międzymorze. Nadzieje i ograniczenia w polityce II Rzeczypospolitej”, red. E. Znamierowska-Rakk, Warszawa 2016, s. 150.

³¹ *Ibidem*.

³² Zob. M. Furdyna, M. Rodzik, *op. cit.*, s. 340–342. Na temat polsko-czechosłowackich planów federacyjnych w czasie II wojny światowej zob. m.in.: B. Szymankiewicz, *Koncepcje sojuszy polsko-czechosłowackich w latach 1919–1943*, „Historia Slavorum Occidentis”, nr 1(4)/2013, s. 170–178. Perspektywę brytyjską na temat planowanej powojennej konfederacji przedstawił R. Żurawski vel Grajewski, *Brytyjsko-czechosłowackie stosunki dyplomatyczne (październik 1938–maj 1945)*, Warszawa 2008, s. 371–372, 448–450.

DYSKUSJA



Niestety, pierwsze pytanie się nie nagrało. W jego treści można się zorientować na podstawie odpowiedzi.

Marcin Furdyna:

Jeżeli chodzi o kwestie Związku Sowieckiego, to rzeczywiście Kornat zaznacza, że to był duży błąd polskiej dyplomacji.

Zresztą Kornat jest też autorem biografii Wacława Grzybowskiego, ostatniego ambasadora w Moskwie i jemu też wypomina, że – mówiąc delikatnie – te jego zapatrywania na Związek Sowiecki były zbyt optymistyczne.

Ja od czasu wywiadu z Leszkiem Moczulskim zacząłem trochę ina-

czej na to patrzeć. Znanie jest oczywiście powiedzenie Piłsudskiego, że Polska nie może prowadzić wojny na dwa fronty. Jeżeli wziąć to pod uwagę, przy położeniu geopolitycznym Polski w 1939 roku, to obrona – nawet jeżeli można domyślać się porozumienia bliższego niż to sugerował pakt o nieagresji, który brzmi dosyć niewinnie, powiedzmy, jakiegoś bliższego współdziałania niemiecko-sowieckiego – to Polska przed dwoma agresywnymi sąsiadami i tak nie mogła się obronić. Jeżeli, co też sugerowała narada generałów u Piłsudskiego, zaatakować pierwsze miały Niemcy i to w przeciągu od 5 do 10 lat (trafili dosyć dokładnie), to wychodziło z tego, że priorytetem było zagrożenie niemieckie. Skoro tak, to biorąc pod uwagę zobowiązania francuskie, czyli sojusz polsko-francuski, według którego Francja miała ruszyć z pomocą Polsce dwa tygodnie po ataku niemieckim, wychodzi na to, że Polska zakładała, że zanim Rosja zdąży ruszyć do wojny, wojna właściwie zostanie już rozstrzygnięta. Nikt nie wchodzi do przegranej wojny. Oczywiście ja tego nie wymyśliłem. Powtarzam to, co mówił Leszek Moczulski i co do mnie przemawia. Takie, zdaje się, miało być rozumowanie polskiej dyplomacji.

Czy to jest przekonujące dla wszystkich? Podejrzewam, że nie. Nie wiem, czy pana tą argumentacją przekonałem. Podejrzewam, że nie.

Ale jest na pewno coś na rzeczy, że Związek Sowiecki był niedoceniany i to nie tylko przez polską dyplomację, ale także przez ludzi, którzy starali się przed zagrożeniem sowieckim ostrzegać. I tutaj wymieniłem, między innymi właśnie Stanisława Mackiewicza.

Mirosław Lewandowski:

Część rzeczy „załatwiłem” w przerwie, więc została praktycznie jedna kwestia. W dziedzinie polityki zagranicznej okresu międzywojennego czuję się bardzo niekompetentny, więc jeżeli powiem coś, co panowie uznacie, że jest horrendalne, to bardzo proszę o wyrozumiałość. Opieram się tu, nie ukrywam, na moim mistrzu – Leszku Moczulskim, choć może źle go rozumiem. W latach 30. świadomość powagi sytuacji międzynarodowej, wbrew temu co pisze na przykład publicystyka endecka w stylu Ziembkiewicza, świadomość powagi sy-

tuacji i zagrożenia Polski (to znaczy, że stoimy w obliczu groźby utraty niepodległości dopiero co wywalczonej) była bardzo głęboka. Zresztą póki żył Marszałek, to ona znalazła swój wyraz w koncepcji wojny przewencyjnej, do której on usiłował namówić Francję – podjął trzy próby, jak twierdzi Leszek Moczulski, w roku 1933, czyli zaraz po dojściu Hitlera do władzy, a potem jeszcze dwa razy, już Beck to realizował (po śmierci Marszałka).

Jeżeli chodzi o rok 1932 (kryzys gdański), to Leszek Moczulski interpretuje, że było to takie rozpoznanie siłą, ale bez intencji wojny. Chciał sprawdzić jak Niemcy zareagują na stanowczą polską politykę. Bo to, co mnie zaskoczyło w lekturze *Wojny przewencyjnej* Leszka Moczulskiego, to stwierdzenie, że żądania Republiki Weimarskiej pod naszym adresem przed dojściem Hitlera do władzy, były dużo, dużo dalej idące niż to, czego żądał Hitler w latach 1938–1939. Świadomość powagi sytuacji była w obozie piłsudczykowski tak daleko idąca, że jak twierdzi Moczulski, brzemień tej odpowiedzialności było przyczyną samobójstwa Sławka. I ta relacja Moczulskiego jest dość wiarygodna z tego względu, że jak nam powiedział, kiedy ostatnio byliśmy z Maćkiem, u niego w domu, Sławek bywał w domu matki Moczulskiego dość często (matka Moczulskiego w czasie rewolucji 1905 roku współpracowała ze Sławkiem w ramach OB PPS a więc miała ze Sławkiem relacje natury osobistej). Leszek Moczulski pamięta swoje rozmowy ze Sławkiem, jak Sławek był u nich w domu i pytał kilkuletniego Moczulskiego (rocznik 1930, czyli w 1938 roku miał 8 lat): „Co panicz robi, czym się panicz zajmuje?”. Moczulski odpowiedział mało grzecznie, bo uważał, że pytanie wobec niego, młodego człowieka było protekcyjne. Otóż, jak Walery Sławek popełnił samobójstwo, to Leszek Moczulski doskonale pamięta rozmowy matki z innymi osobami. Tam bardzo wyraźnie powiedziano, że przyczyną samobójstwa Sławka jest jego świadomość armagedonu, jaki nadciąga nad Polskę. Świadomość, że zostanie zaprzepaszczona niepodległość z takim trudem wywalczona. Sławek nie widział ratunku i dlatego sobie strzelił w głowę. Zresztą być może – to jest już moja *licentia poetica*, być może fałszywa – ale to brzemień odpowiedzialności było powodem, dla którego w okresie

II wojny czy tuż po miały miejsce samobójstwa jeszcze kilku polityków sanacyjnych, którzy po prostu czuli swoją odpowiedzialność. Na przykład – Wieniawa. Beck podjął wysiłek intelektualny, żeby w tej arcytrudnej dla nas sytuacji, w której Sławek nie widział możliwości wyjścia, podjąć próbę pewnej gry międzynarodowej.

Miał problem, bo nie bardzo miał tu partnerów, na przykład w Czechosłowacji. Tak jak ja rozumiem, zajęcie Zaolzia w październiku 1938 roku przez Polskę było aktem antyniemieckim, a nie antyczechosłowackim, z tego względu, że Zaolzie to jest część Sudetenlandu, czyli gdyby Polska nie zajęła Zaolzia, toby go zajęły Niemcy. Dzięki temu, że Polacy zajęli Zaolzie, istniała dalej granica polsko-czechosłowacka i w marcu 1939 roku opozycja czeska miała którędy uciec na Zachód do Francji (uciekli przez Polskę). Więc tutaj to wszystko, co się opowiada, że zajęcie Zaolzia było zajęciem antyczechosłowackim polega na głębokim niezrozumieniu.

I teraz, była tutaj mowa – doktor Urbankowski o tym mówił – że tam były na Zaolziu jakieś działania militarne. Przecież to samo było na Rusi Podkarpackiej. Pragnę zwrócić uwagę na to, że Polska prowadziła politykę zagraniczną w ekstremalnych warunkach różnymi narzędziami. Jednym z tych narzędzi były działania dywersyjne. Polska dywersja była realizowana i na Zaolziu, i na przykład na Rusi Podkarpackiej, gdzie realizował to Jan Mazurkiewicz, o którym wczoraj rozmawialiśmy. Cała TOW (Tajna Organizacja Wojskowa), założona przez Mazurkiewicza we wrześniu 1939 roku, wyrastała właśnie z tej grupy dywersyjnej, która w marcu 1939 roku prowadziła działania dywersyjne na Rusi Podkarpackiej. Jej celem było przekonanie Węgrów, że tam operują Sowieci i spowodowanie, żeby Węgrzy tamten teren zajęli, czyli doprowadzenie do powstania granicy polsko-węgierskiej. O tym mówił nasz wykładowca.

Jednym zdaniem – ja Becka generalnie bronię. Cenię Becka. Nieprawdą jest, że nie widział zagrożenia. Nikt nie jest w stanie wykazać (o tym rozmawialiśmy wczoraj również) że była alternatywa dla jego polityki. To, że nastąpiła klęska, było absolutnie nie przez niego zawinione. Nie jest prawdą, że prowadziliśmy politykę antyczechosłowacką.

Jest prawdą, że nie było partnera po drugiej stronie do takiej polityki („do tanga trzeba dwojga”). Jednym zdaniem, tę politykę zagraniczną Polski prowadzoną pod koniec lat 30. osobiście oceniam bardzo wysoko i doceniam wysiłek, jaki włożył Beck, że zamiast odebrać sobie życie po prostu podjął tę grę. A to, że jej nie wygrał? Wygrał.

Natomiast nie mógł zapobiec katastrofie, bo Bóg mógł tylko zapobiec temu, żeby Polska w 1939 roku nie znikła z mapy. Gdybyśmy poszli z Niemcami to, w moim przekonaniu, polskie załogi w Auschwitz zamordowałyby może mniej Żydów niż Niemcy to zrobili, ale to my byśmy byli w obsłudze tego obozu. Bo obóz by tu był, ale by tam było polskie komando, które by to obsługiwało.

Krzysztof Laga:

Nie chciałbym oceniać Becka, natomiast uważam że całe Ministerstwo Spraw Zagranicznych dość słabo działało. Przypomniałem sobie słowa ministra Szembeka, który stwierdził (to już chyba po wojnie było) w swoich wspomnieniach, że kiedy przyszedł Beck do MSZ, to zostało ono w bardzo szybkim tempie zmilitaryzowane w ramach „dobrej zmiany” i że trzeba było co chwilę meldować się, strzelać kopytami i salutować. W związku z czym on, jako cywil, był traktowany jako ciało obce. Więc być może za dużo sznytu wojskowego wprowadzono, mniej pola do popisu dla polityki zagranicznej. W 1939 roku i tak nie mieliśmy żadnych szans. Naszą agonię mogło powstrzymać nie tyle cud i Matka Boska, co dobrze przeprowadzony atak Japończyków na Dalekim Wschodzie, chyba 25 sierpnia. Gdyby wtedy Japończycy przeprowadzili ten atak i wbiliby się na Syberię, Stalin nie zaatakowałby nas wtedy, bo miałby inne problemy. Niestety dowodził tam Żukow.

Ale trochę błądzimy po meandrach. Mam pytanie – czy patrząc na literaturę przedmiotu, bo jest pan w tym specjalistą, mógłby pan odpowiedzieć, czy była w ogóle szansa w dwudziestoleciu międzywojennym stworzenia czegoś na kształt Międzymorza?

Idea Międzymorza odżywa co jakiś czas. My zresztą jako KPN w latach 90., w czasach przedakcesyjnych, gdy lansowane były różne koncepcje, propagowaliśmy powrót do idei Międzymorza. A teraz, gdy

wszystkie te kraje właściwie są już w Unii Europejskiej – czy uważa pan, że w obszarze unijnym moglibyśmy teraz stworzyć taką grupę nacisku, poszerzając Wyszehrad o te inne państwa i próbować budować wspólny front, nie powiem, że przeciwko Brukseli, ale wspólny front, aby swoje stanowisko przedstawiać w Brukseli? Czy pan widzi taką możliwość?

Piotr Wójcik

Już troszkę rozmawialiśmy podczas obiadu, więc ja ograniczę się do bardzo krótkich uwag.

Nie przekonuje mnie ta argumentacja, że polska polityka zagraniczna i polska polityka tak zwanego obozu sanacyjnego nie doceniała zagrożenia rosyjskiego, czy nie widziała w ogóle zagrożeń. Myślę, że to co mruczał Marszałek pod nosem, że nas zgniotą...

Głos z sali:

Marszałek to nie do końca to samo co obóz sanacyjny.

Piotr Wójcik:

Dobrze, ale jego współpracownicy, wykonawcy jego woli, nie byli amatorami, dyletantami w takim stopniu, żeby nie widzieć podstawowych zagrożeń. Nie przekonuje mnie ta cała sytuacja o rozdziale między działaniami MSZ a planowaniem wojennym w II Rzeczypospolitej. Plan Wschód był dużo bardziej szczegółowym planem operacyjnym, przygotowanym wcześniej niż Plan Zachód i dużo głębiej dopracowany. Zgadzam się na pewno, że skuteczność polskiego wywiadu na kierunku wschodnim była mniejsza, tak jak wszystkich innych wywiadów. Niemcy, nawet hitlerowskie, były czymś obliczalnym, wyobraźnym. W porównaniu z Rosją sowiecką – to dalej była jakaś Europa. I warunki działania służb wywiadowczych wszystkich krajów w Rosji były nieporównywalnie trudniejsze niż w Niemczech.

Sprawa relacji polsko-czeskich. Ja się nie czuję tu oczywiście specjalistą, natomiast trochę na ten temat czytałem i chciałem tylko powiedzieć, że można znaleźć w różnych miejscach potwierdzenia woli Polski w 1938 roku realnego domknięcia układu współpracy z Cze-

chami. Miałem okazję czytać niedawno takie (bardzo ciekawe zresztą – polecam) wspomnienia pułkownika Pragłowskiego. To jest kawalerzysta, szef sztabu w bitwie pod Komarowem z bolszewikami i później szef sztabu armii „Łódź”. W rankingu oficerów sztabu głównego, który jeszcze Piłsudski robił, później inni robili przed wojną, miał jedną z najwyższych ocen, razem z między innymi Romanem Abrahamem, w sensie profesjonalizmu i tego, czy się nadaje do dowodzenia wielkimi jednostkami operacyjnymi. Bardzo zdolny człowiek. I nie wielbiciel Piłsudskiego, ani nie wielbiciel obozu sanacyjnego, tylko osoba, która była w swych poglądach mocno zdystansowana do piłsudczyków. On wspomina nawiązanie i kontynuowanie prac studialnych polsko-czechosłowackich wojskowych i tajne spotkania z oficerami armii czeskiej. I wspomina, że bardzo się podobało i wzbudziło dyskusje i żywy odzew, to co on zrobił na mapie: narysował dwie kreski. Z Warszawy i Pragi do Wrocławia, pokazujące pewną przewagę, przynajmniej taktyczną, na tym obszarze, którą mogłaby dać współpraca polsko-czeska nad Niemcami i możliwość odcięcia Niemców na Śląsku wspólnymi działaniami polsko-czechosłowackimi. Faktem jest, że armia czeska miała znaczący potencjał, czego dowodem jest wykorzystanie czeskich sił pancernych przez Niemców w Kampanii Francuskiej. Oczywiście to jest gdybanie i nie chcę w to wchodzić.

Wydaje mi się, że, podsumowując, trudno się zgodzić z taką tezą, że 1 września polityka zagraniczna Polski zbankrutowała, ponieważ nikt nie przedstawił jakiegokolwiek realnej alternatywy wobec niej. Bełkot o tak zwanych opcjach niemieckich, to są rzeczy nie warte poważnej dyskusji. Uważam, że to wszystko należy widzieć w jednym kontekście – kompletnego blamażu i klęski polityki europejskiej, zwłaszcza francuskiej. Rozumiem Brytyjczyków, którzy kupowali czas i ciągle to robili, żeby przygotować się do wojny. Natomiast jest ewidentne, że armia francuska miała ogromny potencjał i wielokrotną przewagę na froncie zachodnim, że Niemcy hitlerowskie nie były w stanie prowadzić wojny na dwa fronty i cały pomysł ich polityki – zepchnięcia Hitlera na Wschód – został obnażony i skompromitowany zupełnie.

Głos z sali:

Fantasmagorie.

Marcin Furdyna:

Kompletne. I przy nich Beck jest mężem stanu dla mnie.

Mirosław Jachmanowski

Zrozumiałem wypowiedź pana Macieja Zakrzewskiego [na początku dyskusji], że nie było błędem polityki Becka, że nie doceniał Rosji, tylko że nie miał wiedzy. Że nieprowadzone było rozpoznanie naszej polityki zagranicznej, wielopłaszczyznowe, bo takie powinno być, w tym właśnie kierunku. Tak tę wypowiedź pana Macieja zrozumiałem. Natomiast, w kontekście tego, chciałem zadać pytanie. Czy gdyby taka działalność była prowadzona, takie rozpoznanie kierunku wschodniego byłoby i pozyskałby Beck i jego służby jakąś wiedzę na temat możliwości, potencjału, planów Rosji sowieckiej wtedy, to czy to miałyby wpływ na decyzje, które podejmował Beck i jego współpracownicy w zakresie polityki zagranicznej? Czy mielibyśmy jakąś alternatywę dla decyzji, które wtedy zapadły?

Chciałem tylko przypomnieć, że ówczesna Rosja – my w naszej świadomości mówimy o polityce państwa jako takiego – ale ówczesna Rosja, i o tym nie należy zapominać, to był przede wszystkim tylko Stalin. To on w dużym stopniu kształtował to co się działo. Wszystkie decyzje, działania i tak dalej. Nawet jeżeli one były niezrozumiałe dla społeczeństwa sowieckiego.

W 1937 roku na scenach jednego z teatrów moskiewskich była grana sztuka, która nawiązywała do wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. I ona kończyła się taką sceną, gdzie Polacy otoczeni byli przez bolszewików na bagnach, ginęli wszyscy. Była to scena zagłady polskiej armii. Ta sztuka była grana sto kilkadziesiąt razy i na ostatnią scenę, szofer Stalina i jego służby wiedziały, że jak Stalin w tym czasie był na miejscu w stolicy, to na każdą sztukę na tę ostatnią scenę muszą Stalina przywieźć. On tą sceną się lubował, bo on Polski i Polaków wręcz nie cierpiał.

Andrzej Anusz:

Dziękuję za artykuły do „Opinii” o Cacie-Mackiewicz, bo to wywołało dużo bardzo pozytywnych reakcji. Polecamy się na przyszłość. Jesteśmy otwarci i czekamy.

Natomiast chciałbym tu już krótko powiedzieć, ale pójść w stronę obrony polityki Becka. Obrony polityki zagranicznej Polski w drugiej połowie lat 30. Odbieram to, jakbyśmy po roku 1935 przyjęli taką politykę równoległą jak Wielka Brytania. Myśmy kupowali czas. Konflikt się zbliżał, był nieuchronny, natomiast Beck próbował kupić czas.

Popatrzmy na alternatywne sytuacje. Powiedzmy szczerze. II wojna światowa wybuchła o Polskę. Udało się tak zapętlić sytuację różnymi działaniami dyplomatycznymi, sojuszami, które zostały zawarte, zwłaszcza z Wielką Brytanią, Francją i różną grą polityczną, że wojna nie wybuchła o Austrię, nie wybuchła o Czechosłowację, chociaż te państwa też miały różne zabezpieczenia sojusznicze... To był tragizm tej całej sytuacji, że nie można było uniknąć tego konfliktu (i to jest właśnie tragizm Sławka). Że zbliża się ten armagedon, ale ta wojna rozpoczęła się z powodu Polski i już nie można było tego odwrócić. Austrię Europa łyknęła, świat łyknął, Czechosłowację łyknął. Polski już nie łyknął. Oczywiście, że to się odbywało w czasie. 3 września Francuzi i Brytyjczycy nie ogłosili, że wchodzi do wojny. Wojska nie ruszyły, ale rozpoczął się pewien proces polityczny, wojskowy, który już był nie do zawrócenia. To jest moja podstawowa teza obrony Becka. Ten skutek.

Oczywiście ja się zgadzam tu, że były różne niedociągnięcia, nie chcę wchodzić w szczegóły, bo panowie więcej wiedzą na ten temat. Jednak udało się zapewnić taką sytuację, że proces był nieuchronny. Ruszyło się. Nasi sojusznicy – tak czy inaczej – ruszyli później i rozpoczęła się wojna światowa. Ona się mogła różnie, oczywiście, skończyć. Trzeciego września trudno było przewidzieć, co się wydarzy. Ale trzeciego września, formalnie, Wielka Brytania i Francja weszły do wojny. Czyli z punktu widzenia dyplomatycznego efekt został osiągnięty. Oczywiście, co się potem stało, to wszyscy wiemy. W związku z tym moja teza jest taka: jednak tej polityce udało się doprowadzić do takiego zapętlenia sytuacji, że początek wojny o Polskę był począt-

kiem wojny światowej i początkiem procesu, którego nie można było zawrócić. Oczywiście nie wiadomo było, jak Polska, Europa, świat wyjdą z tego procesu, ale to był proces kompletnie już nieodwracalny. I to się udało polityce Becka. I to jest dla mnie podstawowy plus tej polityki, że doprowadził do takiej sytuacji, że te procesy już były nieodwracalne. Były oczywiście obroną, ale były też szansą dla Polski. Jak ją wykorzystano, to już jest inna sprawa.

Jerzy Wawrowski:

– Uważasz, że ten proces wynikał z zabiegów dyplomatycznych polskiej polityki zagranicznej niezależnie od tego, kto by tę politykę prowadził, czy raczej ten proces wynikał z tego, że mocarstwa zachodnie zorientowały się, że sytuacja zmierza do takiego zachwiania sił na kontynencie, że nie ma innego wyjścia, jak się temu przeciwstawić?

Andrzej Anusz:

Uważam, że to był efekt aktywnej polskiej polityki. Mruganie okiem do Hitlera w drugiej połowie lat 30. pokazywało, że on najpierw wziął Austrię, potem wziął Czechy, a myśmy kupowali czas i kierowaliśmy agresję Hitlera na innych. Oczywiście Wielka Brytania na nas skierowała Hitlera, to jest jasne. Myśmy tu nie mieli ruchu. Ale nie można powiedzieć czegoś takiego, że to było zdeterminowane. Nie. To jest aktywna polityka Polski.

Jerzy Wawrowski:

To w tym momencie, kto rozpętał II Wojnę Światową? My.

Andrzej Anusz:

Dobrze. W obronie naszej niepodległości.

Maciej Zakrzewski:

Zacznę może od końca. Tak. Z tezą, że to jest sukces Becka absolutnie, w 100% się zgadzam. Bo Wielka Brytania to nie jest Francja, która od 1921 roku miała sojusz z Polską. Sojusz Polski z Wielką Brytanią

został zawarty kilka dni przed wojną. To, że wybuchła wojna o Polskę, również jest dużym sukcesem Polski.

Trzeba jednak jedną rzecz uwzględnić, której nie uwzględniano w dalszych rachubach i to się niejako mściło również na naszej polityce w czasie II wojny światowej. To jest to, co mówiłem wcześniej o Rosji. W momencie, kiedy Rosja wchodzi do rozgrywki, jest ona głównym partnerem na Wschodzie. Każdy, kto chce rozegrać sprawę z Niemcami będzie się liczył z Rosją. Problem Paktu Ribbentrop-Mołotow polega w dużej mierze – to próbowali również Francuzi zrobić, ale zrobili to Niemcy – na wciągnięciu Rosji z powrotem, po upływie 21 lat, do układu geopolitycznego Europy. Bo przez 21 lat mieliśmy tylko i wyłącznie pewne próby. Było Rapallo, które się kończyło wraz z dojściem Hitlera do władzy, i Rosja cały czas stała i obserwowała, co się dzieje. Nie była zapraszana. Dopiero Hitler ją zaprosił...

Cały czas łudziliśmy się, że Zachód na Wschodzie będzie liczył na nas. Niestety ten potencjał był, jaki był i to się musiało tak skończyć. I tu jest ten wielki dramat geopolityczny, który trwa od XVIII wieku, od momentu, kiedy Piotr I dorwał się do Bałtyku z jednej strony, a z drugiej strony do Morza Czarnego. I tylko i wyłącznie przez te 20 lat od 1918 do 1938 roku Rosja była poza układem geopolitycznym. To było to „okienko”, które mogło być naszą szansą. Niestety nie udało się. I Rosja nad Morzem Czarnym i Bałtykiem – to jest ten problem, który można powiedzieć, trwa do dziś, jeśli spojrzymy na sprawę krymską.... To są dwa punkty, w których nigdy nie ustąpią, nawet za cenę zaryzykowania konfliktu.

Sprawa Sławka. Są różne interpretacje tego samobójstwa. Wiadomo, że popełnił samobójstwo po rozmowie z Beckiem. Wiadomo, że Beck w tym czasie zmierzał do Londynu, aby przyjąć gwarancje brytyjskie. Jedni mówią, że Sławek, widząc co Beck chce zrobić, zrobił to, co zrobił. Nie wiemy tego. Możemy dywagować. Jedna rzecz jest pewna, że Sławek wiedział, co się kroci. On nie miał żadnej odpowiedzialności. Był człowiekiem wyautowanym poza obóz sanacyjny. Był symbolem i tyle. To był człowiek bez wpływów. Poza Wielką Trójką, czyli Zamiem, GISZ-em i Beckiem.

Jeszcze jedną rzecz pragnę przypomnieć. Rozmawiamy o Czecho-słowacji. Jest kwestia jeszcze Słowacji. I jednej z najbardziej fatalnych, poważnych i brzemiennych w skutkach decyzji Becka i Rydza, tzn. zgłoszenia do nowo powstałej Słowacji rewindykacji terytorialnej o wioski na Spiszu i Orawie. Ruch niepodległościowy Słowacji, który był wspierany przez Polaków, był jednym z najbardziej propolskich tworów, który wtedy powstał. Natomiast zgłoszenie tej rewindykacji umożliwiło Niemcom zdobycie tam wpływów. Jak zobaczymy, co się stało we wrześniu 1939, jak z terenu Słowacji uderzyła najbardziej na wschód wysunięta armia niemiecka. I to ona w dużej mierze zdeterminowała sytuację na froncie.

Piotr Wójcik

Armia słowacka?

Maciej Zakrzewski:

Nie. Niemiecka. Potrafiliśmy za kilka wiosek i nic nieznaczącą rewindykację doprowadzić do tragedii.

Piotr Wójcik

A bez tego Niemcy by tam nie weszli?

Maciej Zakrzewski:

Bez tego rządowi słowackiemu trudno byłoby uzasadnić bezpośredni udział w agresji na Polskę. Tak jak Węgrom.

Piotr Wójcik:

Przepraszam, ale Słowacy się zmobilizowali. Ustawili korpus piechoty.

Maciej Zakrzewski:

No tak, bo kilka miesięcy wcześniej zabraliśmy im kawałek terytorium. Zgłosiliśmy do nich ultimatum...

Piotr Wójcik:

I tak by zaatakowali stamtąd.

Maciej Zakrzewski:

Mogli zachować się tak jak Węgrzy.

Piotr Wójcik:

Ale to nie było decydujące dla przebiegu kampanii. Bo rozwinięcie X armii było z terenów czeskich.

Maciej Zakrzewski:

Oczywiście. Nie ma jednego czynnika decydującego.

Padło tu do mnie pytanie dotyczące zaniechania aktywności polityki Becka na kierunku wschodnim. Trudno powiedzieć. Jeśli on by taką wiedzę dostał 31 sierpnia, czy 23 sierpnia, to mógłby grać na czas. Mógłby dać Niemcom korytarz i Gdańsk (Gdańsk był miastem niemieckim). Zyskalibyśmy może kilka miesięcy. Może w pewnym momencie pojawiłyby się inne żądania...

Mirosław Jachmanowski:

Mnie nie chodziło o sytuację, która miała miejsce 23 sierpnia, tylko wcześniej. To nie była kwestia ostatnich dni.

Maciej Zakrzewski:

Być może. Można było próbować... To nie jest tak, że Beck przespał, tylko Beck uznał, że skoro Hitler ze Stalinem tak się nie lubią, to ich porozumienie nie jest możliwe. To znaczy uważał, że dystans ideologiczny między Berlinem a Moskwą jest tak duży, że sprawę mamy załatwioną. Natomiast prawda też jest taka, że w prasie polskiej dostrzegano zmiany w przemówieniach Stalina i Hitlera od 1939 roku. Na przykład ostrzegano, że Hitler w styczniu 1939 roku, w swoim przemówieniu, po raz pierwszy od 6 lat nie atakuje Związku Sowieckiego. Tak samo był komentarz do przemówienia Stalina bodajże z marca 1939 roku, że jest coś na rzeczy. Trudno powiedzieć. Wszystkie scenariusze będą

łechtać nasze dobre samopoczucie i nasze sentymenty, natomiast jest to nieistotne i nijak ma się do rzeczywistości.

Marcin Furdyna:

– Trochę się tego nazbierało. Spróbuję po kolei, Jeśli coś pomnę, to z góry przepraszam i proszę mi przypomnieć.

Mirek Lewandowski mówił o Becku i o Sławku. Rzeczywiście Sławek popełnił samobójstwo w momencie, kiedy Beck zmierzał do Wielkiej Brytanii, natomiast wiemy na pewno tyle, że Beck konsultował się ze Sławkiem. Wymieniali swoje myśli i Sławek wiedział, co zamierza Beck. Wiemy też, że Beck, kiedy dowiedział się o samobójstwie Sławka, był bardzo poruszony. Jeśli dobrze pamiętam ze wspomnianego wywiadu-rzeki z Leszkiem Moczulskim (ale musiałbym to sprawdzić), to Moczulski twierdził, że na kanwie polityki międzynarodowej nie było między nimi rozbieżności. Pytania, czy oni rzeczywiście się zgadzali i dlatego Sławek zrobił to, co zrobił, pozostaną pewnie nierozwiązane do samego końca.

Mirosław Lewandowski:

– Ale myślę, że to świadectwo matki Moczulskiego należy poważnie traktować. Choćby z uwagi na to, że była współpracowniczką Sławka od 1905 roku. Ona uważa, że powodem samobójstwa Sławka była świadomość nadciągającej klęski.

Maciej Gawlikowski:

– Ale to jest wiedza nie o fakcie, tylko o czyimś komentarzu.

Marcin Furdyna:

– Ja bym tego nie lekceważył. To oczywiście jest ważne świadectwo. Czy Sławek – z jednej strony – widział nadciągającą burzę, której Polska może nie przetrwać, a z drugiej strony – zgadzał się z Beckiem co do prowadzonej polityki zagranicznej, bo nie widział alternatywy? Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć i nie wiem, czy ktoś w ogóle potrafi.

Pojawiła się kwestia Międzymorza. Pan pytał, czy była szansa realizacji. Profesor Kornat ujął to bardzo dyplomatycznie. To znaczy, że

była to koncepcja realna, ale nie realistyczna. Dało się to zrobić, jeśli nie wydarzyłyby się rzeczy, które legły u podstaw niepowodzenia tej koncepcji. Przede wszystkim Rumunia musiałaby dojść do porozumienia z Węgrami, co się nie stało. Niemcy musiałby nie rosnąć w siłę tak szybko, jak rosły.

Te kraje urosły w siłę kosztem Węgier. Do dzisiaj zresztą. Jak w 2014 roku zaczął się kryzys z Krymem, to nagle mniejszość węgierska w Rumunii się zaktywizowała.

W każdym razie Międzymorze czy też Trzecia Europa w dwudziestym wieku międzywojennym okazała się nierealistyczna. Nie dało się przeskoczyć tych trudności, które występowały, żeby do takiego sojuszu doprowadzić. Tam oczywiście była jeszcze kwestia państw skandynawskich, państw bałtyckich, w grę wchodziła Jugosławia, Grecja nawet. Państwa skandynawskie do końca właściwie trzymały się swojej neutralności. O ile po 1935 roku widać jakieś ożywienie w stosunkach polsko-skandynawskich (pamiętajmy, że w 1935 roku nastąpiło też podpisanie traktatu morskiego Wielkiej Brytanii z Niemcami, co było nad Bałtykiem odbierane jako brak zainteresowania państw zachodnich tym akwenem), to państwa skandynawskie zaczęły sobie zdawać sprawę, że zagrożenie niemieckie może być bardzo namacalne w najbliższych latach. I rzeczywiście Szwecja czy Norwegia zaczęły podnosić wydatki na zbrojenia. Szwecja na przykład w 1937 roku zorganizowała wielkie manewry, z których wyszło mniej więcej tyle, że Szwecja nie jest przygotowana do wojny w ogóle. W dodatku ma wielkie pokłady rudy żelaza na północy, bardzo interesujące nie tylko dla Niemiec, ale też pewnie dla Związku Sowieckiego.

Głos z sali:

– Tak jak dzisiaj nie są przygotowani.

Marcin Furdyna:

– Tak. Dzisiaj państwa bałtyckie też są wybitnie neutralne, chociaż co jakiś czas są znaki, że może coś się zmienia. Sondaże pokazują wyższe poparcie dla NATO, ale mniej więcej tak było w połowie lat 30.

Dania była bardziej zachowawcza, ponieważ nie chciała drażnić Niemców i myślała, że rzeczywiście sprawy potoczą się mniej więcej tak, jak się potoczyły w I wojnie światowej. Że ona jakoś tę wojnę przetrwa. Jeśli dobrze pamiętam, Dania była neutralna do samego końca. Do ataku niemieckiego. Chociaż wiedziała już na pewno, że Niemcy wkroczą. I nie miała wtedy już za bardzo wyboru.

Z Litwą sprawy są jasne.

Z Estonią właściwie przez całe dwudziestolecie stosunki były przyjazne, tylko za dużo z tego nie wynikało.

Z Łotwą też było różnie. Łotwa próbowała grać takiego mediatora między Polską a Litwą, chociaż Polacy uważali z reguły, że więcej w tym gry niż realnych zamiarów.

Tak że północ właściwie była zamknięta. Jeszcze, chyba w końcu sierpnia, państwa skandynawskie, a raczej „Grupa Oslo”, bo to się tak nazywało nieformalnie, czyli Skandynawia, Luksemburg, Belgia i ktoś tam jeszcze, zadeklarowały, że pozostaną neutralne i zastrzegają sobie możliwość niewywiązywania się z obowiązków wynikających ze statutu Ligi Narodów, tzn. nakładania sankcji na agresora. W ogóle zostały z boku. Udało się podkreślić jakoś kontakty gospodarcze, ale politycznie, mimo jakichś przebłysków, to nie wchodziło w rachubę.

Czy dzisiaj w Unii Europejskiej jest możliwe jakieś Międzymorze? Bardzo ciekawe pytanie. Właściwie to funkcjonuje i nazywa się Trójmorze, chociaż niektórzy chyba dość zasadnie mówią, że Trójmorze i Międzymorze to nie jest do końca to samo. Trzeba wziąć pod uwagę, że Trójmorze, w zasadzie, w swoich założeniach to projekt wybitnie biznesowy, infrastrukturalny...

Głos z sali:

Gospodarczy.

Marcin Furdyna:

Gospodarczy. Chodzi o pozyskanie środków z Brukseli, aby pomiędzy Bałtykiem a Adriatykiem rozwinąć komunikację, infrastrukturę, jakoś zbliżyć te państwa ze sobą. Czy to ma jakieś perspektywy poli-

tyczne? Moim zdaniem żadnych. Tych państw jest tak dużo i ich interesy są tak rozbieżne, że jakiejś unii nie da się zrobić. A jeśli nawet Polska by coś takiego próbowała w porozumieniu z innymi krajami, to jest od razu zarzut, że Polska chce rozbijać struktury nie tylko europejskie, ale euroatlantyckie, bo tu też wchodzi w grę NATO.

Kwestia Grupy Wyszehradzkiej – zawsze z tego trochę się śmiałem. Zresztą byłem w jednym z ośrodków debaty międzynarodowej, chyba w Opolu. I tam mówiłem właśnie o kwestii współpracy w ramach Grupy Wyszehradzkiej. To jest ciekawe, jeśli mówimy o Międzymorzu i bierzemy pod uwagę cztery kraje, z których tylko Polska ma dostęp do morza. Nie ma tego drugiego morza, żeby było międzymorze. To jest zarzut może trochę śmieszny, ale prawdziwy. Bo to nie jest clou tej koncepcji międzymorskiej, żeby współpracować tylko z krajami grupy wyszehradzkiej.

Jak się prześledzi historię grupy wyszehradzkiej, to współpraca w jej ramach intensyfikuje się właściwie okresowo. Teraz zintensyfikowała się, ponieważ była kwestia uchodźców i można było na tym grać. Natomiast po jakimś czasie Czechy i Słowacja – zwłaszcza jak Słowacja miała przewodnictwo w Radzie Europejskiej – już widać było, że te stanowiska nie do końca są zbieżne. Czechy i Słowacja patrzą bardziej w kierunku Berlina i Brukseli, niż myślą tutaj iść bardziej na ostro po stronie Polski i Węgier. Być może teraz znowu jakaś współpraca się ożywi w ramach grupy w czasie dyskusji nad nowym budżetem Unii Europejskiej. Ale to będą tylko okresy współpracy. Nic trwałego. Jeżeli budować Międzymorze, to (budować Międzymorze – brzmi trochę, jak budować socjalizm) podstawowym elementem takiego bloku powinna być Ukraina. I tutaj można szukać jakiejś współpracy. Ale to już wychodzi poza Unię Europejską

Głos z sali:

I Rumunia.

Marcin Furdyna:

No tak, Rumunia to chyba podstawowy partner mający dużo interesów zbieżnych z nami. Ale wiadomo, że Węgry – nie bardzo. Czechy –

nie bardzo. Tak że politycznie ten organizm państw Unii Europejskiej nie ma za bardzo obiecujących perspektyw. Tak bym to określił.

Chociaż należy pamiętać, że to Międzymorze, chociaż niesformalizowane, ale istnieje. Była dziewiątka bukaresztańska przed szczytem NATO w Warszawie, jest incydentalna współpraca w zależności od tematu. Na przykład Nord-Stream 2, ale w zasadzie każde państwo trochę z innej pozycji to krytykuje. W jakichś kwestiach bieżących zawsze można ugrać jakąś koalicję państw środkowo-europejskich, w takim czy innym składzie. Ale nic stałego, ścisłego, zwłaszcza jeśli miałoby być w opozycji do Unii Europejskiej, nie powstanie.

Słyszałem taki głos z Łotwy, tamtejszego prezesa instytutu do spraw międzynarodowych, że oni właśnie tak postrzegają polskie plany Międzymorza. W kontrze do NATO, w kontrze do Unii Europejskiej. Łotwa w to nie idzie. „Działania Polski są właściwie szkodliwe dla wspólnoty europejskiej i euroatlantyckiej”. Tak że nawet państwa bałtyckie czasami się od tego odcinają. Najbardziej wojownicza wydaje się Litwa, ale z kolei Łotwa i Estonia muszą – choćby ze względu na dużą mniejszość rosyjską – uważać w tym temacie.

Nie znam, niestety, tej sztuki teatralnej z 1937 roku, ale spróbuję doczytać. Bardzo ciekawy temat.

Nie zgadzam się natomiast z tezą, że Wielka Brytania wciągnęła Polskę do wojny. To jest bardzo popularny zarzut i to chyba najbardziej lansował Cat-Mackiewicz. Teraz zostało to przejęte przez obrońców ewentualnego sojuszu polsko-niemieckiego. Historycy bronią się w najprostszy możliwy sposób. Po pierwsze, nie ma dokumentów potwierdzających, że takie były plany gabinetu brytyjskiego. Podpisanie sojuszu z Polską czy udzielenie gwarancji w praktyce zapewne skutkowało tym, że ostatecznie wojna zaczęła się od Polski, ale jeżeli ktoś zarzuca Wielkiej Brytanii, że zrobiła to cynicznie, że chodziło jej tylko o to, żeby skierować atak niemiecki na Polskę, to jest teza dyskusyjna. Przede wszystkim Wielkiej Brytanii chodziło o to, żeby do tej wojny nie doszło. I Polska była elementem w tej układance, żeby przestraszyć Hitlera, że jeżeli wywoła wojnę, to będzie to wojna na dwa fronty, a on powtarzał zawsze, że tej wojny musi uniknąć. Czyli jeżeli zakładać, że Hitler będzie postę-

pować racjonalnie – co okazało się nieprawdą – to tej wojny nie powinien wywołać. O ile mówi się, że Wielka Brytania wciągnęła Polskę do wojny, czy skierowała Hitlera na wschód – bo to był rezultat, Niemcy zaatakowały Polskę – o tyle niektórzy brytyjscy historycy odwracają ten zarzut. To znaczy mówią, że to Beck prowadził tak świetną politykę zagraniczną, że mu się udało wciągnąć Wielką Brytanię do wojny. No i coś w tym jest. Tu się zgadzamy, że to był rzeczywiście sukces Becka.

Maciej Zakrzewski wspomniał, że żądania niemieckie można by przyjąć. Że Gdańsk był właściwie niemiecki, a pomysł korytarza w zasadzie, w latach 20. wysunęli sami Polacy.

Głos z sali:

Zanimby korytarz zbudowano, już by wojna na pewno wybuchła.

Marcin Furdyna:

To prawda. Tylko problem jest taki, że ten korytarz by budowano. To chyba Gursztyn najbardziej jaskrawo o tym pisze. Że kto by dał rękojmię, że robotnicy budujący ten korytarz...

Głos z sali:

Chodzi o tę linię kolejową?

Marcin Furdyna:

Chodzi o autostradę i linię kolejową eksterytorialną. Kto by dał rękojmię, że robotnicy nagle nie włożą mundurów?

Maciej Zakrzewski:

Ale nie chodzi o intencje, tylko o grę na czas. Nie powiedziałem, że należało przyjąć żądania. Tylko jeśli już coś, jeśli byłaby taka świadomość, to jest to jakaś alternatywa, nad którą można podyskutować. Z punktu widzenia tych konkretnych żądań.

Marcin Furdyna:

To prawda, ale – i o tym chciałem powiedzieć – Gursztyn (mamy

go zaraz recenzować, więc ciągle mi chodzi po głowie – w każdym razie polecam państwu lekturę)... W tych żądaniach nie chodziło tylko o Gdańsk i autostradę. Tam był jeszcze zapis o klauzuli konsultatywnej. Czyli Polska właściwie wyrzekała się swojej polityki zewnętrznej. Jeśli przystąpiłaby do Paktu Antykominternowskiego, to byłaby całkowicie uzależniona w kwestii polityki zagranicznej od Niemiec. I to było clou tych żądań. Polska na to już zgodzić się nie mogła.

Jeszcze zapisałem sobie – to chyba Grzybowski powiedział – w kwestii błędnych zapatrywań dyplomacji polskiej na Związek Sowiecki... Bardzo ciekawe, bo Grzybowski, o ile nie doceniał Związku Sowieckiego i trochę błędnie odczytywał sytuację, powiedział, że nie istnieje możliwość trwałego porozumienia między Niemcami a Związkiem Sowieckim. I rzeczywiście. Trwałe porozumienie to nie było. To oczywiście niedużo zmienia. Ale, jakby nie patrzeć, sytuację w tym akurat wypadku, odczytał poprawnie. To taka mała obrona Grzybowskiego na zakończenie.

Kazimierz Wilk:

– Czy ja mogę jeszcze dwa zdania? Ja do pana Macieja Zakrzewskiego. Ja się z panem nie zgadzam, gdy idzie o te wioski na Spiszu i Orawie. Mieszkańcy tych dwóch czy trzech wiosek opowiedzieli się za Polską. Czy potrafiłby pan potem do tych mieszkańców pojechać i powiedzieć: „Niestety, ale ze względów strategicznych i politycznych musicie zrezygnować”? To nie jest takie proste. Tam mieliśmy zupełnie z czym innym do czynienia. To po pierwsze.

A druga rzecz jest taka. Szanowni państwo, my tutaj dyskutujemy, co się stało w 1939 roku. Uważam, że to jest konsekwencja układu ryskiego. Proszę zauważyć, jak się wściekł Piłsudski, gdy wróciła delegacja, która podpisywała ten traktat. W hotelu, w którym mieszkała nasza delegacja, mieszkała delegacja za delegacją. Mówiono, tłumaczono. Granice. Przecież pierwsza propozycja delegacji rosyjskiej była jaka? Prawie pierwszy zabór. Ale to endecy... Ja mówię o konsekwencjach. Jeżeli się dokona złego wyboru to trzeba wiedzieć czym się to po latach skończy.

DR BOHDAN URBANKOWSKI

**CZY POEZJA MOŻE ZASTĄPIĆ MYŚLENIE POLITYCZNE.
REFLEKSJE W KONTEKŚCIE ROLI POEZJI W POLSCE
PO 1989 ROKU**



Temat był oczywiście na wabia. Nie będzie niczego o 1989 roku, ani o kontekście Herberta, chyba żebym przypadkiem wpadł w dygresję. Ustalaliśmy z Michałem Janiszewskim, że chodzi nam o tę relację między politykiem a poetą; poezją a polityką.

Przy czym jest to rzecz o tyle interesująca, że posługujemy się pojęciami mglistymi, wręcz chmurnymi i dlatego wszyscy wiedzą o co chodzi. Normalnie, jeżeli definiujemy cokolwiek, to wycinamy ten przedmiot z większej całości, z nieskończoności. Ale nie znaczy to, że

ta nieskończoność przestaje istnieć. Ona nadal istnieje. Kwestią wnikliwej analizy jest to, żeby potrafić ten analizowany przedmiot włączyć w większe konteksty. Zobaczyć nadukłady, podukłady, jakieś układy równoległe, które na to oddziałują.

Tutaj cały czas tym przedmiotem będzie poezja. Pojęcie chmurne. To nie jest przypadkiem użyte słowo, dlatego że kiedyś na odróżnianie pojęć od pojęć używano tak zwanych kół Eulera. To były takie dwa kółka. One się albo przecinają, albo pokrywają, albo jedno jest w środku drugiego i tak mamy ten świat porządkowany.

Tyle tylko, że w naszych czasach świat jest trochę inny. Nie wystarczy rzut tego co się dzieje na płaszczyznę. Bo to jest spłaszczenie plakatu. Zamiast kół powinny być kule. Ale wiemy, że w naturze takich prawdziwych i idealnych kul nie ma. Jest to twór ludzkiego umysłu. Wtedy byłoby to coś pełne wypustek i dziur. Poza tym kula, która tutaj będzie omawiana, w rzeczywistości nie ma powierzchni. Bo te pojęcia, które oznaczmy tymi kulami się przenikają. To znaczy, że one różnią się gęstością. Że są po prostu chmurami.

I tutaj, może żeby zrobić mały przystanek, nie będziemy używać kół Eulera, ale możemy mówić o chmurach Urbankowskiego, które w tej chwili wynalazłem i to się nam chyba przyda w dalszych analizach. A nawet jeśli nie, to będziemy mogli wrócić z Gór Świętokrzyskich z poczuciem, żeśmy jednak coś wynaleźli i nie byliśmy tu na darmo.

Tematem ma być poezja. Kwestia prawdziwa – nieprawdziwa, dobra czy zła, to wyjdzie w dalszych wywodach. Ale zacznę może, żeby sobie rzecz ułatwić, od starej chińskiej anegdoty. Otóż, jak państwo wiedzą – bo to jest jedyny cesarz, którego my znamy – był w Chinach taki cesarz, Shi Huangdi, który robił różne dziwne rzeczy. Wydawał zakazy, wskrzeszał, zabijał. To, co akurat wypadło tam zrobić. W pewnym momencie wydał zakaz pisania wierszy. Zwraca się do niego premier. „Jak to, wszystko będzie zniszczone? – A tak, bo te, które są już napisane będą zniszczone. Proszę to dopisać do tego zakazu. – To niemożliwe. Cała nasza chińska poezja, która ma już kilka tysięcy lat, upadnie. – A nie. Bo ci, którzy są prawdziwymi poetami, będą pisać dalej. Żadne zakazy nie pomogą”.

I tutaj chciałbym, żebyśmy mówili o tej prawdziwej poezji. Aczkolwiek słowo będzie nieco wieloznaczne. Bo prawdziwy, obowiązkowy, serio, tylko kwestia względem kogo, względem czego. Tytuł sugeruje, że powinna być poezja i polityka. Jak już powiedziałem, wedle tych chmur Urbankowskiego, są to pojęcia nieco mgliste.

Poprzez politykę rozumie się, po arystotelesowsku, działalność na rzecz dobra wspólnego. Albo takie kierowanie ludźmi, które by prowadziło do dobra wspólnego. Oczywiście, jak się tak mówi, to to się wydaje jasne, ale jak podłubać, to okazuje się, że każde z tych pojęć jest niezrozumiałe. Potoczny błąd „ignotum per ignotum” jest w całej humanistyce używany i dzięki temu ta humanistyka może się rozwijać. Kwestia związku poezji z polityką łączy się z tym, co my będziemy uważali za to dobro wspólne i w jaki sposób my będziemy to dobro wspólne realizować.

Bo dobro wspólne, dobrze. Ale wiadomo już od czasów Sokratesa, że czym innym było dobro, nawet dobro najwyższe, które było Platona (ani zjeść, ani pomacać, ale jest), a czym innym było w Koryncie, gdzie było zjeść i pomacać, bo tam wytwarzali to dobro wspólne na potęgę. Nawet eksportowali do Sparty, gdzie obyczaje były zbyt rygorystyczne. To dobro wspólne może też być realizowane na różne sposoby.

Jeżeli przechodzimy do polityki, to może być po prostu terror. Bardzo skuteczna metoda. Kto nie wierzy, że dobrem wspólnym jest tyśiącletnia Rzesza albo komunizm, to go po prostu likwidujemy i dzięki temu wszyscy pozostali wierzą w komunizm, bo jeżeli ktoś nie wierzy, to go znowu likwidujemy. I wszyscy jesteśmy przekonani, że ten świetlany ustrój będzie. Ale jest też inna możliwość. Możemy sterować ludźmi, żeby oni sami z siebie w coś uwierzyli. Stosując perswazję, propagandę... Tu tytułem wykształcenia salonowego, to Benedykt XV wymyślił kongregację do spraw propagandy w 1922 roku. I od tego czasu propagandy nikt nie lubi. A chodziło mu o rzeczy znaczne. O szerzenie, bądź co bądź, projektu na zbawienie. Na udoskonalenie tego świata i zamieszkanie w tym jeszcze lepszym. Natomiast żydzi, luteranie i kalwini twierdzili, że ta propaganda jest po to, żeby ludzi oszukiwać. I tak już zostało. Z jednym tylko wyjątkiem. W czasach bolszewizmu nikt

tak nie mówił. Natomiast można też pomyśleć o pozytywnej propagandzie, która jest swego rodzaju kodeksem moralnym, katechizmem człowieka.

I tu już dochodzimy do pewnego typu poezji. Jest coś takiego jak poezja hymniczna. Poezja hymniczna, czyli coś, co stawало się hymnami. Inaczej mówiąc, coś w czym zapisuje jakaś zbiorowość swoje najświętsze wartości, cele swojego istnienia. Pokazuje, jakie są drogowskazy historii. Aż poza historię–wieczność. Ja tu parę fragmentów, zaraz państwu zaprezentuję.

Pierwszą pieśnią hymniczną, czy też wierszem, trudno powiedzieć (muzykę do tego napisał dopiero w XX wieku Andrzej Kuryłowicz – jak to przedtem śpiewano, nie było wiadomo) jest *Bogurodzica*. Myśmy z Grzesiem Królikiewiczem ten tekst usiłowali na pieśń przerobić. Jemu wychodziła inna pieśń, mnie inna. I dopiero jak się Kuryłowicz wkurzył, to stworzył taką wzorcową melodię. I to było zaprezentowane w filmie o Gallu Anonimie. Jest to ta pieśń, która przechodzi przez historię, a musi iść jeszcze dalej. Tak że tutaj się nie mogła skończyć, gdyż wiadomo z przekazów, że śpiewano ją pod Grunwaldem. Więc miała znaczenie hymnu rycerstwa, hymnu państwa. Hymnu tych, którzy uważali, że to oni reprezentują model prawdziwego chrześcijaństwa. Bo pretekstem do bitwy pod Grunwaldem były spory polsko-krzyżackie, o tym, czym jest chrześcijaństwo, czy wolno siłą nawracać pogan. Czy wolno ich przy okazji wyrznać, czy też trzeba stosować jakąś dobroć. Znów kwestia definicji, co ma być tą dobrocią. Tak czy inaczej, ta pieśń zaistniała. Aczkolwiek do końca nie wiemy w jakiej formie, bo najstarszy z zapisów to jest 1407 rok. Prawdopodobnie, według niektórych, 300 lat po napisaniu. Według niektórych jeszcze więcej. Jest nawet hipoteza Birkenmaiera, iż autorem tego był sam Święty Wojciech, czego dowodem miały być pewne czechizmy w tekście. W każdym razie, tak dla przypomnienia, przeczytam fragment.

*Boga rodzica dziewica,
Bogiem sławiena Maryja
twego syna, gospodzina,*

*matko zwolena Maryja,
Zyszczy nam,
spuści nam
Kyryjelejzon.*

*Twego dzieła krzciciela, Bożyce,
Usłysz głosy,
napętni myśli człowieka.
Słysz modlitwę, jaż nosimy.
A dać raczy, jegoż prosimy,
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.
Kyryjelejzon.*

Kyryjelejzon to oczywiście greckie, ale tak czy inaczej, jest to kultura łacińska. Jeżeli tekst powstawał, rzeczywiście, jeszcze z końcem X wieku, to powstał przed schizmą. I tu nie było doktrynalnych różnic między Rzymem a Konstantynopolem wtedy, bo schizma to jest 1054 rok przecież. Tak czy inaczej, jest to jednocześnie pierwsza deklaracja, używana w celu wojennym przed wyrżnięciem Krzyżaków, ale mówiąca o rzeczy jednak tak wspaniałej jak „na ziemi zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt”. Więc tutaj mamy całą wizję ludzkości, przekraczającą doczesność. Język rzeczywiście jest trochę dziwny. Można się dopatrywać czechizmów, co robili językoznawcy. Ale niekoniecznie. Dlatego że można przyjąć, że ten język słowiański miał dużo słów wspólnych, inaczej brzmiących niż dzisiaj. Pośrednim dowodem ma być tutaj przekład Ewangelii przez Cyryla i Metodego. Tak zwany starobułgarski, ale to potem było na Słowacji. Tak że, być może, jest to zabytek wspólnego języka Słowian. Mówię być może, bo nie jest to pewne. Cyryl i Metody w ogóle posługiwali się cyrylicą, stąd nazwa tego alfabetu.

W każdym razie ten hymn obowiązuje przez lat wiele, wiele, wiele i dopiero po pewnym czasie są próby znalezienia czegoś zupełnie innego. Jednym z takich pierwszych hymnów pisanych wręcz na zamówienie jest *Święta miłości kochanej ojczyzny* biskupa Krasickiego. To

się stało hymnem pokolenia młodych i wszystkich przyszłych pokoleń, w zamiarze autora, dlatego że był to równocześnie hymn warszawskiej szkoły rycerskiej, odśpiewywany przy wszystkich uroczystościach. A być może, jeżeli były tam tak zwane apele poranne, to na pewno to tam śpiewano.

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwne!
Dla ciebie zjadł smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezελżywe.
Kształcisz kalectwo przez chwalebne
blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy
prawdziwe,
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.

To jest przyczynek do dzisiejszej dyskusji. Okazuje się, że miłość ojczyzny jest jednak wyżej tu stawiana niż życie. Wyżej niż dobro. Mało tego. Ta miłość ojczyzny kształci rany w chwalebne blizny. Kształci – nadaje kształt. To nie będzie rana prymitywna, którą ktoś nam zadał w ciemnym zaułku, tylko chwalebna blizna – świadectwo bitwy zwycięskiej – daj Boże – którym można się wręcz chwalić. Istniało takie pojęcie jak słusznie dumny. Rycerz miał prawo być słusznie dumny, bo on sobie na to swoimi czynami zasłużył. Rycerz miał prawo się chwalić.

Myślę, że ta etyka rycerska przez cały czas, przynajmniej do rozbiorów, a może nawet i w czasie powstań, towarzyszy naszemu życiu codziennemu. Mało tego, udziela się kastom nierycerskim. To naśladowanie etosu szlacheckiego przez chłopstwo... nie tylko etosu. Czasem także i stroju, obyczaju. Ale tak czy inaczej, świadczy o tym, że jest to na tyle atrakcyjny etos, że także inne warstwy narodu się w to włączają. I można tu mówić o unarodowieniu poprzez wejście w pewien krąg wartości etycznych, w tym wypadku rycerskich.

Oczywiście nikt nie ma złudzeń, nie cały naród był rycerzami. Nie

cały naród walczył o niepodległość. Większość narodu to są szuje, kombinatorzy i idioci. Nie miejmy co do tego złudzeń. Natomiast u nas było tej szlachty uszlachconej, w razie czego zobowiązanej do pospolitego ruszenia – co było też zasadą wynikającą z naszego etosu. Każdy musi bronić ojczyzny. Każdy musi w razie czego ofiarować życie, ale tylko w granicach tej ojczyzny. I tu był problem, że często nasze wojny obronne, gdy mogliśmy już na koń i „bolszewika goń, goń, goń” aż pod Moskwę. A tymczasem nasi husarze, zamiast gonić, po prostu się zatrzymywali i mówili, że dalej nie idą. Tu są granice ojczyzny. Oczywiście, sztuka dyplomacji polegała na tym, żeby dać im trochę forsy. Temu nadać starostwo, tamtemu może jakąś kasztelanię... To były mechanizmy wzmagające patriotyzm. Stare jak świat przecież i do dzisiaj używane. Ale proszę zwrócić uwagę, że jeżeli projektujemy przyszłość – a inwestycja w młodzież jest inwestycją w przyszłość – w szkole rycerskiej wychowują się ci, którzy kiedyś będą temu narodowi przewodzić. To jest elita. Jeżeli teraz można czegoś życzyć temu narodowi, niech do cholery, założą szkołę rycerską. Byłby to jakiś sposób. Myślę, że w tej chwili was zaskoczę, ale jeszcze chcę pokazać jeden wzór poezji hymnicznej, który za poezję hymniczną nie uchodzi. Jego autor był raczej niespełnionym poetą. Kiepskim. Chciał pisać coś wzniosłego, wychodziło coś dla dzieci. Właściwie to on się wstawił raczej jako animator kultury. Z tym, że też nie do końca. Kochają go w Iwoniczu Zdroju na przykład. W Poznaniu już trochę mniej, bo poznaniacy są oszczędni, a on jako animator za bardzo nie chciał oszczędzać. Tak czy inaczej, pisał. Wydawał tomik za tomikiem i nawet jak chciał pisać rzeczy wzniosłe, to mu takie trochę dla dzieci wychodziły. I chwała Bogu. Bo jeden z jego wierszy – właśnie dla dzieci – stał się wierszem wielu pokoleń. Władysław Bełza, bo o nim cały czas mówię przecież, napisał to słynne:

- *Kto ty jesteś?*
- *Polak mały.*
- *Jaki znak twój?*
- *Orzeł biały.*
- *Gdzie ty mieszkasz?*

- *Miedzy swemi.*
- *W jakim kraju?*
- *W polskiej ziemi.*
- *Czym ta ziemia?*
- *Mą ojczyzną.*
- *Czym zdobyta?*
- *Krwią i blizną.*
- *Czy ją kochasz?*
- *Kocham szczerze.*
- *A w co wierzysz?*
- *W Polskę wierzę.*
- *Czym ty dla niej?*
- *Wdzięczne dziecię.*
- *Coś jej winien?*
- *Oddać życie.*

To jest znów przyczynek do naszej dyskusji. Jeżeli nie ma wartości większych niż życie, to one właściwie nie są wartościami. I to jest znów element pedagogiki społecznej, czyli prowadzenia polityki ponadczasowej, w stronę dobra wspólnego, zwanego narodem, ojczyzną, zbiorowością Polaków... Cały czas desygnat tych różnych pojęć jest ten sam. Ale tutaj próbujemy dotrzeć do pokolenia najmłodszych. Tak że tu dla każdego pokolenia jest coś. Mamy dzieci, mamy szkołę rycerską, będziemy mieli pokolenie już walczących żołnierzy...

Z tym, że zanim do tego dojdę, chciałem cofnąć się troszeczkę do innych czasów i innej poezji... Ja oczywiście improwizuję, bo tutaj jest dużo tych stron i gdybym zaczął państwu odczytywać czy nawet mówić, jak napisałem, to mielibyście państwo prawo mnie zlinczować, a jeszcze wcześniej wytargać w pierzu. Są takie piękne obyczaje wobec referentów, którzy przedłużają swoje wypowiedzi.

Głos z sali:

Najpierw smoła.

Bohdan Urbankowski:

Smola, owszem. Ale można w razie czego miodu. Efekt niby ten sam, ale jednak...

Więc tak. Padało już słowo w naszych dyskusjach – sarmatyzm. *Bogurodzica* nam właściwie nie mówi o ustroju, o projekcie Polski piastowskiej, nawet jeżeli z tamtych czasów pochodzi. Możemy się go tylko domyślać na zasadzie odczytywania idei z czynów. Czynem jest zdobycie Kijowa, czynem jest wyprawa następnego z Bolesławów – mam na myśli Śmiałego – też do Kijowa. Przy czym, czynami są gwałty na pięknych Rusinkach, więc to też jakoś się w tym kodeksie wojskowym mieściło. Czynem jest zdobycie Budziszyna, czynem jest zdobycie Pragi przez Chrobrego. Czyli, jak gdyby, projekt tej słowiańskiej – mówiąc ładnie i nawiązując do tego co już było powiedziane – *Mitteleuropą*. I tylko tyle możemy z tych czynów wywnioskować. Na pewno chodzi też o zmianę jakości życia, bo Kazimierz Wielki – jak wiadomo – zmieniał jakość życia mieszczan, budując te miasta murowane, choć zastał drewniane. Zmieniał jakość życia swoją i warstw ludności, nawet obcej pochodzeniowo. Tu mam na myśli romans z Esterką. Przecież jakość jej życia wzrosła dzięki romansowi, ale przecież jego jakość życia też się poprawiła. Myślę, że jest to symbol także i pewnego rodzaju tolerancji. Tu gdzieś zaczyna się Rzeczpospolita wielu narodów. Może dlatego, że przyłączono Ruś Halicką, Grody Czerwieńskie. Więc tu jest już ten żywioł troszeczkę inny. Inny model chrześcijaństwa. Może dlatego, że były fale osadników z Niemiec, które miasta spustoszone przez Niemców podnosiły z gruzów. To właściwie były wypaleniska. Owszem, budowano nowe.

Wczoraj mówiliśmy o Lwowie. Lwów wybudowali Polacy. Dlatego, że ten Lwów, który tam był, Tatarzy rozpieprzyli do cna i w zupełnie innym miejscu już na innych wzgórzach, nasi robili. Aczkolwiek trzeba przyznać, że przy pomocy rzemieślników niemieckich, a potem także i włoskich. Tak że tu też mamy Rzeczpospolitą wielu narodów, jakby zaklętą w symbole architektoniczne, w symbole sztuki, także w symbole obyczajów. To wszystko jest działalność żywiołowa, niejako niepewna sobie, nieznająca własnych źródeł. Dopiero w pewnym momencie

zaczyna ta nasza kultura, poezja – nawet poezja polityczna – zyskiwać samoświadomość i w sposób świadomy wpisywać program postępowania, program dążenia do tegoż dobra wspólnego, w teksty poetów.

Paradoks polega na tym, że wchodząc w obręb krajów chrześcijańskich, myśmy przyjęli także kulturę kościelną. Językiem wspólnym jest łacina. To ułatwia dużo. Dlatego, że gdziekolwiek się pojedzie na Zachód, można w każdym kościółku dogadać się po łacinie. Choć Anglicy dosyć śmiesznie pewne rzeczy mówią. Nie wiem, czy taki księżulo z Polski, jak usłyszysz „Dżizys Krajst”, to nie uczyni jakiegoś znaku „precz demonie”. Tak czy inaczej, przy odrobinie wysiłku można było. Polska wchodzi przez tę łacinę do Europy. Cały czas jest częścią tej Europy.

Ja sobie tutaj gdzieś skopiowałem, ale trzeba by to powiększyć. Tu jest Otton III i dworzanie. I tu są kraje, ziemie, które przynoszą mu hołd, a które składają się na jego wielkie państwo. Jest tu oczywiście Roma, Galia, Germania i jest Sclavinia, czyli państwa słowiańskie. Wszystkie są według jednego wzorca estetycznego, co świadczy o tym, że mają być równoprawne. Że to nie jest tak, że Germania z góry, a Sclavinia niżej. Wszystkie oczywiście uznają najwyższą władzę cesarską, co być może jest wytłumaczeniem gestu Ottona III w Gnieźnie, tego koronowania Bolesława Chrobrego. Że on ma być jednym z tych czterech, po prostu. I od tej pory, Polska tym przedmurzem chrześcijaństwa jest i za takie jest uznana.

Rozwija nam się to przez ileś wieków, tylko że w pewnym momencie następuje przemiana ze Średniowiecza w Renesans. Jest to przemiana dla kultury wręcz zbawienna, a u nas pełna optymizmu. A to może dlatego, że jej źródła są też optymistyczne. Jednym ze źródeł naszej poezji renesansowej łacińskiej, która w efekcie przyniosła poetom jeden medal i dwa wience laurowe, jest takie stowarzyszenie oźralców i opilców (*bibones et comedones*). Co to było? Było to stowarzyszenie działające na Wawelu, tych, którzy wprowadzali Renesans. Wprowadzali wzory pięknej poezji. Mało tego, Europa to uznała. Pierwszy to jest Andrzej Krzycki, rocznik 1482. Na pewno oźralec. Na pewno opilca. Przecież należał, i kto by tam się nie ożarł i nie opił, toby go wyrzucili. To było tego typu towarzystwo. Poza tym należało też śpiewać sprośne piosen-

ki. Oczywiście po łacinie. Niestety teksty się nie zachowały. Zachowały się dopiero teksty pisane w polszczyźnie, poetów buntujących się przeciwko łacinie. Najślynniejszy utwór Jana Kochanowskiego, zaczynający się od słów:

*Daj czego ci nie ubędzie
byś na więcej dała
daj czego potem prozno
dawać będziesz chciała*

To jest już Renesans, ale w polskim wariantcie. Nieco, powiedzmy, prząsnym. Tak to wyglądało. Ta kultura łacińska była trochę wyższa i to w tej poezji się odbija. Ale Krzycki w swoich wierszach także zawiera pewne treści polityczne. I tutaj bardzo ważna rzecz. Nam się wydaje, że jak oźralca, opilca, a do tego potem biskup płocki, arcybiskup gnieźnieński i do tego Prymas Polski, no to będzie pisał wiersze religijne. Pisał, oczywiście, że pisał. Będzie pisał wiersze miłosne, bo Renesans tego wymaga. Bez względu na wiek, płeć i orientację seksualną. Ale on także proklamuje w swojej poezji politykę zagraniczną. Jeden z jego popularnych wierszy, który wtedy – myślę, że był pewnym drogowskazem dla polskiej poezji – jest wiersz *Na zakon krzyżacki*. Nie jest to taki prosty paszkwil przeciwko Krzyżakom, bo wtedy nie zdobyłby tej sławy, którą zdobył. On jest bardzo kunsztownie napisany, dlatego pozwolę go sobie przeczytać. A nawiązuje do trzech krzyżów stojących na Golgocie. Wiadomo – Chrystus i dwóch łotrów.

*Wiadomo, że trzy krzyże są i o trzech barwach.
Różne, tych co je noszą, też rodzaje trzy:
Jest czerwony, ten słusznie zwie się Jezusowym,
Albowiem tak Jezusa zabarwił się krwią.
Jest biały, odpowiedni zbójcy z prawej strony,
Którego zbrodnie kilka odkupiło słów.
Jest w końcu czarny, zbója z strony lewej; ten to
Zdradziecki Zakon uznał – jak słusznie! – za swój.*

Proszę państwa. Jest to znakomity wiersz. Wiersz, który poszedł w Europę świetnie skonstruowany. Ja nieudolnie próbowałem naśladować, bo oni pisali heksametrem. Zresztą to nie jest takie trudne, natomiast gdyby on był gorszy... Gdyby to nie była poezja polityczna. Gdyby to była odezwa polityczna. Grafomania polityczna. Gdyby to robili tacy poeci, o których właśnie wyrażał się cesarz Shi Huangdi, że oni nie powinni tego w ogóle robić, to ten wiersz nie zdobyłby takiego rozgłosu.

Poetą laureatem i zarazem drugim członkiem tego towarzystwa oźralców i opilców był Jan Dantyszek, zresztą wybitny oźralca i opilca, von Hoefen (prawdopodobnie był to gdańszczanin pochodzenia niemieckiego). On sobie przypisywał pochodzenie szlacheckie. Być może z rodów pomorskich, może z pruskich. A tak naprawdę to jego dziadek był chyba piwowarem. Można sprawdzić, tylko nie mam zielonego pojęcia, gdzie i po co. Bo bez względu na to, czy będziemy wiedzieli, kim był jego dziadek, to nie zmieni ani słowa w jego wierszach. Jego życie było takie trochę rozdwojone. Najślynniejszy jego wiersz to był *Nagrobek samemu sobie*. Filozoficzny, oceniający dorobek własnego życia, stawiający człowieka wobec wieczności. Między innymi on przyczynił się do tego, że Dantyszek otrzymał laur cesarza Maksymiliana I. Z kolei król Karol V wybił na jego cześć medal. To jest rzadkie. Teraz jest w tym kraju paru poetów i nikt nie chce na naszą cześć wybijać medali.

Głos z sali:

– Ale to świadczy tylko o degrengoladzie władzy.

Bohdan Urbankowski:

– Pozwolę sobie na jedną dygresję. Mianowicie Dantyszek, to był późniejszy biskup warmiński, który wspomagał, sponsorował Mikołaja Kopernika. Kopernik, wiadomo, niby był lekarzem. Jak któryś z władców zakonu krzyżackiego dostał syfa, to wzywali Kopernika, bo on jeden wiedział, co to jest, skąd to się bierze. Natomiast jednocześnie prowadził już życie renesansowe. I ten biedny Dantyszek musiał troszeczkę lawirować. Z jednej strony wspomaga Kopernika. Załatwił mu

kontakty z Norymbergą, z Retykiem. Retyk potem przyjeżdża, bierze te papiery, próbuje drukować. Jeden egzemplarz ginie. Robią następny. Tę historię znacie. Natomiast problem Dantyszka polegał na tym, że – używając dzisiejszej nomenklatury – Kopernik żył w związku partnerskim, w konkubinacie. I co jakiś czas należało go potępić za to. Ale Dantyszek, żeby nie psuć dobrych układów, miał tam takiego kanonika Reicha. Nie mylić z Reichem Ranickim, tym naszym późniejszym szpiclem. Aczkolwiek może to jest ten sam gatunek ludzi? W każdym razie, jak trzeba było potępić, to Dantyszek pisał list do Reicha. Reich potępił, a Kopernik z Dantyskiem byli dalej najlepszymi przyjaciółmi. I Dantyszek, jak powiedziałem, dostał medal, laur od papieża... A więc znowu Polska słynna w świecie.

Jest jeszcze trzeci poeta, który też dostał laur. Pierwszy z nich, który nie był oźralcem i opilcą. Miał pecha, dlatego, że się za późno urodził, gdy oni już wszystko zeżarli i wypili. Więc miał być tylko ich protegowanym. I rzeczywiście, Dantyszek się także nim zajmuje. Klemens Janicki, poeta piszący bardzo poważne wiersze. Jakies pierwsze powiewy schyłku renesansu tam się czuje. Jakiś mistycyzm, który jest zapowiedzią potem mistycyzmu barokowego. Ale, tak czy inaczej, jest to jeszcze pełny renesans. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że te wiersze nawet samą swoją formą, tym że były pisane po łacinie, odegrały ogromną rolę polityczną. Tak jak rolę polityczną odegrała filozofia – krakowska szkoła filozofii prawa. Włodkowic, który jedzie do Konstancji i wygrywa w dysputach publicznych... Takie zwycięstwo w nieogłoszonym, ale trwającym od wieków turnieju poetyckim właśnie nobilituje polską kulturę, która ich wydała, więc też jest czynnością polityczną. Aczkolwiek, z tymi czynnościami politycznymi poetów bywało różnie.

Ja znowu sobie pozwolę na dygresję. Poeta jako polityk na przykład. Bo cóż... od razu jak rzucamy takie hasło, to nam się kojarzy Jan Wilkołaz Pięść. Przetłumaczyłem dosłownie jego nazwisko z niemieckiego. Johann Wolfgang Goethe. Otóż ten Jan Wilkołaz był jednocześnie tajnym radcą, szefem finansów księcia sasko-turyńskiego. Mieszkał w Weimarze, robił tam reformy i on był strasznie dumny z tego, że on jest bardzo dobrym urzędnikiem. Proszę zauważyć, że mamy tu geniusza

literackiego. Niewątpliwie *Faust* to jest arcydzieło. Geniusza wczesnej prozy – *Cierpienia młodego Wertera*. Ale jednocześnie on jest geniuszem także ekonomii, także polityki. Polityki wewnętrznej.

I tu od razu narzuca się pytanie, które prowokuje dalsze pytanie – o istotę człowieczeństwa. O to, czy jest się sobą, czy bywa się sobą? Czy człowiek ma jakąś esencję? Czy odgrywa rolę? Inaczej mówiąc, czy Goethe, który wydaje tutaj jakieś rozporządzenia biurokratyczne, przestaje być tym Goethem w momencie, gdy idzie cierpieć jak młody Werter z jakąś mężatką? Czy paru innych poetów też odgrywających tę rolę, przeskakują z jednej do drugiej i co zostaje jako element ich tożsamości? Czy jest coś, co można nazwać osobowością bazową, która ma takie wypustki? Te obłoki Urbankowskiego, które wyłazą nie wiadomo gdzie i po co. I tymi wypustkami są bycie poetą, bycie politykiem, bycie ekonomistą. Czy też jest to zupełnie nowa jakość, z której się przeskakuje i zaczyna się od zera? Zostaje się poetą. Kończy się. Zaczyna się od zera i jest ekonomistą. Tutaj jest spór nierozstrzygnięty o osobowość.

Skoro tutaj o tych poetach mówimy, to znów Gabriele D'Annunzio, włoski poeta, twórca futuryzmu, słynny z tego, że w pewnym momencie zajął Fiume, czyli dzisiejszą Rijekę. To on wynalazł Imperium Rzymskie dla nowych czasów. Nie Mussolini. On się przyjaźnił z Mussolinim. Potem się pokłócił, bo Mussolini się dogadywał z Niemcami, a D'Annunzio nie chciał. Ale, proszę państwa, on przez ponad rok okupuje tę Rijekę. On czeka aż przyjdą posiłki z głębi Italii i oni pójdą dalej. Gdzieś na Bałkany, gdzieś na Albanię i odbudują wokół basenu Morza Śródziemnego dawne Rzymskie Imperium. To, że potem Mussolini chodził, podnosił rzymskim gestem rękę i robił takie różne nadęte miny, to wszystko wymyślił mu, i w pewnym sensie chyba wymyślił samego Mussoliniego, D'Annunzio.

Jeżeli przyjąć, że on rzeczywiście go wymyślił, to znów nasuwa się inny problem. Na ile poeta czy twórca jest odpowiedzialny za słowo? Bo słowo służy manipulacji. Słowo jest właśnie tym elementem propagandy, o której na wstępie mówiłem. I tu wypada tylko żałować, że w Polsce nie mieliśmy takich dobrych poetów i jednocześnie polityków. O Krasińskim już wspominałem. W późniejszych czasach oczywiście

jańską, mamy rycerstwo, mamy Batorego jako najpotężniejszego, najwspanialszego władcę. Jeśli chodzi o model człowieka rycerza, on jest także lansowany w innych tekstach Sępa-Szarzyńskiego. Między innymi on jest autorem nagrobka Stanisława Strusia. W naszych dziejach było dwóch wybitnych Strusiów. Starszy, Stanisław; młodszy, Mikołaj. Nie z tej samej linii. Było dwóch braci i to są ich potomkowie. Ale na czym rzecz polega? Na tym, że wszyscy oni wyginęli. Mało tego, cała rodzina Strusiów – oni już wyginęli, Mikołaj był ostatni – oddał życie za ojczyznę

I jest coś poruszającego, że w tamtych czasach nie wyobrażano sobie lepszej śmierci niż śmierć na polu bitwy i śmierć rycerska. Tutaj historia polskiej myśli wskazuje, że tamte czasy były troszeczkę podszyte stoicyzmem. Tam był kult Seneki, czy Marka Aurelego. Wiadomo było, że trzeba się pogodzić z nieuchronnością śmierci. I jest tylko problemem człowieka, jak zorganizować to życie człowieka, żeby było piękne, bohaterkie, pełne miłości. No a te ożarstwa, opilstwa, przy okazji także... I jak je potem zakończyć. Można zakończyć w sposób lżejszy lub mniej przyjemny, cięższy – w mękach.

Wybitny filozof francuski, Ernest Renan, który powinien być znany, i to nie dlatego, że pisywał dialogi filozoficzne i inne rzeczy, tylko dlatego, że od niego pochodzi recepta na piękną śmierć. Mianowicie, śmierć w momencie orgazmu. I państwu wszystkim tego życzę. W każdym razie jest to problem. Jak zginąć? I na czym rzecz polega? Nieomal dosłownie wiersz, który mówi o wielkości śmierci, niemal jest modlitwą o tę śmierć, pojawi się potem w wierszu Relidzyńskiego, napisanym w 1916 roku, pod tytułem *Modlitwa o dobrą śmierć*. On znany jest także pod tytułem *Modlitwa o śmierć na polu bitwy*. To jest to samo. Iles pokoleń do przodu ci młodzi rycerze, 1916 rok, legionści... Oni się modlą właśnie o rycerską śmierć. Tak jakby ta kultura sarmatyzmu się nie zmieniła. Ona trwa. Trwają wartości. Trwa model życia, model miłości, nawet model śmierci. I to jest rzecz godna uwagi.

Myślę, że do pewnego czasu ten model sarmacki trwa. Przetrwał nawet Polskę. Niepodległość Polski. Bo przecież takim twórcą w stylu postsarmackim jest przede wszystkim Słowacki. Jego *Ksiądz Marek*

i inne jego dramaty. Odwołanie się do konfederacji barskiej. Ale także jego obrona liberum veto. Ja nie wiem, czy on byłby po stronie Konstytucji 3 Maja. Być może nie. A jednocześnie wielu jego utworów się nie zrozumie, nie wiedząc, w jakim kontekście filozoficznym one mają być odczytywane. W tle jest wędrówka dusz, w tle są kolumny duchów. W tle jest taka idealna konstrukcja świata, który ulega ewolucji, ale do przodu. Doskonaleniu się. To nie są zwykłe zmiany. I teraz, ponieważ Polska miała w swojej historii demokrację, miała to, o czym tutaj ładnie kolega mówił, że Moczulski wskazywał na wkład Polski także w formie pewnej demokratycznej, obywatelskiej postawy (powiedzmy, że nie my pierwsi – trochę Rzymianie, trochę Anglicy; ale tak czy inaczej, jest to pewna jakość polityczna życia). I to, myślę tłumaczy pewne powiedzenie Słowackiego, które miano mu za złe. On mówił, że zanim ludzie przemienią się w aniołów, to muszą być najpierw Polakami. Po prostu, Polak to tak między małpą a aniołem, to jest ten szczebel, który trzeba przejść. To jest demokratą. To jest ten, który będzie pisał piękne wiersze do matki. Ten, który będzie walczył za ojczyznę. Polskość jako jakość życia jest tutaj rozumiana. Nie jako szowinizm, rasizm. Nie, że jesteśmy narodem wybranym, bo dogadaliśmy się z Jehową na pustyni, tylko po prostu jakość. Jakość, która jest efektem naszej twórczości. Jeżeli mówimy o kulturze sarmackiej, a trzeba tutaj powiedzieć o jej schyłku, ale i o trwałości i powtarzalności. Słowacki napisał także pieśń, która jest w *Księdzu Marku – Hymn konfederatów barskich*. Gdyby był to prawdziwy hymn, to powinien brzmieć mniej więcej w ten sposób. Tytuł byłby *Odważny Polak na marsowym polu*

*Stawam na placu z Boga ordynansu
Rangę porzucam dla nieba wakansu
Dla wolności ginę, wiary swej nie minę.
Ten jest mój azard.*

*Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie tupem,
W marszu nie zostaję, choć i padnę trupem.
Nie zważam, bo w boju –*

*Dla duszy pokoju
Szukam w Ojczyźnie.*

To są te najważniejsze wartości. Natomiast już w czasach Słowackiego wydawało się, że jest to nieco staroświecka forma. I Słowacki nadaje temu formę bardziej czytelną i aktualną do dzisiaj. Niestety aktualną. Za chwilę powiem, czemu niestety.

*Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi;
Bo u Chrystusa my na ordynansach –
Słudzy Maryi!*

*Więc choć się spęka świat, i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą;
Choćby na smokach wojska latające,
Nas nie zatrwożą.*

*Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
Więc nie dopuść upaść żadnej klęsce;
Wszak póki on był z naszymi ojcami,
Byli zwycięzce!*

Jest to pieśń wojskowa. Jest to pieśń ludzi oddających życie za ojczyznę. Jest to pieśń ludzi – dzięki swojej wierze – niezwyciężonych, bohater-skich. Powiedziałem, że niestety... Tu muszę się przyznać, że w pewnym momencie... Niektórzy konfederaci, zwłaszcza ci, którzy byli na takim słynnym zjeździe u Adasia Słomki w Ustroniu, siedzieli przy ognisku, niczym dobre towarzystwo oźralców i opilców i śpiewali pieśń konfederatów. Śpiewali ją w mojej wersji. Ta wersja brzmiała w ten sposób:

Dedykowana przyjaciółom z KPN

*Stawam na placu na Boga rozkazy.
Na Jego sroższe niżli śmierć wezwanie.*

*I wiem, że choćbym padł po wiele razy,
śmierć mnie nie złamie.*

Tyś Panie tarczą. Tyś nam i ostoją.

*W Twym ręku klęska, w Twoim i
zwycięstwo leży.*

Daj nam Panie raczej umrzeć stojąc,

Niżli żyć klęcząc.

Wzleciał nasz orzeł

skrzydły skrwawionemi,

I lecieć musi, choć bólą złamane.

Bo gdy upadnie,

czeka go na ziemi

w mroku pełzanie.

Proszę Państwa, sarmatyzm, ten model, w pewnym momencie wraca.
Nie wiem, ile mam jeszcze czasu...

Mariusz Olszewski:

Dużo. Dwie i pół godziny.

Bohdan Urbankowski:

Ten sarmatyzm przetrwał, jak taka skarbnica, arsenał, jako sposób istnienia narodu pozbawionego państwa. Bo okazuje się, niepodległość ma wiele imion. Można ocaleć w kulturze. Można ocaleć poprzez religię. Można ocaleć przez gospodarkę. Choć, w razie czego, to się kończy ulicą Stalową w Warszawie. Ale są to jakieś formy na krótsze bądź dłuższe przetrwanie. Poezja jako polityka pokazuje, sposoby bądź na to długie trwanie (to jest odwołanie się do tych wartości najwyższych) religijne, państwowe bądź na krótkie. Robimy ożralstwo i opilstwo i do pierwszego kaca mamy te wartości upiększając nam życie. Potem są wiadome skutki. Ale to istnienie poprzez poezję, poprzez pewne wartości, przekazywane w sposób mnemotechnicznie doskonały, dlatego że ta poezja jest rymowana. Jest śpiewana. To jest poezja meliczna przede wszystkim. I *Pieśń Konfederatów* i *Pieśń Powstania Styczniowego*, *Pieśń*

Powstania Listopadowego. To wszystko jest tak sformułowane, żeby zapamiętywać to tak, jak Bełza kazał dziecku zapamiętywać ten polski katechizm dziecka.

I są pewne momenty, które zostają włączone do polskiej kultury, aczkolwiek nie do końca zdajemy sobie sprawę z ich proveniencji. Jest rzeczą zaskakującą, że najpopularniejsza pieśń Powstania Listopadowego, *Warszawianka*, za twórcę czasami uchodził Karol Sienkiewicz, w rzeczywistości François Delavigne, Francuz. Myśmy dorobili do tego melodię. I ta pieśń staje się pieśnią powstania. I jest, do czasów konkurencji z zupełnie inną *Warszawianką*, jedynym utworem pod tym tytułem. Są, różnego rodzaju przeróbki...

To jest zjawisko, które ja obserwowałam i w roku 1968, i w czasie, gdy wybuchała „Solidarność” i stan wojenny. Gdy brakuje literatury własnej, to zaczyna się od przeróbek. Od przeróbek tekstów naszych poprzedników. Jakieś przerobione hymny narodowe, pieśni wojskowe i nawet kołysanki czy modlitwy. I tutaj mamy do czynienia z kilkoma takimi paradoksami, gdzie nowe sensy zostają nadane przez to, że zapomina się o rodowodzie. Tak jak z tą *Warszawianką* – kontekst wydarzeń nadaje temu zupełnie nowe znaczenia, wypierając znaczenia poprzednie. I tutaj chcę się powołać na wiersz, który państwo znacie i śpiewaliście, *Boże coś Polskę*.

*Boże coś Polskę przez tak liczne wieki,
otaczał blaskiem potęgi i chwały,
i tarczą swojej zastaniał opieki,
od nieszczęść, które przywalić ją miały
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Naszego Króla zachowaj nam Panie.*

*Ty coś na koniec nowymi ją cudy,
wskrzesił i sławne z klęsk wzajemnych w boju
Połączył z sobą dwa braterskie ludy
pod jedno berło Anioła pokoju.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego Króla zachowaj nam Panie!*

Proszę Państwa. „Anioł pokoju” to jest car Aleksander! Pieśń została napisana przez Felińskiego, dla uczczenia...

Głos z sali:

Aleksandra.

Bohdan Urbankowski:

To jest trochę bardziej skomplikowane. Bo oczywiście dla Aleksandra I, ale była zaprezentowana w dzień imienin carowej Matki – Marii i przez pewien czas uchodzi nieomal za... Właśnie – czy do końca za symbol serwilizmu? Chyba nie. To są jeszcze te złudzenia, gdy orientacja rosyjska istnieje. Czartoryski. Kościuszko z Dąbrowskim się zastanawiają, czy trzymać się z Napoleonem, czy może przeskoczyć. Także są jeszcze złudzenia, co do cara Aleksandra I. W pewnym momencie już złudzenia pryskają. Dlatego przeczytam coś, co jest mało znane. Sam nie wiem, gdzie to znalazłem. Podobno Feliński przed śmiercią dopisał jeszcze jedną strofę.

*Niedawnoś zabrał wolność z polskiej ziemi,
A łez, krwi naszej popłynęły rzeki,
Jakże to okropnie tu musi być z temi,
Którym ty wolność odbierzesz na wieki.*

Proszę państwa, to jest być może apokryf. Być może nawet nie Feliński to pisał. Być może rzeczywiście on nieomal na łożu śmierci doszedł do wniosku, że był przez całe życie głupi i trzeba to w ostatniej chwili naprawić. Tak czy inaczej, jest to zmiana tekstu. Nadanie nowego znaczenia poprzez dopisanie zupełnie innej pointy. Ten tekst przestaje być jednoznacznym. I, żeby tę jego wieloznaczność uwypuklić, wykonywanie tej pieśni w kościołach zostało zakazane przez władze rosyjskie w Warszawie w 1862 roku – na rok przed wybuchem powstania. Ale w 1863 roku ona jest śpiewana przez naszych powstańców. Mało tego, zdobywa nazwę troszeczkę znów oderwaną – *Marsylianka powstańcza* albo *Marsylianka polska*. W różnych śpiewnikach było to tak czy ina-

czej zapisywane. Często z różnymi błędami. W tymże Powstaniu Listopadowym mamy znów pieśń, która też konkurowała do miana hymnu. Mianowicie *Mazurek 3 Maja*. To jest to słynne:

*Witaj majowa jutrzeńko,
Świeć w naszej polskiej krainie.
Uczymy ciebie piosenką,
przy hulance i przy winie.*

*Witaj Maj, piękny Maj!
U Polaków błogi kraj.*

Gdzieś tam się dalej pojawi Kołłątaj. Autorem jest Rajnold Suchodolski, brat tego malarza. On jest jednocześnie projektodawcą czegoś, co gdyby to Powstanie wygrało, to może było by nowym hymnem. Bo jest to też nawiązanie do tradycji. Jednym z pierwszych wskazań jest, że my jednak z 3 Maja. Mówię jedno z pierwszych, bo cudowny fragment *Pana Tadeusza* z koncertem Jankiela, tam gdzie jest właśnie 3 Maja; potem jest fałszywa Targowica. To też jest przekazywanie pokoleniom koncepcji politycznej. Do kogo nawiązujemy, kogo potępiamy. Kto był zdrajcą, a kto jest godny pochwały. I ten 3 Maj został jakoś dzięki dobrej albo popularnej poezji, został w naszej legendzie utrwalony.

Oprócz takiej narracji politycznej, niepodległościowej, nawiązującej do sarmatyzmu, do Konstytucji 3 Maja, nawet gdzieś tam daleko do Konfederacji Warszawskiej i konstytucji, które wtedy zostały ogłoszone, nagle zaczyna się pojawiać zupełnie inny model polityczny. My kojarzymy sobie coś takiego jak klasową wizję świata właściwie dopiero z Karolem Marksem, a jeszcze bardziej może z naszymi tłumaczami Karola Marksa, wśród których był jeden z najwybitniejszych przecież naszych socjologów i myślicieli – Ludwik Krzywicki. I to są lata 80. Tymczasem ta klasowa interpretacja pojawia się znacznie wcześniej. Jeden z pierwszych tekstów, ale pisany w chęci potępienia, to jest oczywiście *Chorał* napisany po Rzezi Galicyjskiej. To jest pieśń potępiająca chłopów, ale jednocześnie wskazująca – to słynne powiedzenie Jarosła-

wa Kaczyńskiego, że *inni szatani byli tam czynni*, to jest z *Chorału* Kornela Ujejskiego właśnie. Trudno powiedzieć, że jako odpowiedź, ale jako reprezentacja drugiej postawy pojawia się dokładnie rok później wiersz *Gdy naród do boju* Gustawa Ehrenberga. Jest to wiersz na tyle klasowy i na tyle słuszny i długo słuszny, że potem przyjmie ten wiersz jako hymn komunistyczna Gwardia Ludowa, a potem Armia Ludowa. A ja pamiętam na akademiach, w czasach dzieciństwa, też to śpiewano, oprócz paru innych szlagierów.

*Gdy naród do boju wystąpił z orężem,
panowie o czynszach radzili.
Gdy naród zawołał: „umrzem lub zwyciężym!”
panowie w stolicy bawili.
(...)Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara
rękami czarnymi od pługa,
panowie w stolicach kurzyli cygara(...)
Lecz kiedy wybije godzina powstania,
magnatom lud ucztę zgotuje,
muzykę piekielną zaprosi do grania,
a szlachta niech wtedy tańczy.*

To jest, proszę państwa, ideologia marksizmu w pigułce i na długo przed marksizmem polskim. Mamy i potępienie panów, tej wyższej pa-sożytniczej klasy, i wszystkie plusy i wartości etyczne skupione w tej niż-szej klasie ludu. I mamy obietnicę zemsty klasowej. Mordowanie. To, co potem spełnią bolszewicy w Rosji. Oni, jak były rozprawy sądowe – i to była oficjalna wskazówka w czasach terroru – nie pytali o winy, o rodzaj zbrodni, tylko o pochodzenie klasowe. Jak pochodzenie klasowe było nie takie, to *pod stienku* po prostu. Tak że tu jest już załączek tego.

Była też w tym czasie druga taka pieśń, troszkę późniejsza. Bolesława Czerwieńskiego *Czerwony Sztandar*. I tutaj też mamy pewien paradoks. Ja mówiłem o Marksie, o marksizmie, ale Paul Brousse, który był jej autorem (bo to jest tłumaczenie – Czerwieński uchodzi za autora, tak jak na przykład Kaczmarski uchodzi za autora *Murów*). Paul Brousse

nie był marksistą. On był anarchistą. Mało tego, w pewnym momencie zwątpił w anarchizm, został dyrektorem zakładu psychiatrycznego i tam leczył z anarchizmu, marksizmu i innych takich, dawnych swoich wyznawców. Ale ta piosenka jest ciekawa, także ze względów politycznych. Mianowicie.

*Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy,
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami będziemy wtedy my!*

Ja to w takim wesołym rytmie śpiewam, bo pamiętam, jak w czasach już marcowych, strajkowych, myśmy śpiewali tak bardzo skocznie poemat Broniewskiego – *Mazura Kajdaniarskiego, elegię o śmierci Ludwika Waryńskiego. Już serce wyżarte, przegniłe niewolą...* To jest coś podobnego...

Maciej Gawlikowski:

To jest pieśń śpiewana przed wojną przez PPS. Kawał historii, dzisiaj przemilczany.

Bohdan Urbankowski:

Tak. Właśnie tak. Do tego zmierzam. PPS to śpiewało, ale z jednym wyjątkiem. Tę pierwszą strofę – którą przeczytałem – śpiewało, ale była jeszcze druga strofa.

*Choć stare łotry, nocy dzieci,
Nawiązać chcą starganą nić,
Co złe, to w gruzy się rozleci,
Co dobre, wiecznie będzie żyć!*

PPS tego nie śpiewało. Po prostu ta strofa nie istniała. PPS było za nawiązywaniem do tradycji. Przecież to oczywiste, że chodzi o przeszłość, która nie była socjalistyczna, tylko z punktu widzenia klasowego

feudalna, antyhumanistyczna i inne takie paskudne rzeczy na jej temat wymyślano.

Mówiłem o tych piosenkach łatwiejszych, skocznych. Na pewno warto wspomnieć autora jednego z najpopularniejszych pieśni Powstania Styczniowego, *Hej strzelcy wraz!*, Władysława Ludwika Anczyca. Warto wspomnieć nazwisko Romanowskiego. Zresztą z Romanowskim jest tak, że on ginie na początku Powstania, a jego piękne powstańcze wiersze powstają przed powstaniem. To są wiersze, w których on opisuje oczekiwanie, a tym samym niejako przygotowuje powstanie.

Proszę spojrzeć, że w tym wypadku poezja pełni trzy funkcje. Przygotowuje wydarzenia polityczne (w tym wypadku powstanie); potem jest ich kroniką. Tutaj były, choćby w wierszach Wolskiego, kolejne etapy powstania opisane. Potem, w Powstaniu Warszawskim – zapomniany nie wiadomo dlaczego – Zbigniew Hańko. Jeden z najlepszych naszych poetów. Na emigracji był numerem drugim po Wierzyńskim, a po śmierci Wierzyńskiego, na pewno numerem pierwszym. Z jego wierszy można zrekonstruować przebieg Powstania Warszawskiego. Jest barykada na Nowym Dunaju, bitwa o Katedrę Świętego Jana. I tak, krok po kroku, salwa po salwie, to co się wtedy działo. I tak rola kronikarza historii. Utrwalenia, uwiecznienia, czyli przeniesienia w sferę sacrum, która jest ponadczasowa, która nie ulega destrukcji w miarę upływu dni, tylko trwa i każde następne pokolenie może sięgnąć po poezję konfederacji barskiej, polskiego renesansu, Powstania Styczniowego. Bo to jest. To czeka. Jest wieczne. Przynajmniej na tyle, na ile wieczny jest naród, wieczni są ci, którzy są w stanie odczytać przesłanie tej poezji. I tu wydaje mi się, że ta druga rola jest niezwykle ważna, ale jest jeszcze trzecia. Oczywiście wspomnianie, czasem oplakiwanie, czasem дума ze zwycięstw, ale to jeszcze mieści się w tej drugiej funkcji poetyckiej – tej bardziej kronikarskiej. Aczkolwiek wchodzi tu już wartościowanie. Czasem żal za spowodowanie jakichś wydarzeń. Ale jest też coś, co Norwid nazwał addycją, coś o czym mówili romantycy, używając terminu misja.

Poezja wytycza także drogi przyszłej polityce. Proszę państwa, ja wspominałem o Strusiu. Wspominałem o Kochanowskim. Na po-

zór to jest dość dalekie. Fraszka *Na lipę*, treny, które nas do dzisiaj wzruszają. Ale przecież tam jest także zapisany program walki z Turcją. O tym pisze Kochanowski. I w tekście łacińskim, i w tekście polskim. To znaczy, że chce, żeby to także dotarło do Europy. My patrzymy na Kochanowskiego tylko jak na polskiego, najwybitniejszego do czasów Mickiewicza i tak dalej. A świat go poznał dzięki temu, że on był bardzo wybitny, tylko pisał po łacinie. Przecież Francuzi nie znali Kochanowskiego z polskich tekstów. A Plejada? On był ich gościem! Był w Paryżu, był gościem tych najwybitniejszych. Oni rozmawiali po łacinie. I on im czytał swoje wiersze w języku łacińskim.

Tak samo jak znów jeden z jego następców – Maciej Kazimierz Sarbiewski. Ja mówiłem o dwóch laureatach. O trzech laureatach. To jest kolejny laureat. Papież Urban VIII zakłada mu wieniec laurowy w 1623 roku, jeśli dobrze pamiętam. Jest Horacym chrześcijaństwa. Oficjalnie go tak nazywano. Jego książkę wydali jezuici z projektem okładki samego Rubensa. A ile Rubens brał wtedy forsy? Jak im było przykro, gdy płacili mu honoraria. Ale sprawa była ważna, bo był to Horacy chrześcijaństwa i nie wypada skąpić.

W te programy polityczne były wpisywane wizje przyszłości, która w przypadku Słowackiego czasem była znakiem zapytania. Ale możemy wydedukować z różnych tekstów, o co mu chodziło. Znakiem zapytania – słynny krótki wiersz: *Szli krzycząc: „Polska, Polska!”*, a potem Pan Bóg im odkrzykuje: *Polska, ale jaka?* To pytanie wczoraj wieczorem tu padało. Na pozór wydaje się, że Słowacki nie wie, jaka Polska. Ale on ma właśnie ten projekt, że trzeba być najpierw Polakiem, a potem będziemy mieć skrzydła.

Każdy z tych poetów ma pewien projekt. Ale do pewnego momentu te projekty są przekazywaniem tego samego testamentu. Wspominałem *Pana Tadeusza*. Będzie to pewną przesadą, ale tak to wyglądało. Piłsudczycy, odbudowując II Rzeczpospolitą, odbudowywali ją, trochę ściągając z *Pana Tadeusza*. Nawet jak go nie znali i nie wiedzieli, że ściągają. Bo tam mamy receptę na polskość. Tam mamy wszystko. Opis zaścianka, zajęć codziennych, strojów, obyczajów, tańców, wesela. Mamy patriotę. Mamy, co ważne, pewien etyczny obyczaj, który nam się do

dzisiaj odbija jak czkawka i nie wiemy, co mamy z nim zrobić. Mia-
nowicie, co zrobić z nawróconym Świętym Pawłem. Niby Ewangelie
mówiły, co się stało naprawdę. Niby był drań, ale nawrócił się, więc jest
OK. Ale potem, u Sienkiewicza mamy Kmicica. We wspomnianym
Panu Tadeuszu mamy księdza Robaka, który przecież był mordercą.
On zastrzelił tego stolnika. I tam mamy piękną scenę, gdy darowuje
mu się winy rozkazem najwyższych wodzów. Cofa się infamię (karę
wyznania i pozbawienia imienia), bo on to odkupił.

I teraz problem polityczny na lata późniejsze. Ja mówiłem, że ta
II Rzeczpospolita, łącznie z architekturą... Kult architektury dworko-
wej, to miał być ten model polskiej architektury – nawet na dworcach
kolejowych... Połazicie sobie po różnych stacjach w tamtych czasach
budowanych, to przecież co druga stacja, to będzie dworek szlachecki:
elegancki, biały, z kolumnkami, np. Pruszków, podwarszawskie Bło-
nie.

W każdym razie, od dołu to jest szukanie prawdziwego ludu. Ta
utopia romantyczna, to jest styl góralski z kolei. Tutaj niedaleko wi-
działem karczmę w stylu góralskim. Mam nadzieję, że ją zwiedzimy
dokładnie, jeśli oczywiście jest tam golonka. Bo w innym wypadku, to
ją możemy z zewnątrz oglądać. My z Michałem mamy już taką fajną
trasę obmyśloną – od obiadu do obiadu, jakbyśmy należeli do towarzy-
stwa oźralców. Pić nie można, bo on prowadzi.

W każdym razie jest to poszukiwanie tej polskiej tożsamości w każ-
dej formie. W formie oczywiście literackiej najłatwiej, bo to jest uszla-
chetniony nasz język, wzbogacony o metafory, porównania. Ale także
w formie architektury, także w formie poszukiwania stylu malarstwa,
stylu grafiki. Grupa „Rytm”: Władysław Skoczylas i jego szkoła.

Przecież Skoczylas tworzy tak wspaniałą wzór grafiki, że potem Łu-
życzanie, chcąc też stworzyć własną szkołę narodową, wzorują się na
nim. Měrćin Nowak-Njechorński jest jego uczniem. Jedzie z powro-
tem do Budziszyna i ozdabia wszystko, co da się ozdobić: wnętrza ko-
ściołów, jakieś chałupy, ludzi czasem. I to jest ta poetyka. To jest ten
typ ostrej kreski i wspaniałych drzeworytów. Tak że ta nasza kultura
promieniuje na kraje sąsiednie.

Mówiłem o przeróbkach pewnych pieśni. Czas poprzeć to ilustracją. Mianowicie, jedną z kolejnych pieśni, pretendujących do miana hymnu narodowego, była *Rota* Marii Konopnickiej. Ale ona była nie tylko w jednej wersji. Uznawali ją za swój hymn ludzie w różnych rejonach Polski i przerabiali stosownie do tego tekst. I ta *Rota* była śpiewana na przykład na Śląsku w takiej oto wersji (to taki poeta, Jan Nikodem Jaroń napisał):

*Nie będzie Prusak truć nam dusz,
z rąk mu wytrącimy berto.
Tyś Górny Śląsku wolny już,
Korony polskiej perło.
Obwarujemy polski próg
Tak nam dopomóż Bóg.*

Stąd się wzięło określenie „perła w koronie”. To była polska pieśń na Śląsku popularnie znana. Ja ją słyszałem na takim spotkaniu uczestników powstań śląskich, które się odbywały w bytomskim PAX-ie, bo oni sprawowali nad tym mecenat. Ale jest także *Rota* piłsudczyków.

*Nie rzucim ciebie wodzu nasz,
Nie damy pogrześć sprawy.
Sztandar, przy którym wiernie trwasz,
oddamy Bogu krwawy.
Nie wyrwie nam go swój czy wróg
Tak nam dopomóż Bóg!*

I to jest znów przeróbka, a przy okazji dowód kultu Piłsudskiego. Dowód przypisywania jemu zasług zwycięstwa. Ja wspominałem o Relidzińskim. Jest w jego dorobku wiersz *Komendantowi Józefowi Piłsudskiemu*, który tyleż jest wierszem do Piłsudskiego, co do dzwonu. Bo tytuł tego wiersza to *Zygmuncie dzwoń!* Ale po co on ma dzwonić? Dlatego, że Piłsudski nam wywalczył niepodległość i zaczęła się wolna Polska. A kiedy? Po 5 listopada 1916 roku. Jest to pewne zaskoczenie, ale

zarazem ten wiersz jest świadectwem pewnych nastrojów społecznych. Że oni już wtedy wierzyli w tę niepodległość. Mieli ją w 1918 roku, a tak naprawdę w 1922 roku, po wizycie Piłsudskiego w Katowicach, po tej wielkiej mszy na rynku katowickim z udziałem tysięcy ludzi. Ogłoszono przyłączenie Śląska i koniec walk o scalenie ziem polskich.

Można by tutaj i mówić, bo nazwisk jest wiele, poezji jest wiele, ale trzeba zmierzać do końca, tak jak mówiłem o poezji klasowej, w gruncie rzeczy destrukcyjnej, niszczącej ten wzorzec kultury sarmackiej, tak w pewnym momencie to się powtarza piętro wyżej w takim wymiarze mamucim, paskudnym, spotworniałym. Mam na myśli socrealizm. To jest dokładnie to samo zjawisko, tylko że o tyle bardziej godne napiętnowania, że jeżeli autorzy *Czerwonego Sztandaru* i socjaliści, którzy go śpiewali, mogli jeszcze mieć jakieś złudzenia, to tutaj socrealiści tych złudzeń mieć nie powinni, bo byli na ogół na to za inteligentni. Oni po prostu są w służbie obcego mocarstwa i tworzą nam nowy wzorzec kultury. Dlaczego tworzą tę poezję? Otóż, poezja – o czym nigdy dość – jest pewną formą manipulacji, propagandy, jak byśmy powiedzieli. Niezwykle skuteczną, bo odwołuje się do emocji. Odwołuje się do obrazów. Czyli porusza naszą wyobraźnię nawet na przyszłość. I nie przypadkiem macherzy od realnego socjalizmu we Lwowie postavili na poetów.

Tu może jeszcze raz, żeby zaspokoić wielbicieli Herberta. Jeden z jego najpiękniejszych wierszy mówi o ostatnim kręgu piekła. I co tam jest? Nie pederasty, nie oźralcy i opilcy. Tam jest wiecznie trwający turniej poetycki. Tam rządzi Belzebub. Ma swoich najlepszych. Będzie potem robił zawody poetyckie między nimi, a tymi poetami z nieba. Jego będą lepsi. I tak to wyglądało. Udało się socrealistom skorumpować prawie całą naszą elitę. Ja pomijam tych, którzy uciekli przed korupcją, aczkolwiek nie wiadomo, jak by to było, gdyby wrócili. Tuwim niby uciekł, ale jak wrócił, to pisywał nawet o czerwonych różach dla Jerzego Borejszy. Następuje taka wymiana fajna: Miłosz ucieka, ale na jego miejsce wraca Słonimski i pisze ku czci prezydenta Bieruta piękny, kunsztowny wiersz. Słonimski jest zbyt dobrym poetą, jest zbyt inteligentny, żeby się poniżyć do opisywania pana Bieruta anatomicznie. Wspaniałe socjalistyczne ręce, a jakie nogi... Nie. On opisuje portret

prezydenta. To jest chwyt barokowy. Tu wisi portret, z którego płynie jakieś dobro, jakieś ciepło i poeta musi, bo jest to cudowne zjawisko. Niestety, to jest ten dobry poeta z czasów Shi Huangdi. I co z nim zrobić. Píše wiersze dobre. Tyle tylko, że pisze je na zamówienie.

Ja może sięgnę teraz do spraw Lwowa, bo mam tu parę takich bardzo smakowitych cytatów. Tuwim o tyle mnie martwi, że był to kiedyś naprawdę wspaniały piłsudczyk, przyjaciel Wieniawy-Długoszewskiego i także, jako poeta, brał udział w akcji politycznej. On był w grupie poetów (on, Wierzyński, Lechoń którzy robili propagandę w roku 1920 dla Armii Ochotniczej. To było rozsyłane po oddziałach, to była najlepszej klasy propaganda. Aczkolwiek po drugiej stronie – tak jak hufiec aniołów ma naprzeciw ten hufiec Belzebuba – tam był Majakowski, też nie byle kto. Ta wojna w najwyższym wymiarze, to była wojna poetów także. Wojna na najwyższe estetyczne wartości. Ale Tuwim był na tyle piłsudczykiem, że nawet wybaczał Piłsudskiemu – co zresztą ja to rozumiem i też mu wybaczam – Zamach Majowy. O tym się z reguły nie mówi. To jest w tym słynnym wierszu, jak to Piłsudski wychodzi na miasto. I w pewnym momencie mówi o nim Tuwim tak:

*Gdy wyszedł na ulicę gdy trzasnęły kości,
Gdy o tę prawdę grzmiało serce i armaty,
Znów chcieli jej na co dzień na raty, na splaty,
Paragrafami miażdżąc huragan wolności.
I zawsze będą mierzyć, a nigdy nie zmierzą,
Pomrukując po kątach zdziwieniem, zawodem,
I w cierpką miłość jego nigdy nie uwierzą
Kiedy przez Polskę idzie samotnym pochodem.
Tylko mu raz pod oknem, kiedy dumał nocą
Wyszłochał wszystko żołnierz stojący na warcie.
Płakał. Płakał jak dziecko. A czemuż, a po co,
Tak męczysz, tak cierpisz za nas Komendancie?*

To jeden z najpiękniejszych wierszy Tuwima, jak zresztą w ogóle z wierszy skamandrytów. Wierzyński o Piłsudskim, także Lechoń – to

są arcydzieła. Ale potem Tuwim pisze, nazywając rzecz po imieniu, świństwa. Nic się nie da zrobić z jego biografią. Nie da się go wytłumaczyć szaleństwem, co byłoby bardzo dobre, czy uzależnieniem od narkotyków. To nieprawda. Był trzeźwy, dostał wilłę w Aninie od nowych władz, chodził na pochody pierwszomajowe...

Gałczyński kiedyś mu zrobił taki numer. Mianowicie Tuwim się jakoś obcyndalał. Może niedobrze się czuł, w każdym razie nie zjawiał się na pochodzie pierwszomajowym, co oczywiście wytykano palcami. W tamtych czasach bowiem odpowiadało się za to, co się zrobiło, ale również za to, czego się nie zrobiło. Jak to? Poeta rządowy, postępowy, socjalistyczny i nie przyszedł na pochod pierwszomajowy? No i Gałczyński dzwoni do Tuwima – szczególnie, że w tamtych czasach telefony też były artykułem luksusu – i pyta go, co się stało. Ten tłumaczy. Gałczyński mówi: – „Tu towarzysze wam wybaczyle. Nie chcieliście przyjść na pochod, to my przyjdziemy do was”. – „Kto przyjdzie?” – „Nie przejmujcie się Przyjdzie sama góra, sam aktyw. 50 osób najwyżej”. Tuwim oszalał. Latał po całym Aninie. Tu pożyczał kielbasę, tam wódkę. Poustawiał to wszystko i czekał. A Gałczyński siedział w knajpie z kumplami i się zarykiwali ze śmiechu. Oczywiście nie zamierzali iść do Tuwima na wódkę. Mieli tę wódkę na miejscu. Takie paradoksy też bywały.

Maciej Gawlikowski:

Jest fajny film o Gałczyńskim – *Odwyk*.

Bohdan Urbankowski:

Instruktażowy, jak rozumiem? Dobrze.

Teraz o Lwowie i socrealizmie. We Lwowie znaleźli się lewicowcy, którzy często uważali, że to jest jednak ojczyzna proletariatu, gdy Sowieci ten Lwów zajęli. I prawie wszyscy poszli na współpracę. Wydawali „Czerwony Sztandar”, robili imprezy, wykładali na uczelniach. Tu, niestety, także Boy-Żeleński przewodził, Wanda Wasilewska. Ale także znaleźli się dość dobrzy poeci. I oni tworzą pewien model kultury. Ten model zostaje wymyślony we Lwowie od szczytu do fundamentów

i potem przeszczepiony razem z ludźmi na teren całej PRL. Mało tego. Nie tylko poezja. Także filozofia. Startuje jako filozof, jako marksista oczywiście, Adam Schaff. Potem zostaje nadzorcą filozofii w PRL. Jest członkiem Komitetu Centralnego Partii. I takich karier jest mnóstwo, które się tam właśnie zaczynały. Jest to dość dziwny światopogląd, bo mieści się w nim zarówno walka z bandami, jak i kult czegoś, co jest trochę niematerialne, jak i kult Stalina. Przy czym nie zdajemy sobie sprawy z tego, że właściwie tym prawdziwym lepidłem to był właśnie kult Stalina. W pewnym momencie już wszystkie eksperymenty diabli wzięli. Próbowali uprzemysłowić Związek Radziecki w oparciu na najnowocześniejszej metodzie niewolnictwa. To były te łagry. Przecież tam różne *oblasti* dostawały rozkaz, że mają dostarczyć tylu a tylu więźniów do łagrów i oni tam pracowali. Zresztą to samo było w Auschwitz. To jest po prostu wynalazek XX wieku, że pewna forma niewolnictwa jest po prostu najtańszym sposobem produkowania dóbr. I o tym też było, tylko że w tonie pochwalnym. Na przykład Białoruski Kanał, czy kanał Wołga–Don. Ale nad tym wszystkim jest Stalin, który jest opisywany jak bóg. I to jest właśnie paradoks, dlatego że mamy w kulturze Związku Radzieckiego żywego boga Stalina i takiego nie całkiem umarłego, ale nie do końca żywego boga Lenina. To był genialny wynalazek bolszewików, że oni go nie zakopali. Że oni go tam wystawili i nie wiadomo – żyje, nie żyje? Jest do zwiedzania. Miejsce święte. I o tym Leninie też pisali.

A układ jest mniej więcej taki, jak między Mickiewiczem a Towiańskim. Mickiewicz nigdy się nie chciał pozbyć Towiańskiego. On się buntował, ale on był namaszczony przez Towiańskiego. Jakby on powiedział, że Towiański jest kretynem, to wszystko to, co Towiański mówił o jego poprzednich wcieleniach, że był mnichem znanym z ascezy, że był rycerzem, to byłoby nieważne, bo to wariat mówił. A tak to mówił prorok. Tyle tylko, niech ten prorok siedzi sobie w Brukseli, Szwajcarii, a my się na niego powołujemy.

I tu jest mniej więcej to samo. Powołują się na Lenina, ale rządzi NKWD, a Stalin jeszcze żyje. I on jest opisywany w takich kategoriach, w jakich opisuje się Boga. Tutaj koncepcja jest trochę dziwna. Myślę,

że Jurek Wawrowski powie nam, z jakim systemem mu się to kojarzy.
Tytuł jest *Rzeka*.

*Mądrość Stalina,
rzeka szeroka,
w ciężkich turbinach
przetacza wody,
płynąc wysiewa
pszenicę w tundrach,
zalesia stepy,
stawia ogrody.*

*W gmachu imperium
strop się ugina:
pękła kolumna.
Wstępuje z głębin
mądrość Stalina,
rzeka podskórna.
(...)
Ludzie zbudzeni
na ziemi swojej,
łamią się chlebem,
dzielą pokojem.
Ty ich opływasz,
rzeko rozumna,
ty wiesz zdrowiem,
wiatrem urody;
przebijasz góry
rzeko podskórna,
łączysz narody.*

Stalin jako siła boska. Dlatego takim szokiem było to, że umarł. Jak oni wierzyli w jego nieśmiertelność!

Mówiliśmy przedtem o polityce, o ocenie wydarzeń politycznych,

zwłaszcza w poezji sarmackiej, nawet w łacińskiej. O wzorcach. Tutaj mamy totalną zdradę. I chcę przeczytać, dla odmiany, wiersz Leopolda Lewina *W dwudziestą drugą rocznicę*. Dlaczego ten wiersz jest ważny? Dlatego, że on dokonuje przededefiniowania historii. Dwudziesta druga rocznica rewolucji październikowej to jest 1939 rok. I on tutaj chwali 1939 rok, chwali rewolucję październikową, chwali Związek Radziecki. A wszystko w jednym wierszu za bardzo wysokie honorarium, potem wielokrotnie przedrukowywanym i opłacanym. I niech ktoś powie, że Lewin nie był wybitnym poetą. No, miał talent w różnych dziedzinach, a wiersz też jest dobrze skonstruowany.

*Jakże wystawić wzniosłą dumę poety, chłopca, robotnika,
gdy ich owiewa bliskim szumem radosny powiew Października.
Proletariusze! Towarzysze! Wasz trud codzienny, upór twardy
w gromko dudniących krokach słyszę
rewolucyjnej awangardy*

Tu nawet te dźwiękonaśladowcze efekty słyszać!

*(...)Tej co w dziewięćset siedemnastym zwała mroczne carskie mury
i nad rosyjską wsią i miastem przeszła ożywczym tchem wichury.
I tej, co na dwudzieste drugie październikowe narodziny
radzieckim przeorała pługiem
ziemie zachodniej Ukrainy.
To jest już deklaracja zdrady.
I tej, co jeszcze dzisiaj przodem sunie w zwycięskiej jasnej glorii
słyszę jak naprzód rwie pochodem
słyszę jak bije w bruk historii*

Proszę państwa. Poezja nie zawsze wystarcza. Ja mówiłem, że popychanie ludzi do szczęścia, to działanie dla dobra wspólnego, zależy też trochę od wyobrażenia dobra wspólnego. Tutaj wiemy, co jest dobrem wspólnym i dokąd wieje wiatr historii. Ale czasem jest terror. I tutaj poeci socrealizmu dokonują rzeczy wręcz makabrycznej. Oni nie tyl-

ko osławiają terror. Oni gloryfikują morderców. W tamtych czasach – i to jest wręcz niepojęte – powstała największa liczba wierszy ku czci Służby Bezpieczeństwa – wtedy Urzędu Bezpieczeństwa. Nie pisano u nas wierszy o gestapo. Nie pisano wierszy o mordercach z SS czy volksdeutschach. A tutaj jest to wychwalane. Ten Lewin, którego nie lubię i o którym pisałem w poemacie o 1968 roku – miał taki brzydki czerwony nos. Nie lubiliśmy go, bo nam się z czerwonym sztandarem kojarzył. *Czuwamy*.

*Wróg ołowiem nas witał i zabijał z za węgła,
gdyż z krwi naszej rozkwitła wolna i niepodległa. (...)
(z krwi tych ubeków)
Spokojny każdy polski próg, strzeżone wszystkie bramy.
Niechaj pamięta wróg: czuwamy, czuwamy czuwamy.*

I takich wierszy pisze wielu poetów. Chociażby Jastrun. Napisał taki wiersz *Pieść i pogarda*

*Niezlomny jest ludu bastion, niezlomna prawda.
Za każdą kulę waszą pieść nasza i pogarda.
Znamy twarz waszą, łotry nad skrytobójczym dymem
Historia spisze wyroki i przeklnie wasze imię.
Wśród wzgórz rodzinnych i nizin iść będziecie po kryjomu.
Zdrajca nie ma ojczyzny. Kanalia nie ma domu.*

Jest to przyczynek także do dzisiejszej dyskusji. Zdrajcy, czyli niezlomni Żołnierze Wyklęci tutaj są pokazani jako kanalie, jako bezdomni. Z tym związana jest kwestia, czy to był wybór, czy nie? I tak, i nie. Na pewno żołnierze V Wileńskiej Brygady AK mogli zostać na Litwie. Mało tego, oni przechodzą, większość z nich ginie, ale potem szeregi Wileńskiej – dalej z nazwy – Brygady wypełniają chłopci z Podlasia. To już nie jest szlachta, to nie jest kasta rycerska. To są ludzie z chałup, którzy mogą siedzieć w tych chałupach. A jednak jest coś mistycznego w tej walce o Polskę, która jest dla autora zbrodnią. Te wiersze, o dziwo,

były bardzo popularne. Ten wiersz Lewina był na tyle popularny, że nie tylko był hymnem UB, ale do niego napisano dwie melodie. Wręcz muzycy się tam rozbijali o to, kto tej godności doczeka. Potem był szok – śmierć Stalina. Rok 1953. Nie ma chyba w tym kraju kogoś, kto nie byłby zmuszony przeczytać wiersza Szymborskiej o Stalinie.

Maciej Gawlikowski:

Głównie przez prawicową prasę.

Bohdan Urbankowski:

Tu odwołam się, mimo wszystko, do świętego Pawła i do Jacka Soplicy. Myślę, że infamię z niej zdejmują jednak dobre wiersze. Zła stała się sytuacja, bo kandydatem do Nobla był wtedy Herbert. Już niektóre jego teksty były tłumaczone na szwedzki, na angielski. I niestety plotki z Polski – najpewniej rozpowszechniane przy pomocy „Szwedowicza” (starszego brata Michnika) – oni tam robili jakieś ulotki, manifestacje i po prostu, jak zwykle, koniunkturalna i nieoczytana w literaturze światowej komisja noblowska...

Nieoczytana to wiem, bo ja byłem przez nich powołany na eksperta od Środkowej Europy i oni wierzyli mi, ale nie do końca. Jak ja mówiłem, że najlepszym poetą, że najlepszym poetą jest Milan Rufus – czeski poeta, to oni mieli tylko jedno pytanie. Co on takiego pisze? I ja, między innymi, mówię o hymnie Słowacji, o pięknych wierszach religijnych. I ja sobie wtedy nie zdawałem sprawy, że ja wkopuję biednego Rufusa. Że jak on jest religijny, no to... Szukajmy najlepiej jakiegoś pederasty, najlepiej Żyda i najlepiej, żeby był czarny. Wtedy dostała chyba ta Jelinek, bo ona spełniała te wszystkie warunki.

Maciej Gawlikowski:

No to Rymkiewicz ma szansę, jako były stalinowiec. Może on się jeszcze załapie.

Za mało politycznie poprawny. Ma jakieś elementy odchylenia nacjonalistycznego.

Bohdan Urbankowski:

Za chwilę zrobimy dyskusję, bo ja też mam już dosyć. Myślę, że nie tylko wy. Ale nie widzę tu pierza ani miodu...

Chcę skoczyć powrotem być może i do Herberta. Bo projekt kultury socjalistycznej nie wychodzi, mimo że ma najlepszych propagandzistów w postaci naszych najlepszych poetów. Broniewski, Gałczyński, Jastrun, Ważyk, Międzyrzecki. Najdłuższy wiersz ku czci Stalina to nie napisała Szymborska, a Międzyrzecki. Z jego poematu można pięć takich Szymborskich wykroić.

Maciej Gawlikowski:

A Broniewski i *Słowo ostatnie*... bardzo dobry.

Bohdan Urbankowski:

Akurat tutaj potwierdza się ta teza Shi Huangdi, bo to nie jest dobry wiersz.

Maciej Gawlikowski:

Końcówka o Oświęcimiu... bardzo dobry.

Bohdan Urbankowski:

Rzecz gustu. Jak ktoś znajdzie, to mogę odczytać. W pewnym momencie on się wręcz ratuje prozą poetycką, bo już nie wie, jak ma łączyć i jak wejść od tyłu władzy ludowej. Dobry poeta nie jest w stanie napisać złego wiersza, bo jest dobrym poetą. Jak robi, to jest to wysilone, niedobre, do wyrzucenia.

W każdym razie, jak powiedziałem, zdrada elit. Najlepsze środki oddziaływania w postaci poezji, w postaci muzyki, malarstwo socrealistyczne (słynny plakat „Zapluty karzeł reakcji” Zakrzewskiego). To wszystko, to jest sposób ogłuszania. Sposób terroru psychicznego. I to wszystko, to jest popychanie niedojrzałego społeczeństwa ku dobru wspólnemu. I w pewnym momencie dzieje się coś dziwnego. W 1954 roku ukazuje się antologia, na której autorzy zarobili krocie (chciałbym

sam tyle zarobić), mianowicie – *Poeeci pracownikom Służby Bezpieczeństwa*. Tam są te wszystkie Lewiny i jeszcze paru innych. I w tym samym roku ukazuje się antologia wydana przez PAX. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć jej tytułu. W każdym razie jest tam między innymi Herbert, Grochowiak. I to są jakby dwie propozycje modelu polskości. W 1954 roku jeszcze ci się trzymają kurczowo stalinizmu. Jeszcze są na górze, a gdzieś tutaj przemyka się coś zupełnie innego. Tylko – co to coś jest?

Otóż to coś nie jest manifestacją koła poezji piłsudczykowskiej, legionowej, sarmackiej i tak dalej. Tutaj jest wiele wierszy, które nazywamy neutralnymi politycznie. Sporo erotyków, sporo wierszy religijnych, bo jednak PAX musiał udawać religijną instytucję. Natomiast nowość tego i znaczenie polega na tym, że one nie są socrealistyczne. Że pokazują, że może być coś innego. Tu jest uruchomiona lawina, która pójdzie dalej dzięki temu, że w tym młodym pokoleniu jest paru ludzi genialnych. Właśnie Grochowiak, właśnie Herbert. Oni będą tworzyli już nową jakość poezji. I gdzieś tam zaczną wracać wątki znane nam także z sarmatyzmu. Jeżeli Herbert pisze *Do Marka Aureliusza*, jeżeli pisze *Nike, która się waha*, to jest to przypomnienie antyku. To jest jedność polskiej kultury z tamtą kulturą, odwołującą się do Grecji, do Rzymu. Jeżeli Grochowiak pisze *Modlitwę do Matki Boskiej*, cudną, barokową, to jest z kolei podchwycenie tej tradycji konfederacji barskiej, tamtych maryjnych pieśni, tylko że bez szabli w ręku.

I tak powoli zaczyna znów wracać ten wielki etos, ten sposób myślenia o Polsce, tylko niestety w postaci dość skarłatej. Myślę, że wprawdzie my zaczynamy odzyskiwać tę tożsamość, ale przez cały czas jeszcze nie odzyskujemy koniecznej dla tej tożsamości wielkości. Żeby to było jednak coś większego, coś mogącego porwać za sobą masy. W pewnym momencie rolę poezji opozycyjnej, chroniącej wartości, przejmują różne grupy. Macie tu państwo mój poemat z marca 1963 roku. Byliśmy, niestety, jednym z kilku ugrupowań piszących w tamtych czasach. Barańczak był jeszcze członkiem PZPR, Kornhauser pisał ku czci Lenina. To zróżnicowanie młodych poetów było dość czytelne. Prowadziło do zwarcia. Także do zwarcia z reżimem.

To, że iluś poetów z kręgu Konfederacji Nowego Romantyzmu potem znalazło się w Konfederacji Polski Niepodległej, to nie tylko niechęć do zmiany nazwy. Tak jak niektórzy nie chcą zmieniać nazw ulicy... To jest jednak jakaś deklaracja ideowa. Po prostu poczucie bliskości systemów aksjologicznych jednej konfederacji i drugiej. W Konfederacji Polski Niepodległej to się przekładało na czyn, a myśmy w wierszach raczej próbowali te czyny inspirować. To samo wychodzi w przypadku Piłsudskiego. W naszym kręgu powstaje dużo wierszy.

Nie chwaląc się, ja napisałem kilka, prócz tego dwie duże książki o Piłsudskim, jedną powieść, dwa dramaty – nie dlatego, że chciałem się komuś podlizać. W tamtych czasach można było za to zostać zwolnionym z pracy. To była właśnie deklaracja wartości czynem, na który stać poetę.

Jurek Tomasziewicz był jednym z pierwszych, którzy pisali u nas wiersze o Katyniu. *Ekshumacja* – 16 stycznia 1968 rok. Jeszcze przed wydarzeniami marcowymi. I to też prowadziło do tego, że potem Jurek nie mógł dostać pracy. Wyjechał do Olsztyna, potem go stamtąd wyrzucili. Wyjechał do Sopotu i w końcu umarł w biedzie w nędzy i w III Rzeczpospolitej, żeby było śmieszniej. Po prostu wszyscy go olali.

Tak samo było z Krzysztofem Sieniawskim. Też umarł w nędzy. Stracił pracę w kiosku Ruchu.

Ostatnio wspominałem Andrzeja Biskupskiego z Łodzi. Wspaniały poeta. Tylko, że ma 80 lat i wszyscy go mają w nosie. A na nim wzorował się Jacek Bierezin. To właśnie Biskupski wprowadził ten etos miłoszowski. Świetną poezję, bo Miłosz był świetnym poetą. Na naszym gruncie nowatorskim, bo on się wzoruje na wierszach Oskara Miłosza – swojego genialnego kuzyna, który też dostał Nobla, ale za wiersze pisane po francusku, co jest naszą winą, bo zaczynał po polsku.

I ten nurt zaczyna odbudowywać jakieś wartości. Niestety, w sposób ryzykancki. Doprowadzając do zwarcia. A to czasem powodowało, że nie dokonał tych dzieł, które mógł.

Ja sobie czasem wyobrażam, że Jurek Tomasziewicz, gdyby mieszkał sobie luksusowo w Warszawie, miał po dziurki w nosie wszelkich dóbr materialnych... Przecież napisał świetny dramacik o poetach z po-

kolenia „Sztuki i Narodu”, zupełnie zapomniani. Był tylko raz grany w teatrze w Nowej Hucie. Były straszne afery polityczne z tego powodu. Nawet „Sztuka i Naród” były wtedy niemile widziane. Jak robiliśmy antologię o „Sztuce i Narodzie”, to kilka tekstów wypadło. Między innymi mój. Ale ja to obie odbiłem potem, wydając całą książkę na ten temat, w oparciu o śmierć.

W każdym razie chciałem mówić o takim nurcie, który nie szedł do zwarcia. To jest kultura studencka. Kultura, która walczy z systemem trochę poprzez pokazywanie języka, trochę poprzez pokazywanie, że ten potwór jest śmieszny, niedołączny i że nie należy go się bać. Podstawowym uczuciem czasów socrealizmu jest strach. Ktoś doniesie, ktoś widzi, co ja robię. Ten lęk towarzyszy naszym działaniom, paraliżuje kontakty z innymi ludźmi. I nagle okazuje się, że można z nich się pośmiać. Są festiwale studenckie, wydawnictwa. Nam też udało się przemycić ze 3 książeczki z wierszami, właśnie w wydawnictwach studenckich, bo one były inaczej cenzurowane.

Mieliśmy zresztą dobry sposób, bo inna była cenzura od poezji, od literatury, a inna od programów teatralnych. A myśmy wydali program imprez Nowego Romantyzmu i tam różne rzeczy przeszły. Kilka razy nadziałem się na cenzurę, bo jak napisałem, że ktoś tam został zamordowany w Majdanku, ktoś w Katyniu, to cenzura mi ten Katyń wykreślała. No i ja poszedłem po rozum do głowy. Linijkę kończyłem na Majdanku. Jak wydaliśmy 550 egzemplarzy to we wszystkich musiałem dopisywać ten Katyń. Ale w świat poszło i już tak pozostało. Tak, że te gry były różne.

Świątek studencki słynął z tego, że w zasadzie potrafi grać na dwóch fortepianach. Jawnym i tajnym. System tajnych wartości był czasem podawany wprost. Jakies wierszyki typu *Szopka* Szpotańskiego, jego *Caryca*. Jak on to ujawnił... a ujawnił tylko przyjaciołom, to nie krążyło. My wiedzieliśmy, że coś takiego jest, bo jego proces był tuż przed wydarzeniami marcowymi. Chyba w lutym 1968 roku zbieraliśmy jakieś podpisy, z czego nic nie wyniknęło. W każdym razie to była ta próba, dla odmiany, działania jawnego. Natomiast gdy idzie o działanie tylko aluzyjne, to mamy kilka nazwisk i kilka utworów, które do dzi-

siaj przetrwały. Dla nas, w marcu, pieśnią powstałą troszeczkę po marcu, była pieśń *Pokolenie czapki studenckiej*. To napisał Marcin Wolski. Prawdopodobnie napisał to około roku 1970, a wystąpił z tym w 1971 roku. Ale to była jakby ocena naszego pokolenia. Odnotowanie go w literaturze. Ja tu nie mówię o swoim poemacie, bo on jest oczywiście poza konkursem. Będziecie państwo mogli go sobie przeczytać.

Te rzeczy są podawane odbiorcom na scenach studenckich kabaretów. Na scenie kabaretu w Warszawie, jakaś Piwnica pod Baranami w Krakowie, Kabaret pod Egidą w Warszawie. I to wszystko jest przemycane i dociera do inteligencji. Myślę, że nie doceniamy wpływu takiego ożywczego, wręcz uzdrawiającego, tego typu poezji. Natomiast ma to tę samą wadę, jaką miała nasza poezja czasów sarmackich, pisana po łacinie. Mianowicie, docierało to tylko do elity. Docierało do tych, którzy byli na tyle inteligentni, żeby te aluzje zrozumieć. Całe systemy wartości, jakieś układy wydarzeń historycznych, o których się wspomina. Nazwisk, które czasem się pojawiały. W piosence *Żeby Polska była Polską* Jana Pietrzaka mamy nagle „do Tobolska”. Młodzież współczesna popatrz dzisiaj na mapę i no, jest takie miasteczko na Syberii. I cały ładunek, który jest tam wmontowany. Przecież to była turma. To był punkt, w którym tysiące Polaków zmarło albo zostało zakatowanych. Tylko, że to wielu młodym ludziom dzisiaj niczego nie mówi.



W tym momencie skończę, bo obie strony są już zmęczone. Jeżeli państwo będziecie chcieli jeszcze coś rozwinąć, podyskutować, to nie uciekam i w miarę możliwości będę odpowiadał.

Maciej Gawlikowski:

Ja krótko. Jedna rzecz, która mi zazgrzytała. Być może źle usłyszałem. Powiedziałeś, że ludzie śpiewający *Czerwony Sztandar* mogli mieć jeszcze złudzenia. Zabrzmiało to wartościująco, jakby oceniając ich źle...

Bohdan Urbankowski:

Nie. Właśnie przeciwnie. Ja powiedziałem, że oni mogli mieć złudzenia. Że to się wywodziło z ruchu anarchistycznego, który polegał na tym, że najwspanialszy marzyciele tamtych czasów mordowali za pomocą pistoletów i sztyletów tych gorszych marzycieli, którzy byli tylko za reformami albo za kapitalistycznym ustrojem. Natomiast oni w to wierzyli.

Maciej Gawlikowski:

To dobrze, że wierzyli. Ale to są dwie różne rzeczy.

Bohdan Urbankowski:

Jak się czyta, to są bardzo podobne.

Maciej Gawlikowski:

Czyli jednak dobrze zrozumiałem. Miesząmy dwa porządki, śpiewanie *Czerwonego Sztandaru* i bycie niepodległościowym socjalistą, PPS-owcem, walka o niepodległość Polski i zlikwidowanie nierówności społecznych, nędzy, biedy, potwornego wyzysku... To jest rzecz jak najbardziej chwalebna. My, będący piłsudczykami, powinniśmy być ostatnimi, którzy robią to, co się teraz robi. Wykreślanie tego wszystkiego z historii Polski, z literatury. Powinniśmy mówić o tym z dumą. To, że oni śpiewali *Czerwony Sztandar*, to jest powód do dumy. Niech się wstydzą raczej ci, którzy śpiewali *Błękitne rozwińmy sztandary*. Wytrysk

grafomani. Niech się wstydzą ONR-owcy. Niech się wstydzą ówcześni endecy. Niech się wstydzą ci, którzy jak Dmowski kolaborowali z Rosją. Natomiast PPS-owcy żadnego powodu do wstydu nie mają.

Bohdan Urbankowski:

Udowadniałem to między innymi na 200 stronach mojej książki o Piłsudskim. Tak że tutaj się całkowicie zgadzamy. Natomiast nie zwróciłeś uwagi na drugą część mojej wypowiedzi. Ja powiedziałem, że tę pieśń, która była pieśnią ludzi uczciwych, marzycieli, czasem trochę nawiedzonych, uzurpowała sobie na hymn komuna, Gwardia Ludowa. Oni byli z innej bajki. Oni to ukradli.

Maciej Gawlikowski:

Ostatni akord tego, kiedy przy ulicy Rozbrat, kiedy tam jeszcze było SLD, wywiesili sobie portrety swoich poprzedników, w tym właśnie działaczy niepodległościowych PPS. Oczywiście łajdactwo maksymalne. Natomiast przez to, że teraz PPS jest tak rugowana z historii, powinniśmy to bardzo wyraźnie podkreślać i przypominać historię PPS. I być może to też jest temat na spotkanie. Ocena PPS, historia PPS, PPS w II RP. To są rzeczy, o których się nie czyta. W III RP się powoli te rzeczy eliminuje.

Bohdan Urbankowski:

To ci odpowiem, wzbogacając twój show. Wydaje mi się, że przed chwilą wygłosiłeś pewną deklarację, z którą się w większości zgadzam. I tylko przypadkiem mnie sobie wzięłeś za cel. Bo pisałem o Piłsudskim w PPS. Pisałem, że był najdłużej przywódcą PPS. Przez 20 lat. On wskazał, że niektórzy prekursorzy socjalizmu byli jego nauczycielami. Ci, których spotkał na Syberii. Ci, którzy potem oddawali życie w akcjach bojowych PPS.

Maciej Gawlikowski:

Niepotrzebnie wzięłeś to do siebie. To były moje pretensje do III RP. Do mainstreamu. Nie do ciebie.

Jerzy Wawrowski

Jako że zostałem wywołany do głosu, to mnie zafascynował ten wiersz o Stalinie. Fantastyczna rzecz. Powiedz mi, jak to się dzieje... Bo nawet w takim reżimie jak stalinowski, można żyć w ten sposób, że się gdzieś pracuje i można nie pisać takich wierszy. Jak to się dzieje, że ludzie tak nisko upadają, do takiego poziomu wiernopoddania, jakiego nie znajdujemy nawet w poezji Cesarstwa Rzymskiego.

Bohdan Urbankowski:

Próżność poetów.

Jerzy Wawrowski:

Dobrostan? Próżność? Bo pod względem literackim to jest świetne. Ale ja to odbieram jako takie pochylenie głowy niewolnika, że już nie można niżej pochylić, pisząc taki wiersz.

Bohdan Urbankowski:

To z naszego teraz punktu widzenia.

Jerzy Wawrowski:

Chwileczkę. Pisze to człowiek inteligentny i nawet jeżeli jest zdeklarowanym marksistą, to przecież zdaje sobie sprawę, że ten Stalin to jest postać w ogóle...

Jak można się tak ukorzyć przed drugim człowiekiem? To co Grecy nazywali *proskynesis*. To oddanie. W starożytnej Grecji był to rodzaj pokłonu, który oddawali tylko bogom. Nigdy człowiekowi. Natomiast gardzili Persami, którzy przed królem perskim taki głęboki pokłon właśnie oddawali. Później Aleksander próbował wprowadzić zasadę oddawania jemu czci przez perskich poddanych. Od razu spowodowało to ostrą reakcję macedońskiego i greckiego otoczenia Aleksandra. Także to utracono. Ten wiersz jest takim właśnie *proskynesis*. *Pros* i *kynos*, czyli stanie się przy tym psem. Jak można coś takiego napisać, nawet jeśli jest się zwolennikiem Stalina, na przykład? Ale ujęcie go jako siły ko-

smicznej, siły sprawczej świata, jest to najwyższy poziom upokorzenia człowieka przed człowiekiem.

Bohdan Urbankowski:

Można to traktować inaczej. Jest to świetny, najlepiej płatny concept, bo koledzy z sąsiedniego Związku nie wpadli na to. Bo pisali o Stalinie pod Carycynem, a ja piszę, że to jest ta rzeka podziemna... Nie wiem. Może by się znalazło jakieś porównania do tego w poezji średniowiecznej. U mistyków. Nie wiem...

Mirosław Jachmanowski:

Chciałem opowiedzieć w jakimś stopniu autentyczną historię, którą usłyszałem od takiego starszego operatora szkoły filmowej, który był w ekipie mającej zrealizować film biograficzny o Broniewskim. I kręcili go przez 4 lata, ponieważ musiały być z głównym bohaterem jakieś wywiady. Dlatego 4 lata, bo on przez ostatnie swoje lata chodził nieustannie pijany. To jest w pewnym stopniu odpowiedź na pytanie o przyczyny i co tymi ludźmi kierowało. I o ocenę z perspektywy czasu tego, co robili i czemu się poddali.

Zbigniew Jackiewicz:

Ja myślę, że to jest taka dobra tradycja, kiedy dla działań politycznych można znaleźć jakieś poetyckie credo. I takie szczęśliwe trafy się zdarzają. My mamy taki uniwersytecki casus, że przecież po 1981 roku, w bramie uniwersytetu został wryty dwuwiersz Norwida: „nie trzeba kłaniać się okolicznościom, a prawdom kazać by za drzwiami stały”. I to był dwuwiersz, który definiował pewną postawę i pewną sytuację lepiej niż polityczne traktaty. Ja miałem tę przyjemność, że skorzystałem z czterowiersza Norwida. Bo jak na łamach „Opinii” pisałem o przekłamaniach dotyczących 4 czerwca, które się zdarzają w różnych politycznych przekazach. I przypomniałem, że czterowiersz brzmi tak:

*Nie trzeba kłaniać się okolicznościom,
a prawdom kazać by za drzwiami stały.
Przedawać laury starym znajomościom,
Mówiąc, że dziejów – rytm zgłuszą cymbały!*

Norwid pisał o cymbałach, ale w naszych okolicznościach i przy okazji tego co się opowiada o 4 czerwca, cymbały wydały mi się bardziej dosadne. I uważam, że tego powinniśmy się trzymać, żeby zawsze w tych postawach politycznych szukać dla siebie takiego poetyckiego przewodnictwa i poetyckiego wyrazu.

Bohdan Urbankowski:

Nawiążę jeszcze do tego, co Jurek Wawrowski mówi. Otóż jest tutaj pewien dwuznaczny element. Bo jest to rzeczywiście, jak mówiłeś, upodlenie, spojrzenie nieomal psa. Ale poeta wciąż jeszcze jest wieszczem. Wciąż jest autorytetem. Ważyk to jest poeta, na którego mimo wszystko pada jakiś tam cień Słowackiego, Norwida. Jest to jeden z najlepszych awangardzystów naszych. Potem, świetny tłumacz. Próbował dokonać ekspiacji w tym swoim wierszu napisanym w 1956 roku, *Poemat dla dorosłych*. Potem sam go po części odwołał w takim krótszym wierszu *Krytyka poematu dla dorosłych*. Ale cechą wspólną jakby obu tych wydarzeń jest to, że poeta jest cały czas koniunkturalistą.

Myśmy robili kiedyś spotkanie z Ważykiem. Jeszcze jak prowadziłem taki klub poetycki. Mieliśmy spotkania niektóre bardziej tajne – z ludźmi, do których mieliśmy zaufanie, na przykład Pużański (ojciec tego naszego dziennikarza); czy Kuczyński, który jako szesnastoletni chłopak był u Hedy „Szarego” i pomagał mu to więzienie odzyskać. A w jego opowieściach to wychodziło na to, że to on zdobył to więzienie i potem ugościł w nim Hedę i wszystkich innych i mało brakowało, a by się spóźnili na ucieczkę. Ale prócz tego zapraszaliśmy, między innymi dlatego, że Ważyk był świetnym tłumaczem, awangardzistą. Oczywiście nie dało się uniknąć pytań o *Poemat dla dorosłych* i prośby, żeby przeczytał. Guzik z pętelką, nie zgodził się. I tym nam

podpadł. A druga rzecz to to, że wziął od nas honorarium. Myśmy oczywiście z grzeczności proponowali honorarium, ale wiadomo było, że nie mamy środków i w razie czego musimy zrobić ściępkę. Niektórzy o tym wiedzieli, ale postępowali dziwnie. Aleksander Rymkiewicz na przykład wziął od nas forszę, ale zaprosił nas później do „Zagłoby” za to. No tak postępuje poeta. Zaimprovizowaliśmy przy okazji klub ożralców i opilców i była piękna uczta. A Ważykowi myśmy postanowili pokazać klasę i to my jego zaprosiliśmy do „Zagłoby”. Żarł, nie powiem co, bo już nie pamiętam, ale na pewno dobrze.

I zaczęliśmy go przyciskać do muru. On powiedział, że po pierwsze – to on nie bardzo wie, kto jest na sali... „wicie, rozumiecie”. Były to już późne lata 60., a on się nadal bał. I to jest jedna z odpowiedzi. Druga z odpowiedzi jest taka, że on wykonywał polecenie. Że miał go wezwać sam Berman. Że kazał. Że wynajęli mu lokum w jakimś domu wczasowym i on tam pojechał i miał nie wracać bez takiego rewolucyjnego poematu. Inaczej mówiąc, ugrupowanie Puławian postanowiło się szybko przerobić na liberalizm i Ważyk miał być tym, który jako autorytet moralny będzie tym pierwszym. Ważykowi nic takiego do głowy nie przychodziło, ale w *Poemacie dla dorosłych* on się posłużył ściągą. Ściągnął wiersze Bohdana Drozdowskiego z 1954 roku. To on pierwszy pisał o różnych wypaczeniach w życiu robotników. O prostytucji młodych dziewcząt. Szlagierem był taki wiersz o szesnastoletniej ukarminowanej. Jego echo właśnie jest w *Poemacie dla dorosłych* u Ważyka. Tak że mając takie wzorce, on po prostu machnął ten *Poemat dla dorosłych*. Ja potem rozmawiałem z Antkiem Zambrowskim. Bo Ważyk mówił, że on się spotykał z Zambrowskim. Antek mówił, że właściwie to kazał Berman, ale że Zambrowski był od tych wykonawczych historii i on to załatwił. Proszę zauważyć, że tutaj wyraźnie Zambrowski występuje jako wykonawca konkretnie nastawiony na literatów, podczas gdy Berman jak wiadomo, był i od literatury, i od kultury, i od bezpieczeństwa. Tak czy inaczej, jest to wiersz o źródłach moralnych niezbyt pewnych. A sam fakt, jak się kończy, świadczy o tym, że on dalej jest tym koniunkturalistą. Może tylko ostatnią część przeczytam.

*Są ludzie spracowani,
są ludzie z Nowej Huty,
którzy nigdy nie byli w teatrze,
są polskie jabłka niedostępne dla dzieci,
są dzieci wzgardzone przez występnych lekarzy,
są chłopcy zmuszani do kłamstwa,
są stare żony wyrzucane z mieszkań przez mężów,
są przemęczeni, konający na zawał serca,
są ludzie oczerniani, opluci,
są odzierani na ulicach
przez zwykłych opryszków, dla których się szuka definicji prawnej,
(...)*

*Upominamy się na ziemi
o ludzi spracowanych,
o klucze do drzwi pasujące,
o izby z oknami,
o ściany bez grzybów,
o nienawiść do papierków,
o drogi święty czas ludzki,
o bezpieczny powrót do domu,
o proste odróżnianie słowa od czynu.*

*Upominamy się na ziemi,
o którą nie graliśmy w kości,
o którą milion padł w bitwach,
o jasne prawdy, o zboże wolności,
o rozum płomienny,
o rozum płomienny,
upominamy się codziennie,
upominamy się Partią.*

Ta pointa chyba już wszystko wyjaśnia. I w tym wierszu *Krytyka poematu dla dorosłych* on wprowadza postać fikcyjnej robotnicy. Robotnica była wtedy modna. Szymborska pisała o jakiejś robotnicy, która

chyba dzieci w Korei opłakiwała czy coś takiego. W każdym razie, to był taki archetyp literacki. Tutaj, o dziwo, robotnica bierze się za krytykę poematu. Zarzuca mu pewne uproszczenia. A kończy w ten sposób:

*Od oczu średniowiecznych,
od mózgów średniowiecznych,
od metod średniowiecznych,
Partia uwolni nurt rewolucji
i będzie Partią na obraz Lenina.*

Na ile tu się coś zmieniło? Poza tym, że ten wiersz jest gorszy niż *Czekać*. Chwilami to jest proza publicystyczna, tandetna wręcz... Choć ten moment z żonami jest wart przemyślenia. Tak czy inaczej, to jest ten sam stary koniunkturalista. Po prostu. A jednocześnie, ponieważ on dalej ma ten cień Mickiewicza za sobą, to to się drukuje, to nadal się recytuje na akademiach. Z tym, że rzecz charakterystyczna, na ogół bez ostatniej strofy, gdzie on się upomina o Partię.

Ja myślę, że dotknąłeś, Zbyszeku, sprawy trochę szerszej. Bo sam fakt, że cytat z Norwida funkcjonuje w wersji okrojonej jest symbolem tego, co działo się u nas w kulturze, także w wersji lewicowej. Bo tam był okrojony Waryński, był okrojony Broniewski. Z tym że najważniejsze części ciała im poodcinano, te, które mogą być groźne. I to jest symbol tego wszystkiego co jest. Obowiązkiem, myślę, że nie tylko poety, także naukowca, jest dążenie do prawdy. Prawda ma, jak ktoś powiedział, moc obligującą. Trzeba czasem za nią cierpieć i idzie się na stos, naraża na wyklęcie przez Kościół albo na wyrzucenie z pracy przez organizację partyjną. Ale tak już jest z tymi wartościami. Jeżeli wybiera się świat wartości, a więc świat czyniący nas ludźmi, który nawet daje nam tę satysfakcję, że jesteśmy trochę lepsi... Bo tu też wkrada się element próżności osobistej i to, że jednak ja, który piszę wiersze, jestem lepszy od tego menela, który mieszka dwie klatki schodowe dalej i wierszy nie pisze. Oczywiście on będzie na to patrzył inaczej, bo on pije takie rzeczy, których ja nigdy nie wypiję. Tak czy inaczej, jedną z przyczyn tego sprzedania się jest próżność. Bierze się kiepskiego poetę i robi się

z niego wieszczą. Potem mu się drukuje byle co, daje mieszkanie, robi się z niego sekretarza partii, prezesa osiedla i on jest przekonany, że on tym wieszczem jest. Natomiast jest to pokolenie, o którym by się Piłsudski brzydko wyraził.

À propos Piłsudski brzydko wyraził, to myślę, że dobrą pointą będzie – jeżeli to znajdę – wiersz o Piłsudskim właśnie. Ale w wykonaniu i już po przefiltrowaniu przez humor studencki, bo była to forma walki z pomocą ironii. Autorem jest Andrzej Waligórski. Niestety już nieżyjący, a myślę, że satyryk i poeta tej klasy co Pietrzak, Kofta, Wolski. Wiersz się nazywa *Sen o Marszałku*. I ja go przeczytam i już potem zamilknę.

*Śnił mi się wczoraj Pan
Marszałek,
Śnił mi się wczoraj, jako
żywo!
Wąsy miał długie,
osiwiałe,
I maciejówkę też miał,
siwą
I jakąś troskę miał na
twarzy,
A gdy spytałem go o
powód,
Z goryczą w głosie się
poskarżył:
-Ot, i czepiają mnie się
znowu!
Łgali żem austrijacki
agent,
Że cud nad Wisłą to
Francuzi,
Że faszyzm zaprowadzić
chciałem,*

*A teraz wszyscy „Józiu,
buzi!”
Toć to komedia, farsa
czysta,
Że naraz do mnie tak
przyłgnęli!
Wszak ja z profesji
terrorysta,
Z wiary przypadkiem
ewangelik,
Z potrzeby chwili jam
dyktator,
Zaś z charakteru raczej
furiat...
Lecz gdzie tam! Nie
zważają na to
Rząd, opozycja, MON i
Kuria!
Wciąż tylko o mnie
„dziadek, dziadek”,
Tfu, późne wnuki, słuchać
hadko,
Całujcie wy mnie wszyscy
w zadek!
Tu krzyk się podniósł:
-Rozkaz, dziadku!
Wódz się najpierw
skonsternował,
Potem uśmiechnął się
uprzejmie
I rzekł:
— Ja już to proponował
Endekom w
przedwojennym sejmie,*

*Ale nie chcieli w żaden
sposób,
Choć byłoby to ich
zaszczytem,
A teraz patrz pan! Tyle
osób,
I jacy jednomysłni
przytem!
Łatwiej obecnie rządzić
krajem,
Lecz nie skorzystam z
koniunktury,
Czołem, całujcie się
nawzajem!
Tu z hukiem uniósł się do
góry,
A późnym wnukom się
zwiduje
Parlament, w kółko
ustawiony,
Tak, żeby każdy kto całuje,
Był całowany z drugiej
strony.*

Mariusz Olszewski:

Pointa przednia. Bardzo dziękujemy za wystąpienie. Muszę powiedzieć tylko, że to wystąpienie było o 7 lat spóźnione. Bo myśmy przez 7 lat konferencji myśleli, że w sobotę wieczorem przy ognisku tylko jemy i pijemy, a tymczasem my nawiązujemy do renesansowej tradycji! W związku z tym, na godzinę 19:00 zapraszam do klubu oźralców i opilców, żeby kontynuować spotkanie.

INDEKS NAZWISK
(*sporządził Mirosław Lewandowski*)

A

Abraham Roman: 60, 61, 65, 66, 78,
90, 95, 113, 122–124, 191
Adenauer Konrad: 39
„Agaton”, zob. Jankowski Stanisław
Albrecht Janusz: 73–75,
Aleksander I: 225
Aleksander Macedoński: 248
Anczyc Władysław Ludwik: 229
Anonim Gall: 208
Anusz Andrzej: 36, 53, 63, 88, 127,
128, 130, 132, 165, 193, 194
Antonescu Victor: 180
Augustowski Zygmunt: 69, 70, 75, 83,
90, 91, 93, 123

B

Balcerak Wiesław: 175, 176
Barańczak Stanisław: 44, 135, 142
Bartyzel Jacek: 136
Bauman Zygmunt: 17
Beck Józef: 177–184, 187–189, 192–
198, 203
Bełza Władysław: 211, 224
św. Benedykt: 20, 37
Benedykt XV: 207
Beneš Edward: 181
Berling Zygmunt: 72
Berman Jakub: 251

Bernaciak Marian „Orlik”: 17, 168, 170
Bastianini Józef: 180
Bierezin Jacek: 44, 126, 243
Bierut Bolesław: 80, 233
Biskupski Andrzej: 44, 243
Bobrzyński Michał: 141
Bocheński Aleksander: 146, 163, 166
Bolesław Chrobry: 26, 213, 214
Bolesław Śmiały: 213
Bondaryk Krzysztof: 85
Borejsza Jerzy: 233
Borkiewicz Adam: 101
Boruta-Spiechowicz Mieczysław: 72,
122, 130
Boy-Żeleński Tadeusz: 235
„Bór”, zob. Komorowski Tadeusz
Broniewski Władysław: 228, 241, 249,
253
Brousse Paul: 227
Bukojemski Edward: 72, 98, 103
Bułhak Henryk: 176, 183
„Bury”, zob. Rajs Romuald
Brzozowski Stanisław: 24

C

Cat-Mackiewicz Stanisław: 186, 193,
202
Cenckiewicz Sławomir: 28, 30
Cetys Teodor: 99

Che Guevara Ernesto: 31
 Chelmiński Maciej: 77, 107
 Chrzanowski Wiesław: 128
 Churchill Winston: 25, 103
Chylek Andrzej: 36, 41, 52, 55, 58, 77,
 85, 132, 134, 168
 Chylek Andrzej: 59
 Cichocki Marek: 133
 Ciechanowski Jan: 99, 100, 177
 Ciepliński Łukasz: 114, 149
 św. Cyryl: 209
 Czachowski Dionizy: 110
 Czaja Herbert: 39, 98
 Czartoryski Adam Jerzy: 140, 141, 225
 Czerwieński Bolesław: 227
 Czuma Andrzej: 96

D

D'Annunzio Gabriele: 218
 Dantyszek Jan: 216, 217
 Dąbrowa-Kostka Stanisław: 62, 74
 Dąbrowski Jan Henryk: 66, 162, 225
 Dąbrowski Franciszek: 79
 Dekutowski Hieronim „Zapora”: 168
 Delavign Francois: 224
 Dębicki Roman: 179
 Dobraczyński Jan: 163
 Drozdowski Bohdan: 251
 Drucki-Lubecki Franciszek Ksawery: 45
 Dziarmaga-Działyński Zygmunt: 83,
 88, 117, 118
 Dzierżyński Feliks: 127

E

Ehrenberg Gustaw: 227
 Eichmann Adolf: 163
 Eisenhower Dwight: 114

F

Feliński Alojzy: 225
 Fieldorf Emil August „Nil”: 117, 118
Furdyna Marcin: 28, 78, 154, 174, 182,
 184, 185, 192, 198–201, 203,

G

Gałczyński Konstanty: 235, 241
 Gawin Dariusz: 133
Gawlikowski Maciej: 28–30, 38, 41–43,
 48, 53, 56, 86, 96, 106, 122, 127,
 130, 134, 135, 137, 158, 163, 164,
 167, 168, 198, 228, 235, 240, 241,
 246, 247
 Gąsiorowski Kazimierz: 75
 Gąsiorowski Krzysztof: 75, 94
 Gołębiewski Marian: 80, 115, 116
 Gołubiew Antoni: 163
 Goethe Jan Wolfgang: 217, 218
 Grochowiak Stanisław: 98, 242
 „Grot”, zob. Rowecki Stefan
 Grzybowski Wacław: 185, 204
 ks. Gurgacz Władysław: 75
 Gursztyn Piotr: 203

H

Hall Aleksander: 136
 Hałko Zbigniew: 229
 Heda Antoni „Szary”: 62, 67
 Hegel Georg Wilhelm Friedrich: 46
 Herbert Zbigniew: 128, 172, 205, 219,
 233, 240–242
 Himmler Heinrich: 74
 Hitler Adolf: 101, 102, 187, 191, 194,
 195, 197, 202, 203
 von Hoefen Johann, zob. Dantyszek Jan
 Hulaski Otton: 20, 43
 Hupka Herbert: 39, 98

I

Idziakowska Zofia: 124

J

Jachmanowski Mirosław: 192, 249
Jackiewicz Zbigniew: 39, 120, 249
Jagmin-Sadowski Jan: 119
Jan Paweł II: 10, 13, 15, 18, 20, 22, 51
Jandziszak Tadeusz: 115
Janicki Klemens: 217
Janion Maria: 104, 105
Janiszewski Michał: 19, 43, 53, 59, 68,
84, 85, 92, 117, 131–134, 153,
168, 170, 172, 205
Jankowski Stanisław „Agaton”: 112
Jaroń Jan Nikodem: 232
Jaruzelski Wojciech: 46
Jastrun Mieczysław: 239, 241
Jaworski Paweł: 180
„Jurand”, zob. Spychalski Józef

K

Kaczmarczyk Alojzy: 74, 75
Kaczmarek Jacek: 227
Kaczyński Jarosław: 54, 227
Kant Immanuel: 46, 96, 134
Karol V: 216
Karłowicz Dariusz: 133
Karwowski Tomasz: 7
Kasprzyk Jan Józef: 20, 24, 26, 29–31,
38, 43, 48, 78, 98, 132
Katarzyna II: 103
Kazimierz Wielki: 213
Kiepusz Jan: 83
Kirchmayer Jerzy: 100, 101
Kmicic Andrzej: 231
Kochanowski Jan: 215, 229, 230

Kofta Jonasz: 254
Kołłątaj Hugo: 226
Komorowski Tadeusz „Bór”: 74, 75, 83,
94, 160
Konopnicka Maria: 232
Kopernik Mikołaj: 216, 217
Korab-Żubryk Roman: 99
Kornat Marek: 176–185, 198
Kornhauser Julian: 242
Kościuszkowski Tadeusz: 22, 28, 67, 158,
161, 162, 225
Kotowski Stanisław: 117
bp Krasicki Ignacy: 209
Kraśnicki Zygmunt: 89, 218
Królikiewicz Grzegorz: 208
Królikowska-Avis Elżbieta: 127
Krzywicki Ludwik: 226
„Kuczaba”, zob. Pluta-Czachowski Ka-
zimierz
Kuroń Jacek: 54, 137, 156
Kurowski Stefan: 119
Kuryłowicz Andrzej: 208
Kwieciński Wincenty: 148

L

Laga Krzysztof: 46, 48, 77, 102, 104,
106, 108–110, 112–115, 120, 189
Lechoń Jan: 234
Lenin Włodzimierz: 115, 127, 236,
242, 253
Lewandowski Jerzy: 175
Lewandowski Mirosław: 27, 30, 65,
68–74, 77, 78, 81–87, 92, 93, 95,
104–106, 108–110, 115, 117, 119,
120, 122–124, 131–134, 136, 137,
151, 153, 156–158, 165, 166, 172,
186, 198,
Lewin Leopold: 238–240, 242

Liniarski Władysław „Mścisław”: 114,
117–119

Luksemburg Róża: 23
„Luty”, zob. Spychalski Józef

Ł

Łenyk Zygmunt: 159

Łoś Jan: 177

Łukasiewicz Juliusz: 177

„Łupaszka”, zob. Szendzielarz Zygmunt

M

Macierewicz Antoni: 137, 156, 162,
164

Majakowski Włodzimierz: 234

Maksymilian I: 216

Malewski Adam: 91, 93–95

Małysz Adam: 51

Marek Aureliusz: 220, 242

Marks Karol: 136, 226, 227

Masaryk Tomáš: 181

Mazurkiewicz Jan „Radosław”: 63, 72,
80, 111, 188

św. Metody: 209

Merta Tomasz: 7, 20, 85

Michnik Adam: 45, 54, 156, 240

Michnik Stefan, „Szwedowicz Karol”:
240

Mickiewicz Adam: 33, 89, 98, 230,
236, 253

Mieszkowski Krzysztof: 121

Międzyrzecki Artur: 241

Mikołajczyk Stanisław: 103, 148

Miłosz Czesław: 233, 243

Miłosz Oskar: 243

„Miriam”, zob. Przesmycki Zenon

Moczar Mieczysław: 68, 82, 91

Morawiecki Kornel: 116, 117, 135

Mussolini Benito: 218

Muzyczka Ludwik: 61–68, 75–78,
80–83, 86–89, 93, 94, 97, 98, 110,
111, 115, 116, 119, 124, 128,
152–155, 157, 159–161

Mochacki Maurycy: 141

Moczulska Maria: 134

Moczulski Leszek: 28, 61, 63, 65, 66,
69, 72, 78, 79, 84, 95–97, 104,
105, 119, 120, 123, 128, 134–136,
139, 140, 154, 155, 158, 159, 174,
182, 185–187, 198, 221

Mołotow Władimir: 195

„Mścisław”, zob. Liniarski Władysław

N

Najder Zbigniew: 128

Natalia Naruszewicz, zob. Moczulski
Leszek

Nawrocka Elżbieta, zob. Królikowska-
-Avis Elżbieta

„Niedźwiadek”, zob. Okulicki Leopold

Niepokólczycki Franciszek: 63, 148

Niesiołowski Stefan: 96, 127

„Nil”, zob. Fieldorf Emil August

Nowak-Jeziorański Jan: 100

Nowak-Njechorński Měrćin: 231

Norwid Cyprian Kamil: 61, 219, 229,
249, 250, 253

Nowinowski Sławomir M.: 180

O

Okulicki Leopold „Niedźwiadek”: 101,
111

Olszewski Jan: 128

Olszewski Mariusz: 25, 39, 59, 98, 106,

138, 170, 173, 223, 256
„Orlik”, zob Bernaciak Marian
Ostafin Jadwiga: 167
Ostafin Józef: 166
Otton III: 214

P

Pajdak Antoni: 117
Pascal Blaise: 96
Pełczyński Tadeusz: 60, 68, 76, 111, 160
Petrescu-Comnen Nicolae: 181
Pęgiel Wojciech: 159
Piasecki Bolesław: 88, 99
Pietrzak Jan: 125, 245, 254
Pięta Stanisław: 85
Pilecki Witold: 9, 11, 15, 26, 31
Piłsudski Józef: 10, 12, 13, 21–23, 28, 33, 45, 65, 78, 87, 90, 132, 133, 136, 141, 144, 164, 174, 181, 186, 191, 204, 232–234, 243, 247, 254
Piłsudski Rowmund: 149
Piotr I: 195
Platon: 58, 70, 207
Pluta-Czachowski Kazimierz „Kuczaba”: 60–72, 74, 76–83, 89–97, 110, 115, 116, 118–121, 123, 124, 129, 153, 155, 157, 160, 161, 241
Pniewski Bohdan: 112
Podlewski Stanisław: 79
Polczyński Waldemar: 131
Poniatowski Józef: 162
Ponikowski Antoni: 175
Popiel Karol: 148
Prąglowski Aleksander: 191
Prądyńska-Zboińska Elżbieta: 124, 131
„Prezes”, zob. Rzepecki Jan

Przesmycki Zenon „Miriam”: 219
Przygoński Antoni: 100
Pudysz Zbigniew: 122
Pużański Tadeusz: 250

R

hr. Raczyński Edward: 183
„Radosław”, zob. Mazurkiewicz Jan
Rajs Romuald „Bury”: 168
ks. Rakoczy Eustachy: 88
Reich: 217
Reich-Janicki Marcel: 217
Relidzyński Józef: 220, 232
Renan Ernst: 220
Repnin Iwan: 26
Ribbentrop Joachim: 195
ks. Robak: 231
Rojek Wojciech: 183
„Rola”, zob. Żymierski Michał
Romanowski Mieczysław: 229
Romer Tadeusz: 177
Roosevelt Franklin Delano: 87, 103
Rostowski Jacek: 85
Rowecka Irena: 124
Rowecki Stefan „Grot”: 66, 73–75, 82, 86, 124, 131
Rubens Peter Paul: 230
Rufus Milan: 240
Rybicki Józef: 63, 80, 81, 88, 94, 95, 156, 157
Rymkiewicz Aleksander: 151
Rymkiewicz Jarosław: 240
Rodzik Marek: 28, 78, 154, 174, 182, 184
Rzepecki Jan „Prezes”: 63, 80, 81, 86, 101, 111, 148, 154, 157

S

Sanojca Antoni: 63, 76, 111
Sarbiewski Maciej Kazimierz: 230
Schaff Adam: 236
Seneka: 220
Sęp Sarzyński Mikołaj: 219, 220
Shi Huangdi: 206, 216, 234, 241
Sieniawski Krzysztof: 243
Sienkiewicz Henryk: 231
Sienkiewicz Karol: 224
Sierow Iwan: 99
Skaradziński Bohdan: 65
ks. Skarga Piotr: 11
Skirmunt Konstanty: 175
Skoczylas Władysław: 231
Skowroński Tadeusz: 177
Skrypin Roman: 125
Skrzyński Aleksander: 176, 177
Skrzypek Andrzej: 176
Skrzypek Sławomir: 85
Sławek Walery: 187, 188, 193, 195, 198
Słomka Adam: 131, 222
Słonimski Antoni: 233
Słowacki Juliusz: 21, 65, 89, 220–222, 230, 250
Sobieszczański Krzysztof: 121
Sokół: 122
Sokrates: 58, 70, 207
Soros Georg: 57
Spychalski Józef „Jurand” „Luty”: 74, 75, 118
Stachiewicz Wacław: 122
Stalin Józef: 72, 101, 103, 114, 115, 159, 160, 189, 192, 197, 236, 237, 240, 241, 248, 249
Stefan Batory: 219, 220
Steiner Jean Francois: 76, 77

Stolarz Bolesław: 116
Struś Mikołaj: 220, 229
Struś Stanisław: 220, 229
Studentowicz Kazimierz: 151, 166
Suchodolski Rajnold: 226
Sułkowski Witold: 126, 127
„Szary”, zob. Heda Antoni
Szczepański Jan Józef: 79
Szembek Jan: 179, 189
Szendzielarz Zygmunt „Łupaszka”: 73, 168
Szeremietiew Romuald: 115, 160
Szomański Andrzej: 79, 84, 136
Szostak Józef: 60, 63, 101
Szpotański Janusz: 244
„Szwedowicz Karol”, zob. Michnik Stefan
Szymborska Wisława: 240, 241, 252

Ś

Śmigły-Rydz Edward: 65, 66, 79,
Świerczewski Karol: 60, 127
Świtalski Kazimierz: 175

T

Tarnowski Andrzej: 177
Tatar Stanisław: 71, 72
Titulescu Nicolae: 180
Tomaszkiewicz Jerzy: 243
Towiański Andrzej: 236
Traugutt Romuald: 13
Tusk Donald: 54
Tuwim Julian: 233–235

U

Ujejski Kornel: 227
Urban VIII: 230
Urbankowski Bohdan: 7, 10, 21, 28, 32,

34–36, 44, 49, 55–58, 87, 91, 98,
124, 127, 131, 158, 162, 164–166,
168, 188, 206, 207, 213, 216, 218,
223, 225, 228, 235, 240, 241, 246–
250

W

Wajda Andrzej: 77, 78, 108
Walc Jan: 135
Waligórski Andrzej: 254
Wandycz Piotr: 100
Wasilewska Wanda: 235
Wawrowski Jerzy: 31, 33–36, 42, 52, 55,
57, 58, 70, 93, 104, 106–108, 137,
169, 194, 237, 248, 250
Wążyk Adam: 241, 250, 251
Weiss Przemysław: 94, 95
Wieniawa-Długoszowski Bolesław: 188,
234
Wierzyński Kazimierz: 229, 234
Wilk Kazimierz: 41, 204
Witos Wincenty: 175
Włodkowic Paweł: 217
Wojtyła Karol: 10, 87, 90, 130
Wolski Kazimierz: 229
Wolski Marcin: 125, 245, 254
Wójcik Piotr: 48, 50, 53, 64, 72–74, 92,

98, 100–102, 104–109, 112–115,
119, 127, 130, 156, 157, 170, 172,
190, 196, 197

Wyspiański Stanisław: 12, 13, 89

Wyszyński Stefan: 88–90, 98, 129

Z

Zakrzewski Maciej: 97, 153, 156, 157,
166, 167, 169, 172, 192, 194, 196,
197, 203, 204

Zakrzewski Włodzimierz: 241

Zambrowski Antoni: 251,

„Zapora”, zob. Dekutowski Hieronim

Zieliński Ryszard: 79

Ziemiński Wojciech: 87, 123

Znamierowska-Rakk Elżbieta: 184

Zysk B. K.: 180

Ż

Żak Michał: 75, 76

Żenczykowski Tadeusz: 100

Żerko Stanisław: 179

Żeromski Stefan: 13

Żurawski vel Grajewski Radosław: 184

Żychoń Jan: 114

Żymierski Michał „Rola”: 99, 103

INDEKS NAZWISK

(sporządził Mirosław Lewandowski)

Godzina „W”: 109

Kanał: 76, 77, 108, 109

Lotna: 78

Nóż w wodzie: 32

Pamiętnik młodego warszawiaka: 109

Popiół i diament: 61, 77

Westerplatte”: 79